Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

Wiadomości

tygodnik społeczno polityczny

Wrocław, 22 sierpnia 1974 r. Cena 3 zł
34/908 16 stron Rok XX

W NUMERZE:

Rak — chorobą cywilizacji? str. 7

Forty Srebrnej Góry str. 8

Człowiek podąża za słońcem str. 10

MORDERCA WE WŁASNYM WOZIE

Jerzy Möck

ŻADEN automobilista nie zabrałby świadomie mordercy do swego wozu, a jednak wielu z nas to robi każdego dnia, kiedy prowadzimy samochód. Taki jest ponury wniosek wielu badaczy, którzy wskazują na **tlenek węgla (CO)** jako na mało dotąd podejrzanego winowajcę w sprawie nazywanej przez niektórych „wielką tajemnicą morderstw na szosach". Dlaczego duża ilość automobilistów rocznie umiera w jednosamochodowych, bezkolizyjnych „wypadkach"? Ponieważ z niewyjaśnionych przyczyn zjeżdżają z szosy, zbaczając nagle na rozjazdy szos-autostrad albo wyruszywszy poronnie wypoczęci i wyspani, zasypiają przy kierownicy.

„Tlenek węgla", bezwonny, bezbarwny, bezsmakowy, cichy zabójca i okaleczyciel, który czyha w spalinach każdego samochodu, jest podejrzanym numer 1, tak twierdzi pewien badacz spraw bezpieczeństwa na szosach. Ci sami eksperci uważają, że tysiące wypadków nie kończących się śmiercią można przypisać wprawdzie nie zabójczym, niemniej jednak niebezpiecznym dawkom tlenku węgla. Niektórym kierowcom nabranie w płuca drobnej ilości tlenku węgla (CO wchłoniętły do krwi usuwa życiodajny tlen, osłabiając mózg i jego ośrodki zmy-

Dokończenie na str. 6

BY NAUKA MIAŁA DACH NAD GŁOWĄ

Elżbieta Kokowska

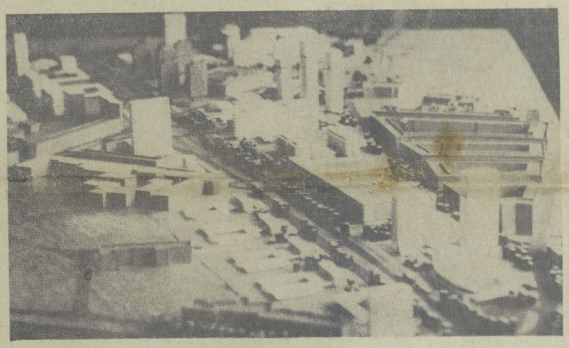

Tak będzie wyglądał pl. Grunwaldzki (widok od strony wschodniej). Fot. Robert Szecówka

KAŻDY wrocławianin słyszał, przynajmniej coś niecoś, o przyszłej zabudowie miasta, nowych arteriach komunikacyjnych, nowoczesnych rozwiązaniach architektonicznych. Trasa W-Z — już jest, będzie podziemne przejście, będzie... Niedawno prasa codzienna opublikowała wyniki konkursu urbanistycznego na zabudowę centrum miasta. Nowoczesność i funkcjonalność!

Chciałabym przedstawić tylko wycinek przyszłości: wrocławskie uczelnie za dziesięć, piętnaście lat. Plany budowy i rozbudowy nowych obiektów szkół wyższych uwzględniają cechy architektoniczne przyszłego Wrocławia. Zieleń, akcenty plastyczne, które są tak potrzebne do rozproszenia bieli i szarości nowych obiektów, i przede wszystkim komponowanie nowych budynków uczelni w zabudowę miasta.

Zacznijmy od jednego z najbardziej reprezentatywnych miejsc Wrocławia: placu Grunwaldzkiego. Jadąc w kierunku ronda od strony Urzędu Wojewódzkiego, po lewej stronie zobaczymy kompleks budynków Politechniki Wrocławskiej, które można krótko określić trzema przymiotnikami: nowoczesne, funkcjonalne, estetyczne. Pojawią się tzw. średniowysokie obiekty dydaktyczne, obok nich doskonale wyposażone laboratoria i pomieszczenia warsztatowe. Te ostatnie utrzymane w typie zabudowy pawilonowej. Domy studenckie, bufety, kawiarnie, sala kinowa i widowiskowa będą nieco oddalone od centrum dydaktyczno-naukowego. Studenci będą się uczyć i wypoczywać nie tylko w obecnych, przepełnionych „tekach" ale i w wygodnych, funkcjonalnych pomieszczeniach przy ul. Wittiga i Olszewskiego. I coś dla ducha sportowego. W rejonie ul. Chełmońskiego planuje się ukończenie II etapu studium wychowania fizycznego. Urzeczywistnienie pięknej wizji. Politechniki będzie kosztowało miliard złotych.

Obiekty Uniwersytetu, generalnie rzecz biorąc, zgrupują się w trzech punktach. Jeden zespół to budynki instytutów w pobliżu Gmachu Głównego uczelni, drugi — lewa strona osi placu Grunwaldzkiego, i trzeci: obszar między ulicami Mazowiecką, Traugutta i Krasińskiego. Nakładem miliarda złotych powstaną dalsze obiekty Wydziału Mat-Fiz-Chem, instytuty nauk społecznych, nowa, obszerna biblioteka oraz zespół obiektów sportowych z prawdziwego zdarzenia. Tereny rekreacyjne, hale sportowe, przystań sportów wodnych z pełnym wyposażeniem powstaną między Odrą i Ojawką. Plany najstarszej uczelni Wrocławia przewidują wybudowanie trzech „akademików" i hotelu dla studiujących zaocznie.

Możliwości placu Grunwaldzkiego wyczerpią dwie nowe kliniki Akademii Rolniczej oraz gmach Wydziału Rolnego tejże uczelni. Inwestorzy (Zarząd Inwestycyjny Szkół Wyższych) i władze uczelni dążą do wybudowania w pobliżu biblioteki, bo takiej prawdziwej studenci AR właściwie nie mają oraz gmachu rektoratu. Drugi rejon zabudowy uczelni to Biskupin. Na obszarze od ul. Olszewskiego do Wałów nad Odrą będą powstawać domy studenckie i całe studium WF. Studenci Wydziałów Zootechnicznego i Technologii Rolno-Spożywczej otrzymają nowe, potrzebne budynki. Powiększy się również kubaturowy stan posiadania Wydziału Mechanizacji Rolnictwa. Inwestycje AR będą kosztowały pół miliarda złotych.

Zanim przenieśliśmy się w inne strony Wrocławia kilka słów o zespole obiektów, których plan szczególnie przypadł mi do gustu zarówno ze względu na funkcję, jak i ciekawą, nowoczesną formę. Na placu Grunwaldzkim, w miejscu, gdzie obecnie stoi niewydarzony pawilon sklepu spożywczego, i na nie wykorzystanym placu naprzeciw „Dwudziestolatki" powstanie centrum kulturalno-usługowe dla studentów. Będzie tam hotel dla studentów zagranicznych, dwa obiekty dydaktyczne, informacja turystyczna, punkty handlowe i wiele punktów usługowych. Projektodawcy pomyśleli również o zmotoryzowanych, przewidując dla nich obszerny parking.

Ze szczelnie wypełnionego nowoczesnymi, jasnymi budynkami placu Grunwaldzkiego przenosimy się do zieleni Stadionu Olimpijskiego i Pola Marsowego. Na tym terenie do roku 1980 powstanie zupełnie nowa Akademia Wychowania Fizycznego. Na przeszło 18-hektarowym obszarze wyrosną dwa domy studenckie, obiekty dydaktyczno-naukowe, dydaktyczno-sportowe, budynki zakładów o różnych specjalizacjach, baseny pływackie o powierzchni 7 tys. m kw. i jakże potrzebna hala widowiskowo-sportowa na 4 tyś widzów. Oprócz obiektów

Dokończenie na str. 4

Rys. Robert Szecówka

Na pierwsze bokserskie mistrzostwa świata odleciała do Hawany reprezentacja Polski. Na zdjęciu — Ryszard Tomczyk, Zbigniew Kicka, Andrzej Jagielski i Jerzy Rybicki — członkowie drużyny — przed odlotem z Warszawy.

CAF — Matuszewski

CORTADO FLAMENGO CORRIDA -OLE!

str. 13

Oczekiwanie na pomyślny wiatr. Fot. Marek Grotowski

ŚWIAT

■ JUBILEUSZ PRZYJACIÓŁ. W Bukareszcie zapowiedziano, że w przededniu 30 rocznicy wyzwolenia Rumunii — 22 sierpnia br. — odbędzie się tam uroczysta sesja Wielkiego Zgromadzenia Narodowego.

Obecnie przemysł rumuński produkuje w ciągu 2 tygodni tyle, ile w ciągu całego 1938 roku.

■ POZNAWANIE ŚWIATA. W Bukareszcie obraduje pod auspicjami ONZ Światowa Konferencja Ludnościowa. Na inauguracyjnym posiedzeniu przemawiał K. Waldheim i N. Ceausescu.

■ 500 ŚMIERTELNYCH OFIAR. Agencje prasowe doniosły, że w ciągu ostatnich tygodni w Brazylii zmarło na zapalenie opon mózgowych około 500 osób.

■ DWA PAŃSTWA. Agencja PL zamieściła ostatnio kilka publikacji o rozwoju służby zdrowia na Kubie, z których wynika, że kraj ten znacznie prześcignął w tej dziedzinie wszystkie państwa południowoamerykańskie. M.in. zlikwidował — dzięki masowym szczepieniom profilaktycznym — wiele groźnych tam dawniej chorób zakaźnych.

■ NIEAKTUALNY MANIFEST. „Guardian" napisał, że przedstawione ostatnio w wydanej przez brytyjski rząd labourzystowski „Białej Księdze" plany częściowej nacjonalizacji przemysłu są mniej radykalne, niż przewidywał to manifest wyborczy Partii Pracy, m.in. nie ma w nich zapowiadanych do upaństwowienia 25 największych towarzystw przemysłowych i innych.

■ SŁABA PAMIĘĆ? „Le Quotidien de Paris" napisał — w związku z ostatnią podwyżką we Francji cen mąki i pieczywa oraz niektórych innych artykułów — że gabinet J. Chirasa nie daje przekonywujących dowodów chęci walki z inflacją i wzrostem cen, walki, którą sam proklamował.

■ ŹRÓDŁO SZACUNKU. Premier rządu francuskiego J. Chirac powiedział w Saint-Maxime, że dla utrzymania pokoju „wymagana jest potęga militarna, gdyż ona jedynie sprawia, iż naród traktowany jest z szacunkiem".

■ KOSZYKI CORAZ LŻEJSZE. Centralny Urząd Statystyczny w Rzymie podał, że w okresie od czerwca 1973 roku do maja 1974 roku koszty utrzymania we Włoszech wzrosły o przeszło 17 procent.

■ SZCZĘŚLIWA „13". Radziecka „Prawda" poinformowała, że w ciągu ostatnich 3 lat dochody netto w których wynika, że kraj ten znacznie prześcignął w tej dziedzinie wszystkie państwa południowoamerykańskie. M.in. zlikwidował — dzięki masowym szczepieniom profilaktycznym — wiele groźnych tam dawniej chorób zakaźnych.

■ NIEAKTUALNY MANIFEST. „Guardian" napisał, że przedstawione ostatnio w wydanej przez brytyjski rząd

■ CZY ŚWIAT przetrwa milion lat? Szwedzcy specjaliści opracowali raport na temat elektrowni atomowych, w którym podają, że prawdopodobieństwo samoistnej eksplozji w tego rodzaju słowiańskich zachodzi, teoretycznie rzecz biorąc, raz na milion lat, przy czym konsekwencje takiego wypadku nie byłyby większe, niż przy zwykłej katastrofie lotniczej.

■ KOMU BOMBĘ? Amerykańska Associated Press nadała ostatnio obszerne opracowanie W. Stocktona, z którego wynika, że obecnie nawet jedna osoba posiadająca około 10 kg ilenku plutonu i pewną ilość substancji chemicznych może w ciągu kilku tygodni zaprojektować i zbudować prymitywną bombę atomową, ale taka bomba miałaby połowę siły bomby zrzuconej na Hiroszimę. Stąd szczególnego znaczenia nabiera problem zabezpieczenia przed kradzieżą magazynów ze „specjalnym materiałem nuklearnym". Specjaliści amerykańscy twierdzą, że sytuacja w USA w tej dziedzinie jest taka, iż taka kradzież może być zauważona dopiero przy zniknięciu 3,3 funta „specjalnego materiału" lub może być nie wykryta przez okres 6 tygodni.

■ NOWA KAMPANIA? Prezydent Syrii H. Asad oświadczył w czasie swojej wizyty w Jugosławii, że dysponuje niepodważalnymi dowodami, iż Izrael przygotowuje się do nowej kampanii wojennej, na dalsze więc Arabom „żadnego wyboru, jak tylko przedsięwzięcie militarnych kroków".

■ W BRUKSELI BEZ ZMIAN. Niektóre agencje prasowe, m.in. AP, komentując decyzję Aten o wystąpieniu z organizacji wojskowej Paktu Atlantyckiego, piszą, że takie postanowienie brzmi w Grecji bardzo dobrze, zaspokaja bowiem antyamerykańskie nastroje w tym kraju, tym bardziej, że rząd K. Karamanlisa zapowiadał, iż jego przedstawiciele wojskowi opuszczą NATO w ciągu 24 godzin. Jednak ta ostatnia zapowiedź nie została dotychczas spełniona. Grecy nadal zasiadają w Radzie NATO i w dalszym ciągu utrzymują swego ambasadora i swój personel w jej głównej kwaterze w Brukseli. Jednocześnie rzecznik amerykańskiego departamentu stanu oświadczył, że USA podejmą rozmowy z rządem greckim, aby precyzyjnie ustalić przyszłą rolę Grecji w NATO.

■ ŚMIERĆ DYPLOMATY. W ubiegły poniedziałek podczas antyamerykańskiej demonstracji Greków cypryjskich w Nikozji zabity został ambasador USA na Cyprze Rodger Davies.

■ NIEWYGODNY DYKTATOR. „New York Times" napisał w związku z nieudanego zamachu na życie szefa administracji południowokoreańskiej Park Czung Hi — że „poparcie USA dla niepopularnego i demiażdżącego naród reżimu seulskiego może podważyć interesy bezpieczeństwa w tym rejonie, tym bardziej, że problem polega na tym, czy dyktatorowi może utrzymać się przy władzy, jeżeli jego jedyna metoda rządzenia są represje".

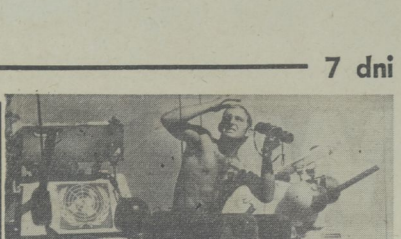

Mimo porozumienia o wystrzymaniu ognia, na Cyprze dochodzi nadal do incydentów zbrojnych między wojskami tureckimi, a oddziałami Greków cypryjskich. Na zdjęciu — posterunek sił ONZ.
CAF—AP

ŚWIAT CZEKA NA ROZSĄDEK

Kiedyś, przed wielu laty, gdy obecny premier Turcji Bulent Ecevit nie był jeszcze premierem, gdy mieszkał daleko od swego rodzinnego kraju, spotyzował swoje myśli o Turkach i Grekach w bardzo pięknym wierszu, który — w wolnym przekładzie można czytać tak:

„Kiedy tęsknisz za ojczyzną, pojmujesz, że jesteś bratem Greka.

Popatrz na Turka. On, będąc na obczyźnie, przysłuchuje się pieśni greckiej.

Łzyliśmy Greków w bogatej mowie tureckiej. Między nas wkroczyła nienawiść. W ukryciu jednak wciąż trwa miłość.

Łączy nas czarodziejska więź, ciepłe morze, na którego brzegach rozsiedliśmy się, my, dwa narody, jeden wspaniałszy od drugiego. I pewnego dnia damy początek złotemu wiekowi egejskiemu".

Cypr...

Nikt lub prawie nikt z tureckich mieszkańców tej konfliktowej wyspy, podobnie jak ich współrodacy z Anatolii, nigdy nie czytał tego wiersza, ani innych wierszy, na przykład Nazima Hikmeta.

Europa dobrze zna Homera. Większość Greków cypryjskich, podobnie jak ich współplemieńcy z Heliady, nigdy nie zapoznało się z Iliadą i Odyseją.

We wszystkich bowiem trzech republikach — co dokumentuje „Rocznik Statystyczny" — mamy, mówiąc bardzo delikatnie, „poziom oświaty" najniższy na naszym kontynencie, równy jedynie hiszpańskiemu i portugalskiemu.

Cypr — wyspa o powierzchni mniejszej niż województwo katowickie — nigdy nie zaznał spokoju potrzebnego do rozwijania oświaty, nauki, poezji. Zawsze bowiem — od najdawniejszych czasów — był nękany i podbijany przez różne państwa i państewka. W roku 1878 dostał się w końcu pod zarząd Wielkiej Brytanii, później, w 1925 roku, stał się jej kolonią, na 35 lat, aż do roku 1960, potem, po odzyskaniu niepodległości, pozostał do dziś jej bazą wojskową.

„Divide et impera" czyli „dziel i rządź".

Dziś na śródziemnomorskiej wyspie — liczącej 850 tysięcy ludzi — stacjonuje około 70 tysięcy wrogich sobie żołnierzy (nie licząc 12-tysięcznych oddziałów brytyjskich oraz 4-tysięcznych ONZ) wyposażonych m. in. w 200 czołgów i innych pojazdów bojowych.

Jaki los czeka tę wyspę? Czy ludzie bezpośrednio zaangażowani w jeszcze jedną tragedię „rodziny człowieczej" potrafią dostrzec oczekiwania strategów Paktu Północnoatlantyckiego i — kierując się już nie „miłością ukrytą pod nienawiścią", jak pisał kiedyś B. Ecevit, lecz tylko zwykłym rozsądkiem — odrzucić te oczekiwania? Bez rozsądku tych ludzi świat — i jego najbardziej postępowe siły — nie będzie w stanie znaleźć sprawiedliwego i skutecznego rozwiązania problemu cypryjskiego.

F. S.

POLSKA

■ DŁUŻNICY. T. Sapociński z PAP-u, nawiązując do ostatniego posiedzenia Rady Ministrów, na którym za jedno z najważniejszych zadań uznano utrzymanie pełnej rytmiczności produkcji, pisze w komentarzu na ten temat, że „sprawą zasadniczą wagi jest m.in. odrobienie zaległość przez te zakłady, które nie wykonały w pełni operatywnych planów sprzedaży własnej produkcji i usług w okresie styczeń — lipiec br. Łącznie są 52 takie przedsiębiorstwa, a niedobór ich produkcji wynosi około pół miliarda złotych (...). Przede wszystkim w nich (ale nie tylko) trzeba podjąć takie środki, które przyniosłyby w krótkim czasie odczuwalny wzrost wydajności pracy, a ściślej ze tym — dostarczyć poszukiwanych wyrobów na rynek i na eksport".

■ 7 DNI JEDNEGO TYGODNIA. Z informacji opublikowanych w prasie codziennej w ciągu ostatnich 7 dni wynika, że — w białostockiej dzielnicy Białostocczek zajmującej 106 hektarów powierzchni zabudowanej obecnie 300 drewnianymi domkami parterowymi powstanie nowa osadla dla 16 tysięcy mieszkańców składające się z 5 i 11-kondygnacyjnych budynków;

— w Białymstoku powstaje fabryka mebli z docelową produkcją roczną 40 tysięcy kompletów do zabudowy ścian;

— w Jarosławiu kończy się wznoszenie huty opakowań szklanych;

— w Siedlcach dobiega końca budowa wytwórni lekkich konstrukcji stalowych;

— w hucie „Bierut" rozpoczęto przygotowania do budowy wytwórni rur spawanych o dużych średnicach;

— na budowie huty „Katowice" trwają prace m.in. przy montażu największego w naszym hutnictwie wielkiego pieca;

— wkrótce w „Dolnej Odrze" zostanie przekazany do eksploatacji drugi blok energetyczny o mocy 200 megawatów;

— w łódzkim Instytucie Technik Cieplnych podjęto dla zaplanowanej na Wybrzeżu Gdańskim elektrowni atomowej prace nad konstrukcją tzw. wytwornicy pary stanowiącej jedno z podstawowych urządzeń w siłowniach jądrowych.

■ POLSKA MORSKA. Dyrektor ekonomiczny Zjednoczenia Przemysłu Okrętowego w Gdańsku W. Korchot powiedział w wywiadzie dziennikarzowi „Życia Gospodarczego" J. Surzykowskiemu m.in. co następuje:

— w 1970 roku stocznie polskie przekazały do eksploatacji statki morskie o łącznej nośności 550 tysięcy ton, w 1973 roku o nośności 740 tysięcy ton, a perspektywy na 1975 rok sięgają 1 miliona ton;

— musimy w budownictwie okrętowym nie tylko nadążać za powstającymi w świecie nowymi typami statków, ale i sami powinniśmy w przyszłości kreować własne (nowe) rozwiązania i własne (nowe) typy jednostek pływających. Chodzi bowiem o olbrzymie pieniądze. Np. za tradycyjne już uniwersalne „10-tysięczniki" płaci się 7–8 milionów dolarów. Natomiast za powstałe przed paru laty statki do przewozu skroplonych gazów (budowę takich jednostek rozpoczniemy w przyszłym 5-leciu) otrzymuje się nawet 100 milionów dolarów;

— budujemy nie tylko nowy suchy dok w Gdyni i nie tylko rozbudowujemy tamtejszą stocznię, ale znacznie rozbudowujemy również stocznię w Gdańsku (m.in. powstają tam nowe pochylnie i nowe hale produkcyjne, prowadzi się też przygotowania do budowy suchego doku), a jednocześnie startuje budowa dużych pochylni i hal produkcyjnych w stoczni szczecińskiej, powstanie tam też suchy dok, chyba większy od gdyńskiego, natomiast w małej obecnie stoczni w Ustce wzniesie się duży zakład budowy statków średniej a nawet dużej wielkości.

■ WSPÓŁPRACA A. D. 1974. Polska i Związek Radziecki podpisały w Warszawie porozumienia o współpracy obu państw w rozwoju w Związku Radzieckim produkcji surowców żelaznorodnych i niektórych rodzajów żelaziwa, pów oraz o wieloletnich dostawach tych surowców z ZSRR do Polski.

W rezultacie tych porozumień w latach 1975-78 Polska przekaże Związkowi Radzieckiemu maszyny i urządzenia oraz materiały niezbędne do zwiększenia mocy produkcyjnej radzieckiego kopalnictwa rud żelaznych i żelaziwa oraz do wzbogacania tych surowców. Natomiast ZSRR zwiększy od 1979 roku dostawy do Polski wzbogaconych rud żelaza o 2,5 miliona ton rocznie oraz zapewni dostawy żelaziwa w ilości 61 tysięcy ton rocznie.

Nieco wcześniej oba państwa zawarły porozumienia dotyczące udziału Polski w rozwoju w ZSRR produkcji celulozy i azbestu.

■ BUDOWANIE PRZYJAŹNI. Dyrektor zamkniętej w niedzielę polskiej wystawy w Moskwie powiedział dziennikarzowi warszawskiej telewizji, że z prezentowanym na wystawie 30-letnim dorobkiem naszego kraju zapoznało się 1200 tysięcy ludzi i że w ciągu 33 dni trwania tej ekspozycji zawarto kontrakty handlowe na sumę 300 milionów rubli.

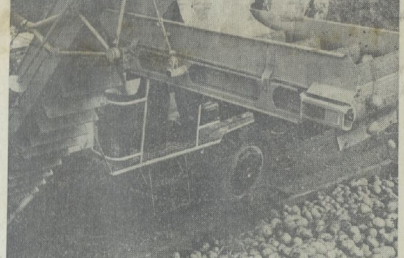

Pierwsze wykopki ziemniaków rozpoczęto na polach gospodarstwa Niedalino w woj. koszalińskim. Zbiera się tu już sadzeniaki wczesnej odmiany „Krokus".
CAF — Kraszewski

W następnym numerze:

Kazimierz Koszutski: Zrozumieć kamień: Henryk Worcell: Krrrew mnie zalewa; Edwarda Opoczyńska: Huta, nie huta; Zbigniew Tempski: Stosunki wymiany; Halina Murza-Siankiewicz: Lekarz i pisarz a świat współczesny; Zenon Wadecki: Recepta na wyniki; Lew Sidorowski: O Gruzji pieśń; Elżbieta Kokowska: Społeczniki; Ryszard Majewski: Wrzesień skończył się na maju 1945 roku; Walter Schellenberg: Pamiętniki — Wieprz na kartoflisku; Władysław Leny-Kisielewski: Lotnicze pomniki Września; Janina Wieczerska: Opowiadanie na wrzesień; Fred S. Toby: Lot do Bostonu; Barbara Wojak-Szaro: O wielkich pionierach kolarstwa; Norbert Honsza: Dlaczego Sherlock Holmes musiałby pójść do mamra?; Andrzej Grzelak: Rozrywka na wczasach; Michał Franusz: „Giełda przebojów; Lora Kustrzeba: O miłości, małżeństwie i rodzinie".

DOLNY ŚLĄSK

● Kombinat DELTA-HYDRAL dał przykład konkretnego włączenia się wielkich fabryk do akcji żniwnej według przemysłowych możliwości i specjalności. Do dyspozycji kierujących żniwami postawiono samochód z częściami zamiennymi hydraulikki siłowej dla maszyn rolniczych, pod telefonem zaś dyżurowała ekipa najlepszych fachowców — mechaników.

● Górnicy Kopalni Węgla Brunatnego TURÓW parkiem swoich traktorów i przyczep odciążali na pobudniu powiatu zgorzeleckiego rolników w zadaniach transportowych, umożliwiając im zaangażowanie wszystkich pojazdów mechanicznych do bezpośrednich zadań żniwnych.

● Jeszcze tylko 6 metrów pozostało (po 82 już zbudowanych) do uwieńczenia „wiecha" szczytu najwyższego budynku we Wrocławiu — u zbiegu ulic: Wielkiej i Powstańców Śląskich, siedziby POLTEGOR-u — Ośrodka Projektowego Ministerstwa Górnictwa i Energetyki.

● W Pitawie Górnej (powiat dzierżoniowski) odbyła się piękna uroczystość rodzinna, dowód szczególnej prężności pokoleniowej Dolnoślązaków. W tym samym dniu odbyły się srebrne gody małżeńskie państwa Rozaki i Jana Chylińskich oraz uroczyste nadanie imion ich trojga wnuczętom. Splendor familijnego święta podnosił udział naczelnika powiatu oraz przedstawicieli rad zakładowych i dyrekcji zakładów pracy srebrnych małżonków — dziadków.

● Państwowe Gospodarstwo Rolne w Ostelnicy koło Chojnowa z powodzeniem mecenasuje sztuce. Z serdeczną gościnnością urządzono tam plener artystów plastyków „Ostelnica 74", którego efektem będzie pierwsza w kraju wiejska galeria sztuki.

● Już 35 milionów złotych ofiarowali wrocławianie na Narodowy Fundusz Ochrony Zdrowia, przodują — dzielnica Stare Miasto, co nie pozostaje bez związku z wysokim poziomem organizacji służby zdrowia w tej właśnie dzielnicy miasta. Akcja NFOZ jest znanym przykładem zasady „sami — sobie", z zebranych funduszy modernizuje się, rozbudowuje i wyposaża wrocławskie placówki ochrony zdrowia. M. in. 2 mln zł otrzymała przychodnia studencka, 4 mln zł — Akademia Medyczna, 2,700 tys. Wojewódzka Stacja Krwiodawstwa, rozpoczęto także pierwszą we Wrocławiu inwestycję z NFOZ — żłobek przy ul. Szczęśliwej.

● W palmiarni wrocławskiego Ogrodu Botanicznego kwitną drzewka orzechów arachidowych, a dojrzewają owoce bananowców.

● Pierwszy „sezon nauki" kończy we Wrocławiu Letnia Szkoła Nauk Ścisłych i Kultury Polskiej zorganizowana przez Uniwersytet Wrocławski i Tow. Łączności z Polonią amerykańską. Słuchaczami jest 57 osób pochodzenia polskiego z USA, Francji i Wielkiej Brytanii, w programie lektoraty z biochemii, języka polskiego i kultury (literatura, teatr, film, malarstwo).

● Znakomicie zdał egzamin tranzystorowy odbiornik DIORY „Alina", stanowiąc jedyne i niezawodne połączenie ze światem śląskiej wioski w Nieborowicach pod kier. mgr inż. Jana Welgla w Hinduksuzu na wysokości 4 tys. metrów n.p.m.

● Wojewódzka Stacja Krwiodawstwa rozpoczęła akcję wpisywania oznaczeń grupowych krwi do dowodów osobistych kierowców oraz pracowników przemysłu narażonych na wypadki.

● Półtora tysiąca ton mięsa młodych wołców dostarczać będzie rocznie nowa bukacharnia w Pegowie, pow. trzebnicki, ośrodek hodowli 3 tysięcy sztuk młodego bydła.

● Centralne Osiedle Mieszkaniowe spółdzielni „Górnik" na Piaskowej Górze w Wałbrzychu znalazło się wśród pięciu w kraju zwycięzców konkursu na wzorowe osiedle mieszkaniowe XXX-lecia rozegranego w Lublinie. Osiedle jest jednocześnie spółdzielczym „misterem" Dolnego Śląska.

● Podwójny sukces — dla siebie i dla gospodarki — odniósł w ramach akcji „Wakacje za własne zarobione pieniądze", hufiec OHP uczniów Technikum Elektronicznego we Wrocławiu pod komendą inż. Cz. Chilińskiego. Młodzi oczyścili z chwastów i pasożytów 83 hektary cennych użytków leśnych, a każdy z ochotników zarobił po 2600 zł na dalszy ciąg wakacji.

● Pięknym przykładem energii i gospodarności jest gmina Zawonia w pow. trzebnickim. Ostatni dorobek społeczny mieszkańców to 5,5 km nowej drogi, wodociągi wiejskie i czterorodzinny dom nauczyciela.

● Na olimpiadzie pitwnej w Brukseli złoty medal zdobyło nowe piwo wrocławskie — „Export Special". Produkcja naszego browaru nobilitowała się do rangi „Żywca" i „Okocimia".

● W Domu Kultury Zagłębia Miedziowego w Lubinie koncertowały zespoły młodych Amerykanów ze stanów Ohio, Pensylwania i Arizona. Były to przeważnie zespoły młodzieży szkolnej. Goście, występujący pod hasłem „Głosimy przyjaźń przez muzykę" — zostali serdecznie przyjęci przez społeczeństwo zagłębia.

● Wciąż przybywa we Wrocławiu — na zdrowie i radość — ogródków działkowych, mamy ich obecnie 854 hektary. Z drzew owocowych najpopularniejsze są jabłonie (74 tys. sztuk). Co roku działkowicze zwiększają zaopatrzenie żuchni spiżarni miasta o 9 tys. ton warzyw i owoców.

● W 1974 roku turyści i weekendowicze mają do dyspozycji na Dolnym Śląsku 60 campingów i pól namiotowych. Dla organizatorów wielkie brawa za przykładowo przystępne dla każdego turysty opłaty. Chodzi wszak nie o „biznes", ale o popularyzację zdrowych form spędzania wolnego czasu.

● Harcerski Zespół Muzyczny „Groteska" z Wrocławia (X Liceum Ogólnokształcące) zdobył na Festiwalu Kultury Młodzieży Szkolnej w Kielcach teledysk za własne kompozycje i ich wykonanie.

Już wyruszyli

Do redakcji „Wiadomości". Córka moja, przebywająca na obozie wędrownym na Węgrzech pisze mi, abym składała Wasz tygodnik z artykułami o jakiejś wąskiej wyprawie naukowej studentów i pracowników nauki z Wrocławia na Bliski Wschód. Tymczasem niczego na temat takiej wyprawy w piśmie Waszym dotąd nie znalazłam. A może wyprawa nie doszła jeszcze do skutku?

Z. W. — Wrocław

List Pani przyszedł na dwa dni przed startem wyprawy. Wyruszyła z Wrocławia 4 sierpnia br. Jest to ekspedycja naukowo-badawcza Sekcji Płetwonurków AKT „Piranie" przy SZSP, biorą w niej udział studenci i pracownicy naukowi wrocławskiej Politechniki i Uniwersytetu. Szefem wyprawy jest Bolesław Mazurek, kierownikiem naukowym — docent Zdzisław Haldukt. Trasa ekspedycji prowadzi przez ZSRR, Rumunię, Bułgarię, Turcję, Syrię, Irak i Kuwejt — do Iranu.

O przebiegu wyprawy i jej plonach oczywiście będziemy w „Wiadomościach" pisać, już „zaklepaliśmy" sobie korespondentów.

30 LAT DZIENNIKARSKIEGO ŻYCIA

Redakcja „Wiadomości" ma rzadką w prasie polskiej okazję opublikowania obok siebie fotokopii reportażu sprzed 30 lat i tekstu napisanego przed kilkoma dniami — tego samego autora. Publikuje on w prasie dolnośląskiej od lat 28, nie musimy go zatem czytelnikom przedstawiać. Znane są jego reportaże. Ciekawa na pewno jest sylwetka człowieka, który od 30 lat pracuje w swoim zawodzie i od tyluż zajmuje się reportażem i tylko reportażem.

W związku z tym zwróciliśmy się do naszego reportera Józefa Kuśmierka, żeby przeprowadził wywiad z jubilatem Józefem Kuśmierkem.

Reporter: Nietypowa sytuacja...

Józef Kuśmierek: Dziennikarstwo zna już takie sytuacje, ale na ogół autorzy traktują siebie humorystycznie lub co najmniej z przymrużeniem oka. Spodziewam się poważnych pytań.

Reporter: Jak doszło do napisania tego pierwszego reportażu? To było równo 30 lat temu.

J. K.: Mogę tylko wydedukować z kolejności zdarzeń, kiedy to mogło być, bo dokładnej daty nie pamiętam. 3 sierpnia wyszedłem z powstania, 11 sierpnia przeszedłem front, 15 byłem już w mundurze żołnierza I Armii WP. Musiało więc to być na przełomie sierpień—wrzesień. Jak doszło? Zjechało na front kilku pułkowników, wśród nich Borejsza. Sokorski, dowiedzieli się, że w jednostce jest dziennikarz warszawski, czyli ja. Zawezwali, kazali napisać. Notabene jest to dzisiaj jedyny reportaż, za który nie zainkasowałem honorarium.

Reporter: Pierwsze odczucia gdy zobaczyłeś swój tekst? To przecież był debiut. Co czułeś, gdy dostałeś numer „Zwycięzymy" ze swoim tekstem?

J. K.: Człowieku, zajęcie Paryża, od Morza Północnego po Zatokę Tokijską kula ziemska poprzecinana kilkoma liniami frontu... Wiadomości, z których każda była historyczna, sypały się jak z rękawa. I ja miałbym coś przeżywać dlatego, że zobaczyłem swoje nazwisko obok nazwiska de Gaulle'a!

Reporter: A jednak...

J. K.: Zawsze chciałem być dziennikarzem. Nie wiem, skąd mi się to wzięło, ale były to marzenia... dziecinne. Wtedy jednak miałem ważniejsze zadania: bić, strzelać, iść naprzód. Nie zapominaj, że to był wrzesień 1944.

Reporter: Tak, wrażenia przeżywaliśmy wtedy silne.

J. K.: Wiesz, powiem ci coś dziwnego. Jednym naprawdę silnym wrażeniem, które pamiętam, które potrafiłbym opowiedzieć dziś, było zdziwienie, że żyję. Zdziwienie wyłącznie bo aresztowanych traktowaliśmy jako tych, co zginęli, bez szansy przeżycia. Rachunek prawdopodobieństwa, rachunek, który sobie w pełni uświadamiałem, wskazywał, że następny muszę być ja. Niedobrze jest poznawać wyższą matematykę od takiego rachunku mając 17 lat. To zdziwienie nie opuszczało obok siebie fotokopii reportażu sprzed 30 lat i tekstu napisanego przed kilkoma dniami — tego samego autora. Publikuje on w prasie dolnośląskiej od lat 28, nie musimy go zatem czytelnikom przedstawiać. Znane są jego reportaże. Ciekawa na pewno jest sylwetka człowieka, który od 30 lat pracuje w swoim zawodzie i od tyluż zajmuje się reportażem i tylko reportażem.

W związku z tym zwróciliśmy się do naszego reportera Józefa Kuśmierka, żeby przeprowadził wywiad z jubilatem Józefem Kuśmierkem.

Reporter: Nietypowa sytuacja...

Józef Kuśmierek: Dziennikarstwo zna już takie sytuacje, ale na ogół autorzy traktują siebie humorystycznie lub co najmniej z przymrużeniem oka. Spodziewam się poważnych pytań.

Reporter: Jak doszło do napisania tego pierwszego reportażu? To było równo 30 lat temu.

J. K.: Mogę tylko wydedukować z kolejności zdarzeń, kiedy to mogło być, bo dokładnej daty nie pamiętam. 3 sierpnia wyszedłem z powstania, 11 sierpnia przeszedłem front, 15 byłem już w mundurze żołnierza I Armii WP. Musiało więc to być na przełomie sierpień—wrzesień. Jak doszło? Zjechało na front kilku pułkowników, wśród nich Borejsza, Sokorski, dowiedzieli się, że w jednostce jest dziennikarz warszawski, czyli ja. Zawezwali, kazali napisać. Notabene jest to dzisiaj jedyny reportaż, za który nie zainkasowałem honorarium.

Reporter: Pierwsze odczucia gdy zobaczyłeś swój tekst? To przecież był debiut. Co czułeś, gdy dostałeś numer „Zwycięzymy" ze swoim tekstem?

J. K.: Człowieku, zajęcie Paryża, od Morza Północnego po Zatokę Tokijską kula ziemska poprzecinana kilkoma liniami frontu... Wiadomości, z których każda była historyczna, sypały się jak z rękawa. I ja miałbym coś przeżywać dlatego, że zobaczyłem swoje nazwisko obok nazwiska de Gaulle'a!

Reporter: A jednak...

J. K.: Zawsze chciałem być dziennikarzem. Nie wiem, skąd mi się to wzięło, ale były to marzenia... dziecinne. Wtedy jednak miałem ważniejsze zadania: bić, strzelać, iść naprzód. Nie zapominaj, że to był wrzesień 1944.

Reporter: Tak, wrażenia przeżywaliśmy wtedy silne.

J. K.: Wiesz, powiem ci coś dziwnego. Jednym naprawdę silnym wrażeniem, które pamiętam, które potrafiłbym opowiedzieć dziś, było zdziwienie, że żyję. Zdziwienie wyłącznie bo aresztowanych traktowaliśmy jako tych, co zginęli, bez szansy przeżycia. Rachunek prawdopodobieństwa, rachunek, który sobie w pełni uświadamiałem, wskazywał, że następny muszę być ja. Niedobrze jest poznawać wyższą matematykę od takiego rachunku mając 17 lat. To zdziwienie nie opuszczało obok siebie fotokopii reportażu sprzed 30 lat i tekstu napisanego przed kilkoma dniami — tego samego autora. Publikuje on w prasie dolnośląskiej od lat 28, nie musimy go zatem czytelnikom przedstawiać. Znane są jego reportaże. Ciekawa na pewno jest sylwetka człowieka, który od 30 lat pracuje w swoim zawodzie i od tyluż zajmuje się reportażem i tylko reportażem.

W związku z tym zwróciliśmy się do naszego reportera Józefa Kuśmierka, żeby przeprowadził wywiad z jubilatem Józefem Kuśmierkem.

Reporter: Nietypowa sytuacja...

Józef Kuśmierek: Dziennikarstwo zna już takie sytuacje, ale na ogół autorzy traktują siebie humorystycznie lub co najmniej z przymrużeniem oka. Spodziewam się poważnych pytań.

Reporter: Jak doszło do napisania tego pierwszego reportażu? To było równo 30 lat temu.

J. K.: Mogę tylko wydedukować z kolejności zdarzeń, kiedy to mogło być, bo dokładnej daty nie pamiętam. 3 sierpnia wyszedłem z powstania, 11 sierpnia przeszedłem front, 15 byłem już w mundurze żołnierza I Armii WP. Musiało więc to być na przełomie sierpień—wrzesień. Jak doszło? Zjechało na front kilku pułkowników, wśród nich Borejsza, Sokorski, dowiedzieli się, że w jednostce jest dziennikarz warszawski, czyli ja. Zawezwali, kazali napisać. Notabene jest to dzisiaj jedyny reportaż, za który nie zainkasowałem honorarium.

Reporter: Pierwsze odczucia gdy zobaczyłeś swój tekst? To przecież był debiut. Co czułeś, gdy dostałeś numer „Zwycięzymy" ze swoim tekstem?

J. K.: Człowieku, zajęcie Paryża, od Morza Północnego po Zatokę Tokijską kula ziemska poprzecinana kilkoma liniami frontu... Wiadomości, z których każda była historyczna, sypały się jak z rękawa. I ja miałbym coś przeżywać dlatego, że zobaczyłem swoje nazwisko obok nazwiska de Gaulle'a!

Reporter: A jednak...

J. K.: Zawsze chciałem być dziennikarzem. Nie wiem, skąd mi się to wzięło, ale były to marzenia... dziecinne. Wtedy jednak miałem ważniejsze zadania: bić, strzelać, iść naprzód. Nie zapominaj, że to był wrzesień 1944.

Reporter: Tak, wrażenia przeżywaliśmy wtedy silne.

J. K.: Wiesz, powiem ci coś dziwnego. Jednym naprawdę silnym wrażeniem, które pamiętam, które potrafiłbym opowiedzieć dziś, było zdziwienie, że żyję. Zdziwienie wyłącznie bo aresztowanych traktowaliśmy jako tych, co zginęli, bez szansy przeżycia. Rachunek prawdopodobieństwa, rachunek, który sobie w pełni uświadamiałem, wskazywał, że następny muszę być ja. Niedobrze jest poznawać wyższą

Mój dziennikarski życiorys

1. Debiut we wrześniu 1944 r. w gazecie I Armii „Zwyciężymy" — fotokopię tekstu załączam.

2. 1946—1949 praca w „Trybunie Dolnośląskiej", „Chłopskiej Drodze" i „Gromadzie".

3. Od 1949 — do chwili bieżącej współpraca z wieloma pismami w kraju. Wydane tomy reportaży:

1) Uwaga człowiek — 1951;

2) Sprawa jednego konia — 1951;

3) Opowiadania reportera — 1954;

4) Wyrok — 1957;

5) Sztuki teatralne — lata 1944—1954;

6) Cena — 1964;

7) Stracone wakacje — 1973.

W płonącej Warszawie

Relacja uczestnika walk

Od Józefa Kuśmierka, pisującego Armii Ludowej, pseudonim bojowy—Arnold Grunze, który po wyzwoleniu ostatniego bastionu wolności w Warszawy po 3 dniach walki, otrzymujemy poniższą relację.

Popołudniu 22 lipca. Warszawa pełna zgiełku, ruchu i zamieszania. Jakiś dzień odwrotu. Niemców. Przez ulice płyną fale rozbitków z zwartej armii, która przez 5 lat była nieustępliwa. Ludzie nie skrywają radości, patrzą na uciekaję Niemców, na „Volksdeutschów", którzy łapią ten pociąg i gnają na północ samochody, które po przejechaniu 5 kilometrów zmuszały w rowie a ich właściciele pieszo odsywali dalej wycieczkę do Valerianda.

Wszystkie dzwony się, czekała na to chwilę pięć lat, dzwonią się chwili kiedy Kościerzów nikt się jest tak nie chwali. Hejnały grzmią, pojbch i zamieszanie wzrosło. Ulice były zakończone kilkunasto wozów. Płonie ostatnia swój na wyżnym kurs.

Pomysły dni zastępcę, teraz ludzie wiele rzeczy się jak tak jak pierwszego dnia. Na wszystkich twarzach uczka. Wojska w mieście coraz więcej. Niemcy mieszają wszystko: dworce, mosty, elektrownie, wodociągi fabryki. Cegłą mazyn wywożą, resztę niszczą. Jeszcze do Warszawy niema zapełnie, towary tymczasowe ostrzegają będzie stary. W chaos zaczyna się dowód towarów niema zapełnia. Płonią dużo trzy wartość. Zakładam poprzedniki dni wygląd, wrócić do Niemcy opierają się mocno nadciągnęym wojskom rozbiorczym. Tłum przyjęcia postawę wyczekujących-trwożnej.

Jedli chodzi o podstawa, to zaogni zdwaliśmy sobie sprawę, że nami (wilcząkę w to również siły A. K.) bez pomocy Armii Czerwonej nie zdołamy opanować Warszawy. Same oddziały A. K. zerkawały się do wchodzenia mocno i gnaszły politycznych przed wyzwoleniem.

W sobotę o godz. 16 dostaliśmy rozkaz odzięcy pogłowia i dekompozycji. W mieście tymczasem z nie do nad dni dowodzenia, Niemcy wycofali, coraz większe oddziały natrafiało — przez wielkie niszczenie — zapewnie jednak strzelnia. Rano w nie-

W płonącej Warszawie

Relacja uczestnika walk

Publikujemy-ciąg dalszy relacji Józefa Kuśmierka, pisującego Armii Ludowej, pseudonim bojowy — Arnold Grunze, który po wyzwoleniu ostatniego bastionu wolności w Warszawy po 3 dniach walki, otrzymujemy poniższą relację.

Nad ranem zjawiły się od strony Bielan a człowiek cudzi, wyniśmy im naprawdę, lecz sprawa była przegrana. Gdy tylko oddaliny parę strzałów, przyszły się na nas setki pocisków z C.K.W.W. umieszczonych na czołgach. Nasza grupa wycofała się na Marymont, tam czekaliśmy do godz. 6 wieczór, nie wychylając się ze schronu. Niemcy po przeprowadzeniu akcji wycofali się na Gwiazdę miasta. Nad miastem kłęby pożaru i zamiejsy, miasto zaczęło się palić, a dzielnica Starego Miasta dosłownie ciągle strzelanina.

Wieczorem mów wypełniamy na wlice, miasto były pełne, podchodzą, artyleria grała jeszcze na Żoliborzu. Rozkazem o 1 w nocy grupa, ciwiśmy Lipce Białobrzeskie wiele wszystkie dowcy zaborczykowane, i kto tam był mniej mocy wczuwajmy, dla jak niego piszących. Nie raz i nie sto razy byłem świadkiem, jak problemy czysto techniczne były powodem ludzkich dramatów i międzyludzkich konfliktów. By jednak o nich pisać, trzeba znać choćby zasady działania suchej baterii w ręcznej lampce elektrycznej. Tak zwani intelektualiści drą szaty, że politechnizacja życia zubaża ludzi, czyni z nich roboty. Sądzę, że przeegzaminowanie tych intelektualistów z fizyki i matematyki z zakresu tzw. małej matury bardzo by ich wzmocniło intelektualnie. Cóż byłby wart człowiek o najbogatszym „wnętrzu" nie umiejący się obchodzić z bezpiecznikami we własnym domu?

Reporter: Masz na myśli „korki"?

J. K.: Niech ci będzie korki, ty nieuku!

Reporter: Twój najlepszy reportaż?

J. K.: Ostatni, tzn. ten, który piszę. To jest właśnie pasjonujące w życiu dziennikarskim — umiejętność skupienia się, skoncentrowania swoich wszystkich sił na temacie bieżącym. Zdaję sobie sprawę z ich przemijania, dlatego najważniejszy, najpiękniejszy jest ten, który piszę dziś lub napiszę jutro.

Reporter: Co byś mógł ze swoich doświadczeń przekazać młodym?

J. K.: Pisakrew! Nie widzę młodych! Zanim zdążą być młodzi, już się starzeją. 30-letni „dobrze zapowiadający się" reporter to curiosum naszej prasy, niemniej jest to typ standard. Młody dziennikarz, który się zastanawia, czy mu „wydrukują", jest już ramolem nadającym się na emeryturę. Z tym wiąże

W płonącej Warszawie

Relacja uczestnika walk

Nasz oddział A. K., do którego się przyjęczyłem, liczył 6 ludzi, wyszedł do pomocy w całości, lecz rozpadły się, brak był człowiek. Wielu z nich to pałki. Chciało sam się jść, od 28 godzin nie jedliśmy nic. Zbliżała się północ, ogień wciąż wzmagał się, wa od strzelaniny armatniej wyrzeiały się ciągłe głuche wybuchy — to miny. Nad ranem kapitulacji się, i linijnie oddziałem A.K. Byli wzbuwani, sprzęć ciężki — mowili — skrzyżowany ra'ja, dostaną z Londynu a wrzucanych sw. cięgnawań na Żoliborzu. To konwojują, głów...

Wszystkich czarnych rzucać, potem spalić, żołnierze A. K. nadwiń stać samo kładzili sam ciągłe, bez ciężkiem się nie odzywać, widziałem ich zwyczaj, ciągnęły nam z nimi rozdarte tych kilkadziesiąt zwłoki przebrać.

Rano Niemcy [illegible] spokojnie wycofali się na Marymont. Koło godz. 8 zaczęły dochodzić z Place Inwalidów strzępiarzem salwy Serca nam zmarły, my warszawiacy, zaczęli chodzi o ciągły sytuację w mieście, nie była ona dogodna do powstania. Warszawa była pełna wojsk Żołnierzy i Sowietowcy pokrzyż. Na ludności walczącyjsze wrażenie wywarła wiadomość o wymuszonym z przez Niemców wszystkich wojsków Pawiaka. Po wiadomości jaj się zaczęło samochodów pancernych.

O godz. 17.30 rozpoczęła się strzelanina na Żoliborzu, trwała minimalnym ogniem, sensacjerów i RKM-ów. Zbliżał się wieczór. Niemcy z nie mieli, uciekają, ucieczki i ludzie. Pułkowa byłem odczuwały od rowów, przypuszczam się do jakiejś grupy A. K. Rozkazy 5-VIII 1 2 Parabelum, do tego po 12 sztuk naboi do każdego i [illegible]. Oczarują nas w pierwszej chwili radości, czy nam się zdawało, że jakaś ciężkiego. Niemców nie było widać. Z miasta dochodziła ostra strzelanina.

Spodziewaliśmy się tzna pomocy w mieście. Tak mówili nam cywcowie A. K. Byli ich tarów ciągły, nam nie wiedzieli co robić dalej, w mieście gdzie się odczuć pomoc odmawiowania. Wykonaci tych decyzje A.K. [illegible] się na przypadkowo, inni nie mieli żadnych rozkazów.

płt. Józef Kuśmierek

(Ciąg dalszy nastąpi)

Reprodukcja z pisma „Zwyciężymy", rok 1944, nr-ry 172 i 173.

REPORTER WITA „UNIWERSYTET WROCŁAWSKI"

— Więc „Uniwersytet Wrocławski" — stwierdził kapitan Portu Gdańskiego Zdzisław Grabski, podsumowując w ten sposób wielotygodniową dyskusję, jakim statkiem otworzy się Port Północny dnia 18 lipca. Była godzina 9 rano, 9 lipca, wtorek.

To właściwie nie była dyskusja, lecz trwające od wielu miesięcy przymiarki. Z rozkładu jazdy „Manifestu Lipcowego" i z planów tego remontów wynikało, że gdzieś w połowie lipca „Manifest" wejdzie na dok... który w marcu był dopiero w budowie. Wtedy zaczęły się przymiarki terminu oddania doku do terminu remontu „Manifestu", a wynik tych przymiarek dopasowywano do daty uruchomienia dźwigowi głowej w Porcie Północnym. Wtedy w marcu, pasowało. Pasowało jeszcze pod koniec czerwca i dlatego budowmy w Kopenhadze „Uniwersytet Gdański", na którym bandere podniesiono 28 czerwca, wepchnięto w stary basen rejonu III Portu w Gdańsku, bo tam Gdańskiem, a potem swoje nie dopełnione luki podstawił pod rozruch technologiczny urządzeń Portu Północnego. O „Uniwersytecie Wrocławskim" nie było wtedy mowy. Ostatni z serii budowanych w Kopenhadze 50-tysięcznika dość długo przechodził próby odbioru i nie mógł przyjechać. Istnieć plany Portu Północnego wpisany był „Manifest Lipcowy" jako ten pierwszy.

Drugiego lipca jadąc do Portu Północnego widziałem go górującego nad stocznią remontową, nad „rtem, ba nad Gdańskiem, a potem swoje nie dopełnione luki podstawił pod rozruch technologiczny urządzeń Portu Północnego. O „Uniwersytecie Wrocławskim" nie było wtedy mowy. Ostatni z serii budowanych w Kopenhadze 50-tysięcznika dość długo przechodził próby odbioru i nie mógł przyjechać. Istnieć plany Portu Północnego wpisany był „Manifest Lipcowy" jako ten pierwszy.

„Manifest" już na doku — przywitałem dyrektora technicznego portu, Aleksandra Białeckiego. Wcale się tym nie ucieszył.

— Tak, ale jutro, pojutrze zejdzie z doku.

— To dobrze czy źle?

— Jak dla kogo. Widzi pan, co się dzieje na redzie. Nie będą trzymali „Manifestu" dwa tygodnie, żeby otworzył port. Pan wie, co to znaczy: dwa tygodnie?

Wiedziałem. Tego samego dnia, jeszcze 2 lipca dowiedziałem się, jak doszło do tego, że zaplanowany, wytypowany i zatwierdzony „Manifest" nie będzie otwierał portu.

Było to tak. Stocznia remontowa budująca obecnie jedne z największych doków pływających w Europie, wybudowała swój dźwigowy dźwigi. Ostatecznie dok to nie żadne cudo techniki. Gdzie te czasy, kiedy pierwsze doki budowano na pontonach, które o mało nie zatonęły wraz z dokiem i ich budowniczymi, i ówczesnym dyrektorem Stoczni Remontowej, Gryglewskim?

Więc pierwszy budowę doku wcześniej. A że takich doków nie ma w Europie wiele i nie buduje się ich od święta, lecz do konkretnej roboty, przyzała kolej na dźwigie „więc". Więc przypadał termin remontu „Manifestu" „na klasę" czterolatnią, a że „Manifest" znalazł się pustym, to dźwigi go na dok. Okazało się, że „Manifest" poza jedną nie dającą się usunąć usterką — nadmierną wibracją — świetnie znosił rejs, przez pierwsze cztery lata eksploatacji, więc poza przegladem nie było wiele przy nim roboty. „Manifest" przez te trzy dni wyglądał jak pomnik statku, ale dok to nie cokół, to duży warsztat pracy.

Następnego dnia już „Manifestu" nie było ani na doku, ani w Gdańsku. Szybko go odprawili do Świnoujścia. We wszystkich świątecznych przymiarkach zrobiła się dziura. Zabrakło statku na otwarcie portu.

Każdy powie: Nic łatwiejszego, jak zatrzymać „Manifest" na dwa tygodnie, dać załodze urlop i załadować go węglem w Porcie Północnym, tak jak to było zaplanowane. Gesty kosztują, wiadomo, ale ten gest pasowałby idealnie do sytuacji.

Wiadomo, że porty buduje jedno pokolenie na własną chwałę i trwały użytek pokoleń następnych. Otwarcie portu miało nastąpić w trzydziestą rocznicę Manifestu Lipcowego, a ta trzydziestka to najlepsze lata życia naszego pokolenia. „Manifest" był zwodowany na dwudziestą piątą rocznicę. Wszystko pasowało. Zatrzymać statek na dwa tygodnie? Nie takie gesty robiono kiedyś z mniej ważnych powodów.

Finansowo może i było nas stać. Dwa tygodnie postoju statku to trzy miliony złotych. Nie stać nas było jednak psychicznie na taki gest. Nas, to znaczy ludzi tam w Porcie Północnym, do których i ja się zaliczałem. Jeden ze spawaczy rozruchowej grupy inżyniera Bancera.

Powiedział mi przed paroma dniami:

— Patrz pan, redaktorze, każdy przetrzymany statek to strata tysięcy dolarów.

Nie są marynarzami, nie są ekonomistami, są fachowcami. Dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat stażu przy budowie urządzeń portowych. Wielu z nich tu w Porcie Północnym dojdzie do emerytury. Znają wartość swojej pracy nie tylko „od-do" pensji, premii, nagrody. Zarabiają dużo, to fakt. Pracują na urządzeniach bardzo drogich i skomplikowanych, to też fakt. Lecz nie tak mierzą wartość swojej pracy. Patrzą: realnie szybko przeliczyli, że te dwie ładowarki obskoczą dwadzieścia trzy statki w dwie, trzy doby. Postój tych 23 statków to 120—150 tysięcy dolarów dziesięciu tysięcy przez port żywą gotówką. Dlatego się spieszą. Nie święto, nie gala, nie ordery, które już na nich czekają, i nie premie pracownicze wpisywane na okazjonalną listę płac z datą 22 lipca pogalały ich przez ostatnie miesiące.

— Panie — powiedział przedstawiciel Kluczborka, inżynier Wartalski. — Ta nasza zwsłowarka to 150 wagonów kolejowych na godzinę. Rozumie pan, co to jest?

Ludzie, którzy potrafią godziny swojej pracy przeliczać na wartość mercedesów, na ilość przesypanych wagonów, wiedzą dlaczego się spieszą. I dlatego nie można było zatrzymać „Manifestu Lipcowego" tylko dla świątecznego statutu, nie można było poświęcić ich trudu na ołtarzyku symbolicznej uroczystości. Szybko wypchnięto „Manifest" z Gdańska, żeby komuś nie przyszło do głowy zatrzymać go z okazji święta. Bo są jeszcze ludzie, którzy znakomicie rzą efekty ekonomiczne.

Do rozkładu jazdy wszedł trzydziestosyleszcznik „Obrońcy Poczty". Nazwa też symboliczna. Tylko ten rozkład jazdy. Nie zatrzymawiono ją w program świątecznych uroczystości. „Poczta" — jak ją popularnie nazywają — znajdowała się na wysokości Gibraltaru, wiosząc rude z Indii. Zdąży, nie zdąży? Zdąży, jeżeli Świnoujście zdoła ją rozładować z szybkością „pięciu tysięcy ton dobę", czyli na maksymalnych obrotach. Zdąży, jeżeli na Biskajach będzie względnie spokojnie zdąży, jeżeli Kanał Kiloński...

— Więc co może któraś z „kopalń"? Albo zawodowców. „Hutnik", „Górnik"? — radło w zarządzie portów.

Dokończenie na str. 6

DROGĄ MIĘDZY GRECKIMI BOGAMI

Edwarda Opoczyńska

JEDNĄ ze szczawieńskich wód leczniczych odkryły krowy. Schodziły z okolicznych łąk stale do tego samego potoku przy młynie, a jego właściciel szybko skojarzył sobie doskonały stan i mleczność krów z właściwościami wody. Zarzucił młynarstwo, zaczął swoją wodą kurować ludzi. I dlatego woda z tego źródła, która leczy choroby żołądka, nazywa się „Młynarz", a w olśniewająco białą ścianę jednego z korytarzy zakładu przyrodoleczniczego, wmurowano dwa wielkie, okrągłe, poorane pracą, młyńskie kamienie. Dowód, że legenda prawdę mówi...

Do zakładu przyrodoleczniczego w Szczawnie Zdroju wprowadza kuracjuszy Asklepios, grecki bóg lekarzy, i jego córka Higieja, bogini zdrowia. Każdy, kto leczyć chce w Szczawnie astmę, pylicę, kremice płuc, najprzeróżniejsze nieżyty oskrzeli, choroby gardła, żołądka (i całego przewodu pokarmowego), kto chce zdrowo „urodzić" najbardziej dokuczliwy kamyczek nerkowy, musi przejść codziennie między tymi dwoma monumentalnymi posągami.

Zaraz za nimi wyczuwa się w powietrzu żywiczny zapach igliwia. To z pomieszczeń, w których stosuje się inhalacje, przenikają olejki eteryczne.

Inhalacji zbiorczych w ogóle nie da się opisać, ponieważ nic się tam nie widzi. Czy pomieszczenie, gdzie się odbywają, jest duże, czy małe? Czy ma okna, czy palą się w nim lampy? Po wrostu przed oczami jest mgła, a raczej zawiesina wodna tak gęsta, że nie widać nic, nawet przedmiotu ustawionego o centymetry przed oczami. Ten aerozol wytwarza aparat „Tur". Aerozol jest grubokropelkowy, cząsteczki zawiesiny mają wielkość od 5 do 20 mikronów i przy oddychaniu dostają się do rozgałęzienia tchawiczego. Gdyby udało się zakupić nowocześniejszego „Tura", który wytwarza aerozol o rozmiarze cząsteczek do 2,5 mikrona, wnikałyby one (cząsteczki płynu) aż do pęcherzyków płucnych kuracjusza.

Do komory pneumatycznej (leczenie dychawicy oskrzelowej) nie wszyscy mogą wchodzić, i to nie z powodu przeciwwskazań somatycznych — psychicznie działa ona nie najlepiej: malutkie pomieszczenie, osiem aktywnych, wysokich, drewnianych foteli, pancerne, grube drzwi opatrzone na zewnątrz urządzeniem do ich dokręcania, zabezpieczone metalowymi listwami okna, a w suficie „grzybek" z sitkiem — tędy wpłynie sprężone powietrze. Skojarzenia, szczególnie dla ludzi w średnim wieku, nie mówiąc już o tych, którzy przeżyli hitlerowskie obozy, są nieodparte.

Komory pneumatyczne, bardzo skuteczne w leczeniu astmy, poza Szczawnem posiada tylko Szczawnica. W ogóle Szczawno ma wszystkie urządzenia balneologiczne oprócz borowin i parafiny. Są tu wszelkie możliwe formy hydroterapii, są natryski płaszczowe i szwedzkie, najróżniejsze parówki, masaże podwodne wibracyjne, kąpiele perełkowe, mineralne, jodobromowe, solankowe; jest pełna fizykoterapia z leczeniem ultradźwiękami i diadynamiką, jest nawet płukanie jelit, które wykonuje się tylko w nielicznych wypadkach, bo jest to zabieg bardzo drogi.

Szczawieńskie źródła — „Mieszko", „Dąbrówka", „Młynarz" — nie biją fontanną spod ziemi. Odciąga się je z głębin sączkami i ich wydajność jest niewielka. W sumie, wszystkie trzy, dają 16 l na minutę. Wystarcza tego skurat na potrzeby kuracjuszy i na dowożenie wód do uzdrowiska w Jedlinie Zdroju. Butelkować można bardzo niewiele.

Pod Szczawnem jest twardo przestrzegany filar ochronny. A był czas — w połowie lat pięćdziesiątych, — że i na węgiel spod Szczawna były zakusy. Istnienie Szczawna jako uzdrowiska wybronili wtedy miejscowi działacze. Gdyby nie ich akcja, spotkałby je taki sam los, jak bardzo czynne leczniczo wody w Starym Zdroju (dzielnica przy dworcu Wałbrzych-Miasto), jak wody mineralne w Jedlinie Zdroju, gdzie w pobliżu, w Kamieńsku, wydrążono w 1942 roku szyb górniczy. Zyciodajne skarby przyrody przepadły w tych miejscach bezpowrotnie.

W 1962 roku zaczęto w Jedlinie reaktywować uzdrowisko, pod wspólnym ze Szczawnem zarządem. Oczywiście już wód mineralnych w nim nie ma i ludzi leczy się dowożąc uzdrawiające płyny ze Szczawna, ale jest czyste powietrze, łagodny klimat o małych wahaniach temperatury, piękny wąwóz wśród gór, w którym leży Jedlina. Pozostały wreszcie po niegdysiejszej świetności budynki. Ponowne uruchomienie uzdrowiska, zaopatrzenie go nie tylko w bazę hotelową, ale i w nowoczesną aparaturę leczniczą, kosztowało około 10 mln zł.

Kuracjusze dziwią się:

— Jak to się dzieje, że w odległości zaledwie kilku kilometrów od potwornie zapylonego Wałbrzycha, tu, w Szczawnie, powietrze jest czyste, w nosie nie wierci dym z niedalekich kopalnianych kominów?

Ano, tak się szczęśliwie składa, że wiatry tu wieją od Szczawna do Wałbrzycha, a nie odwrotnie. Gęsto zalesione Wzgórze Gedymina jest także skuteczną barierą między kopalnianymi pyłami a przejrzystością powietrza w Szczawnie.

Więc niby jest dobrze, ale nierozpalnie. Bo Wałbrzych wysuwa coraz dalej swe macki, już niemal otacza Szczawno, bierze je w podkowę swojej zabudowy mieszkaniowej. Tam, gdzie ramiona podkowy jeszcze się nie zwarły, gdzie jeszcze pozostawiają prześwit, uzdrowisko szuka nowych źródeł. Na poszukiwania wydano w ostatnich latach około 10 mln zł. Znaleziono jedno źródło dobrze zmineralizowane, ale niewygodne, daleko położone, w pozostałych wody nie miała dostatecznych walorów leczniczych. Ale korzyść i tak jest: jeśli znaleziona woda nie nadaje się do leczenia, to i tak doskonale może służyć jako woda miejska.

I tak oto zbliżyliśmy się do ówczesnego problemu miejscowości uzdrowiskowych: Co miejskie, a co „nasze", uzdrowiskowe? Czyje interesy przed czyimi stać powinny? Tylko że... w Szczawnie tych problemów nie ma! Nie znaczy to, że ich nigdy nie było. Ale teraz, gdy minęło już siedem lat od wprowadzenia w życie w 1966 roku ustawy uzdrowiskowej, można powiedzieć, że poprawa stosunków — oczywiście z korzyścią przede wszystkim dla kuracjuszy — jest czymś stałym i nie jest dziełem przypadku. Nie ma już przerzucania piłeczki: „Niech robi uzdrowisko, bo to dla wygody jego kuracjuszy!" „Niech robi miasto, bo to jego teren!".

Ustawa zastrzega, że o wszystko, co dotyczy gospodarki komunalnej — a więc zieleni (w Szczawnie jest 200 ha parków), a więc oświetlenia, a więc budynków i urządzeń użyteczności publicznej, teatru, biblioteki, basenu, amfiteatru — dbać ma miasto. I dba! Jakże mogło poprzednio uzdrowisko (tzn. Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej) podołać kosztownemu utrzymaniu przepięknych szczawieńskich parków, pełnych dywanów kwiatowych, alei ozdobnych krzewów?

Jest więc w Szczawnie wszystko tak piękne i wspaniałe, że tylko się zachwycać? Ha! Wolne żarty! W strzeżonym przez greckich bogów zakładzie przyrodoleczniczym — mimo że jeszcze wciąż najlepszym w kraju — już dochodzą do kresu swej wydolności urządzenia, cała podziemna aparatura, dzięki której aerozolowa zawiesina wypełnia inhalatornie, sprężone powietrze leczy astmatyków, masaże wodne odświeżają zmęczone mięśnie — owe kompresory, saturatory, różne instalacje. Oczywiście, wszystko jest „na chodzie", ale trzeba to zmodyfikować, unowocześnić. Zresztą w zaraniu swych dziejów nie były one pomyślane jako „fabryka zdrowia" o takiej wydajności. Gdy je budowano, „do wód jeździło się raczej dla rozrywki, dla miłego spędzenia czasu, dla splendoru, a woda zaszkodzić nie mogła. Wtedy pensjonat to była willa z 15—20 łóżkami. Teraz „fabryka" ta przepuszcza przez swe trzewia, w 24-dniowych turnusach, około 20.000 kuracjuszy rocznie.

W Szczawnie są fundusze na remonty i budowy, nie ma wykonawców. Od lat ślimaczy się remont teatru. Trzy lata rusztowania podpierają budynek Sanatorium I i wciąż jeszcze daleko jest do ukończenia jego nowej elewacji. Zbyt wolno buduje się nowa stołówka przy sanatorium laryngologicznym. W przyszłym roku ma się rozpocząć budowę sanatorium dziecięcego dla 160 małych kuracjuszy. Normalny cykl budowy przewiduje na nią okres dwóch lat. Ile potrwa ona w Szczawnie?

„Obywatelem roku 1973" został w Wałbrzychu szczawnianin, dr Jan Szklarewicz. Przyznano mu ten piękny tytuł za inicjatywę, upór i przedsiębiorczość w budowie szczawińskiej „ścieżki zdrowia" (są tu już teraz trzy „ścieżki", dla różnych grupowych kuracjuszy). Była to pierwsza „ścieżka" w Polsce. Teraz z całego kraju przyjeżdżają z prośbą o udostępnienie jej dokumentacji.

Na dwóch kilometrach parkowej drogi co 100 m są urządzenia, wiszą plansze, instrukcje. Ponoć „ścieżka zdrowia" niejednemu pomogła tu „urodzić" dokuczający od dawna kamyczek nerkowy, poprawić umięśnienie brzucha, kręgosłupa, uspokoić nerwy.

BY NAUKA MIAŁA DACH NAD GŁOWĄ

Dokończenie ze str. 1

pod dachem przyszli studenci AWF będą mieć do dyspozycji skocznie, rzutnie, bieżnie i wiele innych niezbędnych otwartych urządzeń sportowych. Przyszłe budynki i wyposażenie uczelni będą tworzyć całość z obiektami sportowymi Stadionu Olimpijskiego. Nareszcie doczekamy się pełnego wykorzystania tak dużego obszaru, który w niewielkim tylko stopniu dotychczas służył wrocławianom. Plan rozwoju uczelni niemało miejsca poświęca modernizacji i rozbudowie ośrodków rekreacyjno-sportowych w Zieleńcu (sporty zimowe) i Olejnicy (wodne).

Zmieniamy kierunek peregrynacji po Wrocławiu. Wyobraźmy sobie, że w 1985 roku znaleźliśmy się między ulicami Borowską, Ślężną i Wiśniową. Oczom ukaże się widok zupełnie odmienny od dzisiejszego. Na powierzchni 70 ha podziwiać będziemy nowe, przestronne, odpowiadające wymogom współczesnej, a i przyszłościowej medycyny zespoły obiektów Akademii Medycznej. Jednym z nich będzie zespół kliniczny wspólnym zapleczem,kuchnią i diagnostyka oraz scentralizowanym blokiem operacyjnym, laboratorium i budynki teorii i zarządzania, a więc apteką, a także zespołem sal szpitalnych. Drugi zespół zgromadzi obiekty dydaktyczne, centrum lektorytne, ośrodki informacji i dokumentacji naukowej. Obok będą obiekty socjalno-bytowe, hotel dla lekarzy robiących wyższy stopień specjalizacji z woj. wrocławskiego i opolskiego, hotel dla pielęgniarek (później powstania liceum pielęgniarskie z internatem na 300 miejsc). Ponad 2700 studentów i ich przełożeni nie wychylając głowy spod dachu przechodzić będą z budynku dydaktycznego do szpitala, sali operacyjnej, domu studenckiego.

Akademia Ekonomiczna ma dotychczas najbardziej zwartą zabudowę spośród wszystkich uczelni wrocławskich. W jednym miejscu są budynki dydaktyczne, administracja, stołówki. Bardzo blisko jest również do domów studenckich. W przyszłości uczelnia ta rozbuduje się w dotychczasowej lokalizacji. A więc rejon ulic Ślężnej, Wielkiej, Komandorskiej w kierunku Wilinkowej. Na terenie 5-krotnie większym niż obecnie uczyć się będzie 10 tys. studentów (obecnie 5 tys.). W środku przyszłej zabudowy AE pomieszczenia i otwarte tereny przeznaczone na potrzeby socjalne, rehabilitację i rekreację. Przewiduje się budowę biblioteki, gmachu nowego Wydziału Informatyki, Cybernetyki i Zarządzania z nowoczesnym centrum obliczeniowym. Na dodatkowym terenie powstaną dalsze domy studenckie, stołówki, studium WF z basenem pływackim. Ambulatorium uwzględniające potrzeby ułomnych studentów będzie kontynuacją budowy obiektów dla kalekich młodych ludzi, czego początek stanowi budowa odpowiednio przystosowanego do ich potrzeb akademika.

Pozostały jeszcze dwie uczelnie: Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna i Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych. Ich przyszłość (podobnie jak obecna sytuacja) nie rysuje się w różowych kolorach. Przyczyną jest niedostateczna ilość funduszy przyznanych przez ministerstwo. Niemniej jednak szkoły te mają plany rozbudowy. Przy ul. Borowskiej na pow. 4,17 ha wyrośnie nowa PWSM. Nowe obiekty to budynek dydaktyczny z salą koncertową na około 300 miejsc, nowy dom studencki z całkowitym zapleczem socjalnym oraz kryte urządzenia sportowe. Jeżeli będzie pozwolenie i odpowiednie dotacje (150 mln zł), nowa uczelnia stanie już za 5 lat. Natomiast PWSSP ma dotychczas tylko przyznaną lokalizację na ul. Mazowieckiej. Obecnie Zakład Badawczo-Projektowy Politechniki Wrocławskiej przygotowuje małe plany przyszłych obiektów uczelni, których koszty sięgają 150 mln zł.

Przedstawiłam dość ogólny zarys rozbudowy wrocławskich uczelni. W trakcie realizacji wiele elementów może ulec zmianie. Jeżeli będą odchylenia, to drobne, wynikające z potrzeby chwili. Wizja przyszłości to rozmach, funkcjonalność, nowoczesność urządzeń sal ćwiczeniowych i laboratoriów, zróżnicowana architektura budynków i... dużo zieleni.

ELŻBIETA KOKOWSKA

ŻOŁNIERZE-ROLNIKOM

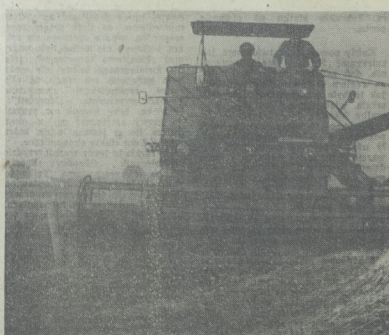

Gospodarze kombinatu PGR Stare Strączce z dumą pokazują dorodne żyto.

HASŁO: „Każdy kłos na wagę złota" stało się aktualne jak chyba nigdy dotąd podczas żadnej z kampanii żniwnych. Na wiejskie pola spieszą pracownicy innych gałęzi gospodarki narodowej. We wspólnym froncie walki o chleb nie zabrakło również żołnierzy. Powojenna historia dowiodła, że żołnierze w niektórych rejonach naszego kraju byli pionierami polskiego rolnictwa, oni to właśnie w roku 1945 pierwsi siali i zbierali plony na ziemiach wyzwolonych. Ludzie w mundurach zawsze spieszą rolnikom z pomocą. To zrozumienie wagi problemu przez młodych ludzi cieszy. Akcje żołnierskiej pomocy powstają często w sposób spontaniczny. Ktoś rzuci hasło, za nim idzie cały kolektyw. Tak było ostatnio...

Kontrolujący tego dnia zajęcia w pododdziale por. Józefa Pielacha zastępca dowódcy do spraw politycznych pytając o efekty pracy przy okazji wspomniał o żniwach, o społecznej pomocy dla rolników. Na efekt tych kilku słów nie trzeba było czekać. Koło południa w gabinecie majora zadzwonił telefon:

— Są chętni do żniw — informował jeden z aktywistów SZMW.

— Zaraz po obiedzie spotkamy się przed budynkiem koszarowym — powiedział zastępca.

O 14.30 zbiórka. Jedziemy. Po kilkudziesięciu minutach 20-osobowa grupa żołnierzy pod dowództwem mł. chor. Bogusława Rejszela i st. kpr. Henryka Skiby melduje się w Kombinacie PGR Stare Strączce w powiecie Wschowa, gospodarstwie Sława, kierowanym przez Adolfa Laska. Rolnicy przyjmują żołnierzy z otwartymi rękami. Kombajniści: Józef Zarski, Władysław Gruszewski, Józef Pytek, Józef Dolatkowski kończą właśnie omłot żyta na powierzchni 18 hektarów. Praca ciężka. Żyto się „wyłożyło", ale sypie dobrze.

— W roku ubiegłym — informuje zastępca dyrektora kombinatu do spraw produkcji Czesław Brzozowski — uzyskaliśmy średni plon z hektara czterech podstawowych zbóż 32,2 q. W tym roku liczymy, że powinien być lepszy przynajmniej o 1 q.

Kombinat PGR Stare Strączce zajmuje areał około 6 tys. hektarów i należy do grona największych w województwie zielonogórskim. Z tego 2,5 tys. obsiano zbożem, na 500 ha posadzono ziemniaki, a na 350 ha buraki. Dochód ma wynieść 15 mln złotych.

Na polu widać dobrą organizację pracy. Za bizonami idą prasy, które wymłócone słomę formują w kostki. Sprasowana słoma musi być natychmiast zwieziona, gdyż pole trzeba przygotować pod orkę. Zajeżdżają przyczepy. Pontonierzy ładują na nie słomę. Robota idzie szybko. Po kilku minutach pracy załadowana przyczepa odjeżdża w kierunku formowanej sterty.

Ton dobrej robocie nadają szeregowcy: Władysław Gruszczewski, Józef Bidała, Paweł Bryk, Józef Magiera, Piotr Oblizajek, Piotr Piechota, Andrzej Świderski. Inni pomagają kombajnistom przy odstawie wymłóconego ziarna. Chłopskom robota pali się w rękach. Po pięciu godzinach wytężonej pracy słoma z 18 hektarów zostaje zwieziona. Na brzegu pola stoi potężna sterta. Następnego dnia rano będzie można orać ziemię pod następne zasiewy.

Dziękując żołnierzom za pomoc dyrektor kombinatu inż. Jerzy Ratajczak powiedział: „Dziękujemy za dziś, prosimy o jeszcze. Cieszy nas, rolników, że tak dobrze rozumiecie naszą trudną sytuację. Wasza pomoc bardzo się nam przydała i wierzę, że wspólnymi siłami batalię o chleb wygramy".

Tego dnia trzyosobowy patrol z jednostki w składzie: Janusz Wilczek, Jan Paskudzki, Zbigniew Minlewicz, pomagał w pracach żniwnych sanitariuszowi spod Lenino szer. rez. Franciszkowi Kulczyckiemu.

Na żniwnym froncie liczy się bardzo żołnierska pomoc w batalii o chleb.

Tekst i zdjęcia: JAN AKIELASZEK

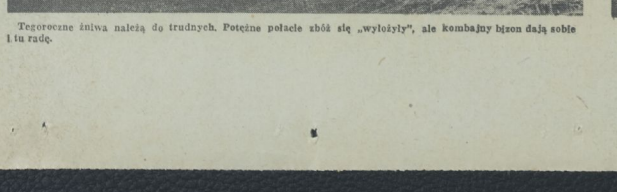

Tegoroczne żniwa należą do trudnych. Potężne połacie zbóż się „wyłożyły", ale kombajny bizon dają sobie i tu radę.

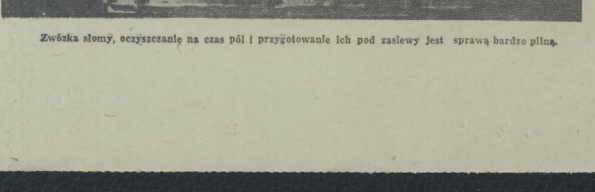

Zwózka słomy, oczyszczanie na czas pól i przygotowanie ich pod zasiewy jest sprawą bardzo pilną.

O ZAKUPIE I EKSPORCIE LICENCJI

Dr Waldemar Budziło

NIE ULEGA, już żadnej wątpliwości, że miejsce kraju w wyścigu ekonomicznym, na arenie światowej zależy od tempa oraz stopnia opanowania najnowszych zdobyczy nauki i techniki. Mówi się w związku z tym o rozziewie między krajami najbardziej rozwiniętymi a pozostałymi, przy czym szczególny nacisk kładzie się na opóźnienia w dziedzinie technologii, mając w tym wypadku na myśli wszelkie aspekty materialnych sił wytwórczych, różnice strukturalne, w tym przedr wszystkim różnice w strukturze przemysłu oraz różnice w organizacji procesów wytwórczych i działalności naukowej. W literaturze zajmującej się badaniem i śledzeniem tych różnic używa się dla ich określenia zwrotu: luka technologiczna, strukturalna i organizacyjna.

Rywalizacja naukowo-techniczna między dwoma obozami: socjalistycznym i kapitalistycznym sprowadza się do walki o czas. Gwarancja uzyskania zwycięstwa w tym współzawodnictwie jest m.in. polityka licencyjna w Polsce realizowana i w innych krajach socjalistycznych. Idzie z nią w parze cały system barier prawnych, organizacyjnych, psychologicznych oraz przedsięwzięć o charakterze informacyjno-instruktażowym, uwzględniający ochronę tajemnicy naukowej.

Podstawowymi formami ochrony naszych osiągnięć są przepisy prawne dotyczące np. ochrony tajemnicy państwowej i służbowej[1]), ochrony patentów[2]) itp. oraz kontroli ich przestrzegania. Musimy pamiętać, że corocznie zawiera się w świecie 40 tysięcy umów licencyjnych. Wpływy z ich sprzedaży wynoszą 3—3,5 mld dolarów. Stanowią wiec 1—1,5 proc. światowego eksportu. Aktualnie największym eksporterem licencji są Stany Zjednoczone. Przypada na nie około 60 proc. światowego eksportu licencji. Drugie miejsce zajmuje Wielka Brytania (około 10 proc.), trzecie — Szwajcaria (około 7 proc.).

Na pozostałych eksporterów licencji przypada wiec tylko niewiele ponad 20 proc. Najwiekszym natemiast importerem licencji jest Japonia. Jej udział w światowym imporcie licencji waha sie w granicach 15—17 proc. Następne miejsca zajmują: Włochy (około 12 proc.) i RFN (około 11 proc.). Na pozostałe kraje importujące licencje przypada wiec aż 60 proc. całości. Jak widzimy, import licencji nie jest symbolem zacofania wręcz przeciwnie, jest ważnym czynnikiem rozwoju krajów wysoko uprzemysłowionych.

Jak przedstawia się polityka licencyjna w Polsce? W okresie powojennym Polska kupiła około 300 licencji, przy czym zasadnicza część tego importu przypada na lata 1971—73. Nasz udział w światowym imporcie licencji waha się w granicach 0,5 proc. jest więc niemal trzykrotnie mniejsze od udziału w światowym imporcie towarów. Wyraźnie więc ustosunkowujemy się do wysoko rozwiniętym. Jeżeli chodzi o nasz eksport licencji, jest on w zasadzie marginesowy — wielokrotnie mniejszy od importu. Odpowiada to w najogólniejszym zarysie tendencji światowej (poza USA, W. Brytania i Szwajcarią wszystkie kraje więcej licencji importują niż eksportują).

Jeżeli chodzi o nasz przemysł, to podstawowym odbiorcą licencji jest w naszym kraju przemysł elektromaszynowy. Według posiadanych danych prawie połowa ogólnej liczby zakupionych licencji trafia do przemysłu elektromaszynowego w ogólnych nakładach inwestycyjnych kraju. Trzeba jednak również wspomnieć o fakcie, że istnieją zbyt długie terminy uruchomienia produkcji różnych wyrobów licencyjnych z jednej strony, jak i krótkie serie produkcji z drugiej strony. Przykładem jest produkcja samochodu osobowego „Fiat 125p"; mimo upływu około dziesięciu lat od momentu zakupu licencji produkcja dopiero dziś osiąga serię stu tysięcy.

Następne miejsce na liście krajowych importerów licencji zajmuja przemysły: chemiczny, ciężki, lekki i spożywczy.

Bardzo istotny jest szybki rozwój kooperacji krajów RWPG na podstawie zakupionych licencji. Nie trzeba dodawać, że możliwości specjalizacji i kooperacji produkcji są w tej dziedzinie olbrzymie. Ich wykorzystanie przyniesie może znaczne korzyści, ponieważ od pogłębienia współpracy krajów RWPG w tej dziedzinie zależy również możliwość doskonalenia licencji. Stosowana odpowiednio polityka naukowo-badawcza, specjalizacja i kooperacja badań jest zasadniczym warunkiem uzyskania szybkiego wzrostu poziomu technicznego produkcji w naszych krajach.

Nie potrzeba dodawać, że w procesie unowocześnienia gospodarki narodowej istotną rolę odgrywa również ruch wynalazczy i racjonalizatorski. O jego randze i znaczeniu świadczy m.in. fakt, iż w jednym tylko roku 1971 dzięki zastosowaniu projektów wynalazczych i racjonalizatorskich gospodarka narodowa zaoszczędziła 8.771 mln złotych.

Przedmiotem umów licencyjnych (licencji) w kapitalizmie współczesnym są najczęściej patenty na wynalazki, know-how, wzory użytkowe i znaki towarowe. Wszystkie one stanowią jednak istotny element w strategii gospodarczej przedsiębiorstw kapitalistycznych. Najczęściej spotykane w praktyce krajów kapitalistycznych są licencje obejmujące patenty wraz z określoną porcją wiedzy techniczno-organizacyjnej (czy to ze względu na brak zdolności patentowej, czy też ze względu na politykę stosowaną przez licencjodawcę, która określa się mianem know-how[3]).

Historycznie pierwszym i do obecnego okresu podstawowym obiektem licencji jest patent na wynalazek techniczny bądź proces technologiczny, pomyślnie wprowadzony do produkcji i na rynek[4]). Czyli innymi słowy patent na wynalazek „zakończony". Coraz częściej jednak w praktyce międzynarodowego handlu licencjami pojawiają się wynalazki nie zakończone, „zielone", nad którymi prace nie są jeszcze sfinalizowane i wymagają nierzadko znacznych nakładów do przekształcenia ich w innowacje gospodarcze. Licencja dotyczy wówczas w istocie nowej idei, czyli zasady technicznej. Przykładem z ostatnich lat może być silnik rotacyjny Wankla, na który licencje została zakupiona już w zasadzie przez wszystkich liczących się w świecie producentów samochodowych, a którego wykorzystanie praktyczne jest ciągle niewielkie.

W ostatnim okresie daje się w państwach kapitalistycznych zauważyć pewien spadek znaczenia ujęć w międzynarodowych operacjach licencyjnych. Tak np. J. Kalisiak pisze: „...większość umów licencyjnych dotyczy zakupu samego know-how...[5]).

Międzynarodowy handel licencjami ma stosunkowo krótką historię. Narodził się on na początku XX wieku, a więc po zakończeniu procesu integracji rynku światowego, i od tego czasu coraz bardziej przybierał na znaczeniu. Przy czym obroty z tego tytułu do końca lat czterdziestych były niewielkie. Druga wojna światowa powodnie krępowała dalszy rozwój wymiany licencji.

Po drugiej wojnie światowej, a zwłaszcza w końcu lat pięćdziesiątych oraz w latach sześćdziesiątych, notujemy ogromne ożywienie międzynarodowego obrotu licencjami. Było to wynikiem przyspieszenia tempa postępu techniczno-organizacyjnego, wzmożenia tendencji do protekcjonizmu handlowego. Obecnie funkcjonuje w świecie 50—80 tys. międzynarodowych umów licencyjnych. Dlatego też przez cały okres powojenny rosły również systematycznie płatności z tytułu wymiany licencji.

Analizując międzynarodowe operacje licencyjne, należy jednocześnie brać pod uwagę fakt, iż procesy licencjonowania zachodzą w określonych stosunkach społecznych, co szczególnie uwidacznia się w państwach kapitalistycznych, gdzie na skutek narzucenia przez silniejszego partnera korzystnych dla niego warunków w kontrakcie licencyjnym mamy do czynienia z wyraźnymi objawami ujemnych skutków transakcji licencyjnych.

[1]) Uchwała Rady Ministrów nr 138/71 z 2 lipca 1971.

[2]) Dz.U. nr 43 z 24 października 1972.

[3]) Pojęcie know-how nie jest ani w praktyce, ani w teorii pojęciem do końca wyjaśnionym (por. np. Otto Kunz, „Prawna regulacja problematyki know-how w Czechosłowacji" w: „Prawo w Handlu Zagranicznym" Warszawa 1971 nr 35—37, s. 37—63; Barbara Wysocka, „Problem licencji na III Międzynarodowej Konferencji Ekonomistów i Prawników w Zagrzebiu", „Prawo w Handlu Zagranicznym" Warszawa 1/1966, s. 89—94. W niniejszym artykule przyjmujemy definicję operacyjną określając know-how jako ogół wiedzy techniczno-organizacyjnej pochodzenia naukowego, bądź praktycznego niepatentowanej, która jest wiedzą dla realizacji określonej innowacji.

[4]) Przez patent rozumie się prawo wyłącznego korzystania z wynalazku w sposób zarobkowy lub zawodowy na obszarze danego państwa. Pierwsza ustawa patentowa w jej nowoczesnym rozumieniu została wydana we Francji w 1791 r.

[5]) Jerzy Kalisiak, „Badania efektywności postępu techniczno-organizacyjnego. Badań własnych oraz zakupu licencji w przemyśle przetwórczym USA, RFN, Japonii i Polski" Szpr. Warszawa 1976. Nie publikowana praca doktorska, s. 31

Na oślim targu w Sanie, stolicy Jemenu. CAF — AP

30 LAT LUDOWEJ RUMUNII

23 sierpnia Rumunia obchodzi swoje trzydziestolecie. Kraj o powierzchni 237 500 km kw., na wschodzie opierający się o ćwierć tysiąca kilometrów wybrzeża Morza Czarnego, kraj szczycący się obfitą w wody rzeką — Dunajem, przepięknymi Karpatami, pełen bogactw naturalnych zamieszkuje obecnie ok. 21 milionów mieszkańców.

Rumunia od dnia wyzwolenia przez Armię Radziecką, w okresie 30 lat budownictwa socjalistycznego — osiągnęła wysoki stopień wszechstronnego rozwoju. W przeszłości była Rumunia zacofanym krajem rolniczym, dziś stała się krajem przemysłowo-rolniczym o rozwiniętym przemyśle ciężkim, rozrosły się stare miasta, powstały nowe; przed ćwierćwieczem było w Rumunii miast z ludnością powyżej 100 tysięcy osób tylko 3, dzisiaj jest ich 15. Rozwinęło się budownictwo. W ćwierćwieczu zbudowano 2,5 miliona mieszkań, buduje się nowa wieś.

Wielkie są osiągnięcia w kulturze i oświacie. Uczy się tu prawie 4 miliony młodzieży. Pracuje ponad 7500 domów kultury i ponad 22.000 bibliotek ze 115 milionami książek. Do 143 teatrów w całym kraju zawitało w roku 1970 12 milionów widzów.

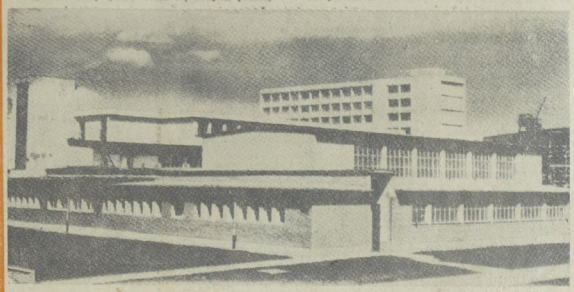

Gmachy laboratoriów specjalistycznych politechniki w Timisoarze.

KŁOPOTY LATYNOSKIEGO KOLOSA

O BRAZYLII pisaliśmy wiele razy, i to nie tylko z okazji mistrzostw świata w piłce nożnej. Jest bowiem o czym pisać. Stumilionowy naród zamieszkujący terytorium równe obszarowi Europy, dysponujący ogromnym potencjałem w dziedzinie rolnictwa (gleba tamtejsza należy do najżyźniejszych na świecie), posiadający nieprzebrane zasoby drewna (Amazonia) oraz niemal wszystkie niezbędne dla rozwoju przemysłu minerały, jest tematem aż nadto frapującym. Brazylia przez ostatnie kilka lat była przedmiotem podziwu, a czasem nawet zazdrości ze względu na wysoką dynamikę wzrostu gospodarczego.

Niejednokrotnie określając rozwój ekonomiki brazylijskiej używano, a właściwie nadużywano, określenia: „cud gospodarczy". I choć wiele było w tym przesady, to przecież pozostanie faktem wysforowanie się Brazylii w ciągu dwóch ostatnich dekad na pierwsze miejsce w Ameryce Łacińskiej w dziedzinie produkcji globalnej, a na drugie (zaraz po Argentynie) w przeliczeniu na jednostkę statystyczną. Następstwa rozpoczętego w III kwartale 1973 r. kryzysu energetycznego dały jednak o sobie znać także w Brazylii. Obok innych przyczyn doprowadziły one do osłabienia tempa wzrostu i pogorszenia koniunktury do tego stopnia, że co więksi pesymiści, wspominając dawne „tłuste lata", zaczynają mówić o groźbie kryzysu.

Rząd prezydenta Ernesto Geisela jest jednak innego zdania i wzorem swego szefa prezentuje urzędowy optymizm. I tak np. minister planowania prof. Joao Dos Reis Velloso nie przewiduje dalszego zmniejszania tempa wzrostu gospodarczego. Powiedział on, że zadaniem obecnego rządu musi być nie tylko utrzymanie kontroli nad inflacją i zadłużeniem Brazylii, lecz również zapewnienie utrzymania 10-procentowej dynamiki wzrostu. „Dla kraju, który nadal rozbudowuje swoją kadrę administracyjną i strukturę przemysłową, nagłe zahamowanie tempa wzrostu oznaczałoby nie tylko utratę kilku procent dochodu narodowego, lecz również poważny cios dla świata interesu". Grono ekspertów zagranicznych, o czym donosi „Financial Times" jest jednak innego zdania. Infrastruktura Brazylii, to głównie autostrady, po których porusza się cały niemal transport brazylijski. „Petrobras", kontrolujący wydobycie krajowej ropy, może tylko w 25 procentach zapewnić dostawy niezbędnego paliwa. Reszte, a więc 75 procent, trzeba importować, płacąc za wiadomy towar 3 mld dolarów, co pochłonie aż 40 proc. dochodów uzyskiwanych z całego brazylijskiego eksportu.

Kryzys energetyczny jest główną, ale nie jedyną przyczyną wpływającą ujemnie na sytuację gospodarczą w Brazylii. Dotkliwym ciosem dla ekonomiki tego kraju stała się również obniżka cen na podstawowy artykuł eksportu, jakim jest tam kawa. Brazylijczycy spodziewali się, że na wywozie kawy zarobią w bieżącym roku aż półtora miliarda dolarów. Niestety nadzieje okazały się płonne. Spadek cen kawy z 85 do 68 centów za funt obalił te optymistyczne przewidywania. Pojawiły się również trudności w zaopatrzeniu rynku wewnętrznego w artykuły niekiedy podstawowe, takie np., jak soja. Chroniąc się przed jaskrawo ujemnym bilansem handlowym rząd zakazał importu soi i wielu innych artykułów. Posunięcie to godzi bezywście w najuboższych obywateli kraju.

Poważnym kłopotem Brazylii jest także narastające zjawisko inflacji. Według informacji ministra finansów stopa inflacji wynosiła w I półroczu 15,5 proc. Wielu ekspertów uważa, że wskaźnik ten jest wyrazem urzędowego optymizmu i że w istocie stopa inflacji jest znacznie wyższa.

Prawidłowemu rozwojowi gospodarki nie sprzyja również panoszenie się „ponadnarodowych" (obcych) koncernów. Nawet minister finansów wyraził oficjalnie swe niezadowolenie i na forum parlamentu zaapelował do krajowych przedsiębiorców, by przeciwstawili się obcym koncernom zajmując wobec nich „dojrzałe i pragmatyczne stanowisko".

Osobnym problemem Brazylii są konflikty społeczne. Pisaliśmy o tych sprawach niejednokrotnie i nie ma powodu powtarzać raz jeszcze szczegółowych opisów bezrobocia, nędzy, a nawet głodu. Głównym powodem brazylijskich kontrastów jest rażąco nierównomierny podział dochodu narodowego. Postępujacej pauperyzacji mas, domagających się polepszenia warunków życia, towarzyszą coraz bardziej brutalne akcje sił bezpieczeństwa. Zjawiska te budzą niepokój nawet wśród hierarchii Kościoła ewangelickiego, który w przeciwieństwie do kleru katolickiego był zawsze potulny wobec rządu. Ostatnio dostojnicy Kościoła ewangelickiego wysłali do swego współwyznawcy Ernesta Geisela specjalne memorandum, w którym nawołują, w obawie przed wzrostem nieokiełzanych społecznych, do zorganizowania pomocy „dla tych, którzy nie mają co jeść".

O tym, czy prezydent posłucha głosu swoich duchownych, przekonamy się w najbliższej przyszłości.

W. STANKIEWICZ

KATAR

POŁOŻONY nad Zatoką Perską Katar (22 000 km kw.), którego pełna nazwa brzmi: Al-Katr, Księstwo Kataru, jest przykładem, jak w ciągu ćwierć wieku zmienić się może oblicze państwa, gdy... znajdzie skarb.

Pustynne i półpustynne — mówią encyklopedie — w pobliżu źródeł wody nieliczne oazy. Dostęp do wybrzeży utrudniają przybrzeżne wysepki i rafy koralowe. Klimat zwrotnikowy, bardzo sucho, nie ma w ogóle rzek. Katar jest krajem z licznymi przetrwałymi ustroju feudalnego i rodowego, ubogim, bardzo słabo rozwiniętym gospodarczo.

Tyle, nie tak znowu dawno wydane, encyklopedie. I wszystko jest nadal prawdą, poza dwoma ostatnimi określeniami.

Albowiem znaleziono skarb. W 1949 roku wydobyto w tym kraju 100 000 ton ropy naftowej, w 1961 roku — 8,3 mln ton, w 1972 roku — 23,3 mln ton.

W 1954 roku było tu 20 000 mieszkańców, w 1962 — 55 000, w 1971 — 100 000 mieszkańców.

Kraj ten, którego stolicą jest ponad 60-tysięczna Doha, jest obecnie niepodległym księstwem (poprzednio protektorat Wielkiej Brytanii) i dochód narodowy na jednego mieszkańca wynosi tu 3490 dolarów.

Podstawą gospodarki jest tu rolnictwo — mówią nie tak znowu dawno wydane encyklopedie — uprawa palmy kokosowej, daktylowej, prosa, sorga i skupia się ona w nielicznych oazach; hodowla, głównie owiec i kóz, ma charakter koczowniczy.

A obecnie? Obecnie podstawą gospodarki i głównym źródłem dochodów jest eksploatacja złóż ropy naftowej. Zatrudnionych jest przy tym około 10 000 osób. Transportuje się ją rurociągiem z pól naftowych w rejonie Buchan do portu Umm Said, gdzie znajduje się rafineria o mocy produkcyjnej 30 000 ton. Gaz ziemny transportuje się z ujęć do Dohy, gdzie jest wykorzystywany jako paliwo w trzech wielkich elektrowniach i w zakładach odsalania wody morskiej. Jest tu także wielka cementownia.

Obywatelom Kataru powodzi się dobrze (ale tylko im, cudzoziemcy są tu parasami). Otrzymują — przeważnie umarzane — wielkie kredyty na budowę domów lub zakup mieszkań, bezpłatna jest opieka lekarska, nauka i wiele innych świadczeń socjalnych.

Inwestuje się także wielkie sumy w przemysł. Buduje się nową, wielką rafinerię ropy naftowej, o wydajności 7 mln ton rocznie; zakłady sprężania gazu ziemnego o rocznej zdolności produkcyjnej 500 000 ton.

Katarem rządzi szejk i — mimo dobrobytu, jak sprowadziła na jego mieszkańców ropa naftowa, mimo socjalnych udogodnień — ustrój kraju daleki jest od tego, co przywykliśmy nazywać demokracją.

E.O.

REPORTER WITA „UNIWERSYTET WROCŁAWSKI"

Dokończenie ze str. 3

Nie wiadomo, kto to powiedział, bo w tym tumulcie, jaki zapanował po jego słowach, nie był w stanie się przedstawić.

— W czasie otwarcia towarzysz Gierek musiałby wymacać statek, bo by go nie zobaczył. Wszystko maluchy...

To kwestia proporcji. Port Północny jest wybudowany na przyjmowanie stupięćdziesięciotysięczników i rzeczywiście taki pięćnastotysięcznik zniknąłby w cieniu urządzeń.

Poszły teleksy do Świnoujścia: „Zdążycie rozładować „Pocztę" czy nie?" „Jak przyjdzie o czasie to zdążymy" — odteleksowano.

Tymczasem zarząd portów otrzymał depeszę od któregoś ze statków, który stanął przy „beczce" u ujścia Łaby: „Czekam w kolejce do Kanału Kilońskiego". Psia krew, „Poczta" więc też będzie czekała. Skierować ją na Sund to minus dwadzieścia godzin.

Port się buduje, kolejno przekazywane są obiekty, w ostatniej chwili okazuje się, że nie ma farb do pomalowania urządzeń. Do tego deszcz pada, pada, pada. Gdzieś tam układają scenariusz uroczystości, a tu najważniejszej rzeczy nie ma. Nie ma statku, który by otworzył port. Na razie jest to wiadomość dla tylko kilku osób. Może wstrzymać załadunek „Uniwersytetu Gdańskiego"? Otwarcia portu nie może przecież dokonać statek zanurzony poniżej czerwonej linii. Na to rozwiązanie nie zgadzają się „ludzie Perszewskiego".

Perszewski i jego ludzie — to osobny rozdział. Ale nie zgadzają się, bo: „Nie ruszę urządzeń, dopóki nie będę ich miał po rozruchu technologicznym".

Cóż jest warte otwarcie gdy nie ma przedtem rozruchu technologicznego, gdy „otwiera" się urządzenia nie sprawdzone? Ma to także inną nazwę: oszustwo. Inżynier Norbert Perszewski nie oszukuje i nie da się oszukać. Wiedzą coś o tym w „Poltegorze".

Inżynier Perszewski zaczynał pracę w portach jako ślusarz. Praca, praktyka, studia zaoczne. Wysoki, szybki, suchy, ostry, dodałbym: pedant, ale też życie techniczne zmusza go do tej pedanterii. Jest szefem urządzeń technicznych portu, jest jego głównym inżynierem. Odpowiada za sprawne działanie wszystkich urządzeń, za obsługę statków, za bezpieczeństwo ludzi. On nie tylko odpowiada, on z całą świadomością bierze tę odpowiedzialność na siebie.

Na razie Perszewski nie martwi się o statek, na to ma jeszcze dwa tygodnie czasu. Na razie Perszewskim martwią się inżynier Penksyk z wydziału montażu Miejskiej Fabryki Urządzeń Dźwigowych, Wertalski z kontroli jakości z Famaku i „poltegorowcy". Tak ostrego reżimu przyjmowania urządzeń, jaki im zademonstrował Perszewski, jeszcze nie mieli.

Może kogoś krzywdzę nie sypiąc nazwiskami inżynierów z wrocławskiego „Poltegora", tych inżynierów, którzy w budowę i teraźniejsze oraz przyszłe sukcesy portu zaangażowani są najbardziej. Mówi zdaniem, choć nie wymieniam ich nazwisk, mogę dać świadectwo najlepszej opinii, jaką się cieszą w porcie i na wybrzeżu.

„Poltegorowiec" to ktoś solidny, ktoś dysponujący i wiedzą, i ogromnymi możliwościami. Powierzenie zadań „poltegorowcowi" to pewność, że będą one wykonane najdoskonalej.

Przez siedem dni i siedem nocy kilkudziesięciu ludzi męczyło się z rusznieniem japońskiej ładowarki. Męczyli się też Japończycy. Dużo słyszałem fachowych krytycznych uwag, dużo przekleństw. Postanowiłem sobie wytrzymać tyle godzin na nogach, ile wytrzymują ci ludzie. Mówiąc o dniach i nocach nie przesadzam.•I przez te dni dziesięć, sto, tysiąc razy słyszałem westchnienie monterów, spawaczy, elektryków i wspaniałych elektroników młodziutkiego inżyniera Dąbrowskiego, który własnym, polskim palcem podpierał japońską elektronikę. „Bate dlogego tej ładowarki nie projektował „Poltegor"!

To znaczy więcej niż imienne uznanie dla projektów wykonanych przez konkretnych inżynierów z „Poltegoru". Nie wymieniam nazwisk, bo w nomenklaturze portowej ludzie ci nazywali się: ten „poltegorowiec" od taśmociągu, „poltegorowiec" od zwalowarki, od przesypów, dyspozytorni.

Dwanaście, dziesięć, dziewięć dni pozostało do uruchomienia bazy węgla, a statku nie ma. To znaczy może być któryś z maluchów. „Poczta" odpadła definitywnie, dziś mogę napisać, że była dopiero czwartym statkiem, który wpłynął do portu.

Ósmego lipca nadeszła pierwsza wiadomość, a dziewiątego rano została potwierdzona oficjalnie, że: „kopenhaskie próby „Uniwersytetu Wrocławskiego", wypadły pomyślnie i płynie on już do Gdańska"!

— Więc „Uniwersytet Wrocławski" — stwierdza kapitan portu Zdzisław Grabski. Jak by kto wyreżyserował!

Wysyłam dalekopis do wrocławskich redakcji. Myślę, że dla moich kolegów w mieście, w którym debiutowałem jako dziennikarz będzie to sensacja. Trzydziestolecie państwa, pirs węglowy imienia Trzydziestolecia, otwarcie portu w trzydziestą rocznicę i właśnie dokona tego „Uniwersytet Wrocławski"! Specjalnie służby Kapitanatu Portu rzadzą uroczystą depeszę do wszystkich kapitanów portów w Europie Będzie wysłana 18 lipca w samo południe.

Kapitanat Portu w sobotę, 13 lipca, godzina 10 rano.

Wrócił właśnie z redy pilot, który wyprowadzał „Uniwersytet Gdański" z Portu Północnego. Melduje, że na wysokości Helu widział nadpływający „Uniwersytet • Wrocławski". Są już na nim przedstawiciele Morsu by atestować kompasy, radary. To będzie trwało gdzieś do godziny 15 Siojący obok mnie dziennikarze gdańscy wzruszają ramionami. Dla nich to ze długo. Opuszczają Kapitanat. Czekam na kogoś z Wrocławia, wysłałem przecież dalekopis.

Gdy było już po wszystkim, gdy delegacja radowa odjechała, spotkałem jednego z dziennikarzy wrocławskich w tłumie ludzi zwiedzających port. Pokazał mi moją notkę sprzed 10 dni: i pytał, czy mogę mu coś ciekawego o Porcie Północnym i „Uniwersytecie Wrocławskim" powiedzieć Nie jestem zawistny i na ogół chętnie dzielę się z kolegami posiadanymi informacjami. Tym razem odstąpiłem od zasady.

Oczywiście moment przywitania statku zwykle jest jego pierwszym po raz pierwszy. O godzinie 10 dnia 13 lipca czekałem na kogokolwiek z Wrocławia. Pal diabli kolegów: myślałem, że zjawi się ktoś z Uniwersytetu choćby z kwiatkiem

Dyżurny oficer portu wydaje rozporządzenie przez radiotelefon:

— Do wszystkich bosmanów stojących w porcie statków polskich Z chwilą mijania przez „Uniwersytet Wrocławski" plaćówki Westerplatte — salut syrenami". Taki już obyczaj.

„Pilot 22" z szefem pilotów kapitanem Polakiewiczem wypłynął nie o 15 lecz o 17 Opóźnienie było spowodowane nie tylko brakiem odpowiedniego nabrzeża do zacumowania „Uniwersytetu".

— Czy, do cholery, nikogo nie ma z Wrocławia? — po raz dziesiąty pytał dyżurny oficer portu.

Byłem tylko ja. Dlatego zabrano mnie na „Pilota 22".

Długo szukaliśmy „Uniwersytetu" na redzie portu gdyńskiego, gdańskiego, aż w końcu poszliśmy pod Hel. Za nami płynął „Herkules" „Miś" i „Lew". O godzinie 18.05 gwałciąc trochę zwyczaje wdrapałem się po trapie na burtę „Uniwersytetu Wrocławskiego" Pilot kazał drugi i na tym polegało zgwałcenie obyczaju. Nie było innego wyjścia, bo dopiero na sekundę przed postawieniem nogi na trapie przyznałem się kapitanowi Polakiewiczowi, że ja w ogóle to jestem po raz pierwszy na morzu. „Idź pan pierwszy — powiedział — jak spadniemy, to razem".

Na mostku kapitańskim oczekiwał przedstawiciel Wrocławia kapitan „Uniwersytetu Wrocławskiego", Antoni Korżyński. Był w pełnej gali.

— W imieniu Wrocławia i jego uczelni witam pana, panie kapitanie i załogę „Uniwersytetu" na polskich wodach terytorialnych — wyrzekłem formułę, którą nie ja powinienem wypowiedzieć.

O godzinie 20 kapitan Korżyński wydał rozkaz: „Salut bandera!" Milijaśmy Westerplatte. Zawyły syreny kilkudziesięciu statków.

Siedemnastego lipca wpływałem „Uniwersytetem Wrocławskim" do Portu Północnego.

Ja tu wrócę, bo baza węglowa to tylko pierwsza część wielkiej budowy, na następnego pokolenia, jakim jest Port Północny. Będę znów pisał o tej budowie.

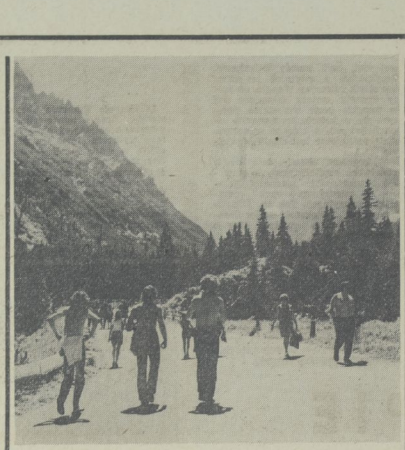

Wakacje w Tatrach mają wielu zwolenników. Na zdjęciu: Droga do Morskiego Oka. CAF — Olszewski

Morderca we własnym wozie

Dokończenie ze str. 1

słowej wystarcza, by ich porbawić czujności przy prowadzeniu, percepcji wzrokowej i zdolności reagowania na nagłe sytuacje na szosie.

Skąd bierze się tlenek węgla? Ze spalin wydzielanych przez samochody jadące bezpośrednio przed nimi (wchłanianych w gęstym ruchu pojazdów przez odpowietrzniki naszego wozu) albo równie często dostających się z naszego własnego silnika przez karoserię. Albo również często, kiedy uchylając boczną szybę czy pozostawiając otwarte tylko okno naszego fiata 125p niechcący wytwarzamy efekt próżni, która wciąga nasze własne spaliny do wnętrza samochodu. Bezwonny CO może jechać z nami nie zaproszony i nie wykryty. Do niedawna wielu kierowców sądziło, że gromadzi się on w garażach i to tylko wtedy, gdy firzw garażu są zamknięte, a silnik uruchomiony Teraz wiemy, że już 5 cząstek tlenku węgla na milion cząstek powietrza może u niektórych ludzi wywołać objawy zaczadzenia: otumanienie, bóle głowy, senność i utratę percepcji. Co więc, kontaminacja tlenkiem węgla na bardzo ruchliwych szosach może być dwa do trzech razy większa niż na ulicach miast. Wysokość też odgrywa rolę. Im większa jest wysokość tym mniej potrzeba CO, aby oddziałać na kierowcę.

Aby to podsumować, należy stwierdzić, że tlenek węgla idzie za nami wszędzie, gdzie jeździmy samochodem: na ulicach miast i przedmieść, na szosach i autostradach, nawet na zwykłej drodze. — Na ulicach np. Nowego Jorku tlenek węgla zbliża się do poziomu śmiercionośnego — świadczył niedawno dr Myron Tribus, dziekan Szkoły Inżynierii Thayera w Dortmouth. Równie zabójcze potencjalnie są ogromne, często wzarcie zatłoczone samochodami arterie Los Angeles. Krążąc po owych trasach z czułym detektorem CO, sławny kalifornijski ekspert od smogu dr A. J. Haagen-Smith z Kalifornijskiego Instytutu Technologii stwierdził, że przeciętnie stężenie CO przy dużym ruchu pojazdów wynosi 54 części na milion, dochodząc do 120 części na milion w momentach szczytowych, przy czym jedna i druga liczba znacznie przewyższa 30 części na milion, a więc poziom uważany przez ekspertów za szkodliwy dla zdrowia. Podobne badania wykazały aż 370 części na milion we wnętrzu wozów zatrzymanych w zatorach pojazdów. Co gorsza, kontaminacja CO w jadących wozach (tych, co poruszały się powoli w natłoku pojazdów) była dwa do siedmiu razy wyższa niż w samochodach zaparkowanych przy krawężnikach.

Eksperci doszli do wniosku, że samochód poruszający się w natłoku pojazdów ma tendencję do zbierania ogromnych ilości CO z wozów jadących przed nim. W Waszyngtonie pewien kierowca zatrzymał się za taksówką stojącą na stacji benzynowej, zatrąbił na obsługę i włączył radio czekając na swoją kolej. Kilka minut później już nie żył — uduszony przez spaliny taksówki. Tlenek węgla został wciągnięty przez odpowietrzniki jego samochodu.

Roztrząsając stare i nowe fakty, badacze sporządzają oskarżenie przeciwko tlenkowi węgla i jego domniemanym wspólnikom: wadliwym systemem spalania i wydzielania, nasyconemu tlenkiem węgla powietrzu miejskiemu źle umieszczonym zaworom, źle skierowanym rurom wydechowym i źle obliczonym liniom opływu karoserii, które aż nazbyt często zwiększają niebezpieczeństwo zatrucia powietrza wewnątrz samochodu przez tlenek węgla.

W Vermoncie policja stanowa zatrzymała 114 wozów (w chłodne dni, kiedy okna były zamknięte, a grzejniki pracowały na pełny regulator) i stwierdziła, że w 12 proc. pojazdów był wykrywalny tlenek węgla, przy czym w czterech na poziomie niebezpiecznym.

W Kalifornii, przeprowadzona wcześniej i na większą skalę kontrola drogowa 1007 pojazdów wykazała aż 302 z nich (około 30 proc.) było tak silnie zanieczyszczonych tlenkiem węgla, że osłabiło to czujność kierowców. Gdyby pozostali dłużej przy kierownicy, CO mógłby doprowadzić do jeszcze jednej serii niewytłumaczonych — bezkolizyjnych wypadków jednosamochodowych. Co więcej, pewna ilość CO — wykrywalna kontaminacja — została stwierdzona prawie w każdym z blisko tysiąca skontrolowanych wozów. Jednakże nawet ślad zanieczyszczenia tlenkiem węgla — zbyt mały, by spowodować jakiekolwiek objawy zewnętrzne — może wywrzeć swój wpływ przy dłuższej i dalszej jeździe, albowiem prostym faktem jest, że czerwone ciałka krwi, które zawierają większość tlenu potrzebnego nam do życia i sprawności, mają upodobanie do CO — w istocie mają 200 do 300 razy większe powinowactwo z tlenkiem węgla. Niemal chciwie wciągają CO odrzucając tlen. Cały mechanizm ciała, pozbawiony tlenu, zaczyna zwalniać i zawodzić.

Automobiliści więc powinni brać pod uwagę następujące zalecenia:

1) Nigdy nie prowadzić samochodu ze wszystkimi oknami zamkniętymi.

2) Jeżeli jesteście senni na szosie, przyczyną może być tlenek węgla. Zatrzymajcie się natychmiast, wysiądźcie z samochodu i odetchnijcie świeżym powietrzem. Następnie jedźcie mając w miarę możności okna otwarte.

3) Regularnie sprawdzajcie systemy wydechowe, zwłaszcza czy nie ma przerwanych uszczelek, nieszczelnych przewodów rurowych, przeciekających połączeń rury wydechowej i dziur w tłumikach.

4) Wyłączajcie silnik, jeśli siedzicie w zaparkowanym samochodzie dłużej niż kilka minut.

ZAŁATWIONE POZYTYWNIE! wiadomości

Kontynuujemy propozycję. Termin załatwiania spraw ludzkiej troski — natychmiast. Kompetencje — ktokolwiek pomóc może. Relacja DWIEŚCIE dwudziesta ósma.

Krystyna W. marzy o jednej tylko chwili: kiedy stanie z walizeczką w ręku przed okienkiem kasy kolejowej na tej małej prowincjonalnej stacyjce i poprosi o bilet do Wrocławia. Do miasta, z którym wiąże ją prawie połowa jej życia, w którym czeka na nią mieszkanie i życzliwi, bliscy jej nie wczorajami krwi, ale przyjaźnią ludzie... Wkrótce minie rok od momentu, kiedy temu marzeniu Krystyny lekarze nadali realny kształt medycznej opinii i terapeutycznego wskazania.

ODZYSKANIE ŚWIATA

KIEDY wreszcie Krystyna W. ziści swe marzenie, a lekarze wielkiego szpitala dla nerwowo chorych odnotowując w rejestrach wypisanie swej pacjentki do domu z ulgą stwierdzą, że ich opinie przestały być grochem rzucanym o ścianę?

I

Krystyna W. zawsze należała do ludzi, dla których sens życia oznacza aktywność, energię, działanie w społeczności. Jedni nazywają to wrodzonymi cechami charakteru, inni — szukaniem rekompensaty po utracie najbliższych. Straciła ich w jeden sierpniowy dzień Powstania Warszawskiego.

Łączniczka Krystyna, wywieziona do obozu pracy przymusowej w III Rzeszy, swój samotny szlak powrotu w 1945 roku przerywa we Wrocławiu i tu się osiedla. Chociaż powstańcze kontuzje i obozowa martyrologia przynoszą jej rentę inwalidką, od pierwszych wrocławskich dni podejmuje pracę przy organizacji spółdzielczości. To jest jej substytut utraconej rodziny.

I tak będzie przez dalsze ćwierć wieku. Poza pracą zawodową niespożyta aktywność społeczna: w ZBoWiD-zie, w Towarzystwie Miłośników Wrocławia — w sekcji „Ludzi z literą P". Jest też opiekunką społeczną dzielnicy. W tej właśnie funkcji społecznej odwiedza ludzi samotnych, skrzywdzonych przez los, bezradnych. Leczy ich z melancholii, z depresji, z „zagubienia wśród obcych" — swoim przykładem.

Na początku 1973 roku Krystyna ulega tragicznemu wypadkowi ulicznemu. Kuracja w szpitalu, II grupa inwalidzka, później dalsza kuracja w szpitalu dla nerwowo i psychicznie chorych. Skutki kontuzji głowy w wypadku wymagają intensywnej i troskliwej terapii.

II

W wielkim dolnośląskim szpitalu Krystyna szybko jednak wraca do zdrowia. Gdy tylko to możliwe, lekarze pozwalają jej na angażowanie swej aktywności w pracy, która tu nazywa się również rehabilitacją. Krystyna i tu nie czuje się samotna, bo umie czas wypełnić użytecznością dla innych. Życie, to spoza szpitala, „ze świata" — jak się tu powiada — także wypłaca serdeczne „odsetki": odwiedzają Krystynę w niedziele i święta ludzie życzliwi, ludzie z jej społecznych szlaków i kontaktów. Współtowarzysze pracy ze spółdzielni z kwiatami, zbowidowcy z zapomogą, przyjaciele z pytaniem: — Kiedy pani do nas wróci?

Jesienią 1973 roku nadchodzi wreszcie moment, kiedy pytanie to przestaje mieć barwę konwencjonalnej uprzejmości. Dwie bliskie przyjaciółki Krystyny, Zofia P. i Maria S. dowiadują się w rozmowie z ordynatorem, że z medycznego punktu widzenia nie ma już przeszkód w wypisaniu pani Krystyny ze szpitala. Jej stan zdrowia pozwala na „powrót do świata".

Z medycznego punktu widzenia jest to stwierdzenie proste i jednoznaczne. Ale w aspekcie warunków bytowych Krystyny rzecz się komplikuje. Jej stan zdrowia pozwala na opuszczenie szpitala, ale wymaga jednocześnie stałej, troskliwej opieki domowników. Tymczasem wiemy, że w sensie rodzinnym Krystyna jest sama. Ma we Wrocławiu od ćwierć wieku ładne, chociaż skromne, samodzielne mieszkanie kwaterunkowe. Ale zawsze mieszkała w nim sama. I akurat samotność tej kamienicy nie stanowi kręgu jej przyjaźni i zainteresowań. Tu więc wróciłaby w samotność i wśród obcych.

Ma więc pozostać w szpitalu?

Jest alternatywa: dom opieki, czyli dom emerytów, czyli dom... starców. Ale czyż nie jest nonsensem blokować tam miejsce dla osoby, która niedawno przekroczyła dopiero pięćdziesiątkę? Dla kobiety zawsze tak aktywnej, pełnej nadziei i optymizmu?

Ma więc pozostać w szpitalu?

III

Mijają miesiące i mimo najlepszej woli wciąż brak sposobu rozwiązania problemu powrotu Krystyny do świata. Jej przyjaciółki zainteresowały problemem redakcję „Wiadomości". Same zrobiły już wiele. Pani Zofia, przy życzliwej pomocy ZUS-u, pilotowała sprawę podwyższenia grupy inwalidzkiej i rentowej Krystyny, co dało jej przyznanie specjalnego dodatku na pomoc osoby drugiej. Pani Maria z męża (starsze, samotne małżeństwo) wysunęli koncepcję mogącą zapewnić Krystynie powrót w środowisko... rodzinne!

Była to koncepcja nie tylko mogąca rozwiązać ten bolesny dylemat indywidualnej sprawy Krystyny, ale nosząca cechy precedensu, sposobu do uogólnienia. Postanowiliśmy pomóc i kogo trzeba o pomoc poprosić.

Rzecz była prosta: skoro Krystyna nie może wrócić do siebie między obcych, trzeba, aby wróciła do siebie, ale między bliskich. Konkretnie, aby jej mieszkanie znalazło się w bezpośrednim o ścianę, sąsiedztwie mieszkania małżeństwa S. Aby o krok miała miejsce przy rodzinnym stole, telewizorze, pogawędce, aby mogła — gdy się zdarzy zła chwila w nocy w ścianę zapukać, aby będąc samodzielnym człowiekiem (również lokatorką), nie była sama.

Przedstawiliśmy koncepcję dyrektorowi szpitala. Na naszą prośbę taką oto otrzymaliśmy medyczną i społeczną wypowiedź zespołu lekarskiego tej specjalistycznej placówki: **„Krystyna W. deklaruje chęć powrotu do domu. W aktualnym stanie zdrowia pacjentka nie wymaga leczenia szpitalnego, wymaga stałej i troskliwej opieki innych osób. Z proponowanych dwóch rodzajów opieki: dom opieki i opieka życzliwych jej osób LEPSZY JEST TEN DRUGI. Wskazane byłoby, żeby pacjentka mieszkała razem z opiekunami, jak proponują to jej znajome".**

Teraz możemy na sojusznika prosić dyrektora dzielnicowego Zespołu Opieki Zdrowotnej. Dr B. deklaruje pełną pomoc działu opieki społecznej w patronacie nad formalnościami, w zapewnieniu (gdy będzie trzeba) pomocy materialnej, rekomendacji — z punktu widzenia medycznego i społecznego — sprawy zamiany mieszkań do władz dzielnicy. Taką samą pomoc obiecał nam ZBoWiD.

Mamy nadzieję, że ostatni akcent sprawy: wymiana dwóch mieszkań, Krystyny i państwa S. teraz znajdujących się na odległych ulicach, na identyczne dwa mieszkania (uwaga: miasto nie tu i ówdzie substancji mieszkaniowej nie traciłj obok siebie, na tej samej klatce schodowej, będzie także pozytywny.

Zasługuje na to nie tylko Krystyna W. i akt dobrej woli małżeństwa S. Sprawa ta winna korzystać z priorytetów należnych eksperymentom społecznym. Problem ludzi samotnych, którzy stają się „lokatorami" szpitali, bo nie mogą wrócić między obcych, jest problemem narastającym. Chodzi zarówno o ludzi starych, przewlekle chorych, jak i ludzi szczególnej troski. Ludzi, którzy w odpowiednich warunkach środowiskowych mogą „odzyskać świat", a społeczeństwo — ich. „Rodzinne środowisko to główny kierunek działania!" — mówi wybitny naukowiec i społecznik, prof. dr med. Edward Rutyto. Problem ten ostatnio wytyczne rządowe włączyły do gospodarczo-społecznych planów budownictwa mieszkaniowego, a dyr. Nowak z CZSBiM zapowiedział już (za 2, 3 lata) budowę tzw. lokatorskich domów pogodnej jesieni we Wrocławiu. W Krakowie i Łodzi już nie działają, Poznań z powodzeniem stosuje system rodzin zastępczych. We Wrocławiu mamy własną zainicjowaną system: przystoń wśród życzliwych.

(ESP)

RAK — CHOROBĄ CYWILIZACJI?

MIĘDZY DZIEDZICZNOŚCIĄ A ŚRODOWISKIEM

„MONDE de la Médecine" zamieścił w kwietniu br. ciekawy artykuł dr. Blaudin de The, szefa wydziału w Międzynarodowym Ośrodku Badań nad Rakiem w Lyonie. Podaję go w skrócie.

Rak kliniczny jest manifestacją połączonych cech i czynników, które z osobna wzięte nie muszą bynajmniej wywołać anarchii w organizmie. Można przyjąć, że rak jest wypadkową czynników dziedzicznych i środowiskowych. Pierwsze stanowią spadek nieuchronny, u każdego odmienny, ale każdy nosi w sobie możliwość nieszczęścia. Drugie pochodzą od środowiska, które za pośrednictwem chemikaliów, promieniowań, wirusów odbiorowule w pewnych okolicznościach tę możliwość zamienią w komórkach i zazwyczaj stłumioną.

Często uważa się raka za chorobę współczesnej cywilizacji. To zarazem prawda i nieprawda. W istocie, biorąc pod uwagę częstotliwość raka w różnych krajach jako funkcję wieku, znajdujemy że różnice są niewielkie nie 2- do 2,5-krotnie. W krajach rozwiniętych przypadków raka jest o wiele więcej, ponieważ spodziewana długość życia jest tam o wiele większa niż w krajach rozwijających się. Natomiast częstotliwość niektórych form raka jest czasem 10 a czasem nawet 100 razy większa w jakimś regionie niż gdzie indziej. Gdyby udało się wyeliminować te szczególne rakotwórcze czynniki środowiskowe, ogólną zachorowalność na raka można by zmniejszyć nawet o 60%; tak przynajmniej sądzi Amerykanin John Higginson, dyrektor Międzynarodowego Ośrodka Badań nad Rakiem. Samodzielnego Instytutu Światowej Organizacji Zdrowia.

Rak nie jest chorobą wyłącznie ludzką. Zapadają na nią również zwierzęta. Każda istota żywa jest rezultatem przeciwstawnych sił wzrostu i represji. Harmonia i ewolucja są wynikiem równoważenia się tych sił, lecz każdy organizm narażony jest też na ryzyko, że jakieś komórki wymkną się spod jego kontroli. Konsekwencją takiego „wymknięcia się" jest niekontrolowane mnożenie się komórek „odbiokowanych" i ostatecznie ich zrakowacenie. Walka organizmu z anarchicznym rozmnażaniem się takich komórek i czasem zwycięstwo anarchii są właśnie chorobą raka.

Dr Blaudin de Thé opisuje przykład raka przełyku, który jest wyraźnie chorobą regionalną. Szczególnie w Iranie nad Morzem Kaspijskim, w pasie wybrzeża o długości zaledwie 500 km obserwuje się ogromne różnice w częstotliwości tej choroby: po stronie wschodniej, na wpół pustynnej, zamieszkanej przez ludność turkmeńską, częstotliwość raka przełyku jest 100—200 razy większa niż po stronie zachodniej, u podnóża gór Elburs, wśród Irańczyków Nadto w owym rejonie wschodnim kobiety zapadają na raka przełyku dwa razy częściej niż mężczyźni, co przeczy wszelkim analogicznym statystykom z innych regionów świata. Badania — nadal w toku — pozwoliły, jak dotąd, jedynie na wykluczenie alkoholu jako czynnika w tym wypadku rakotwórczego. Podejrzewano alkohol, zwłaszcza jabłecznik, ponieważ innym rejonem wysokiej częstotliwości raka przełyku jest Normandia i Bretania, a w Bretanii istotnie ustalono zależność pomiędzy zachorowaniami na raka przełyku a konsumpcją jabłecznika, i to równie mocną, jak gdzie indziej pomiędzy papierosami a rakiem płuc. Wykluczając alkohol jako sprawcę zła w Iranie, zauważono natomiast, że często chorujący Turkmeni piją dużo mleka owczego, cierpią na brak witamin i wypekają chleb na wolnym powietrzu w specjalnych piecach, gdy tymczasem rzadko chorujący Irańczycy żywią się przede wszystkim ryżem...

Obok takich przykładów „regionalizacji" raka znane są przykłady form rakowych wyraźnie powiązanych z dziedzicznością. Chińczycy z prowincji kantońskiej od tysiącleci mają skłonność do raka gardła: odnowione opisy znajdują się w najstarszych podręcznikach medycyny chińskiej. Otóż prowincja ta jest od stuleci ośrodkiem emigracji; okazuje się, że emigranci i ich potomkowie zachowują nieszczęsną skłonność wszędzie, od Kalifornii po Singapur.

Rola wirusów w zachorowaniach na raka jest ciągle jeszcze sporna. Wadomo, że wirusy z RNA (natomiast bez własnego DNA) wywołują raka krwi, tkanki łącznej i limfatycznej u wielu zwierząt; u ludzi tego nie stwierdzono. Zauważono natomiast obecność wirusów z DNA przy trzech przynajmniej formach raka ludzkiego: tzw. raka afrykańskiego dziecka (lymphoma Burkitta, rodzaj liszaju na policzku), chińskiego raka gardła i raka macicy. Wiadomo też, że wirus Burkitta wywołuje w krajach zachodnich stosunkowo niewinną chorobę krwi, tzw. zaraźliwą monokleozę. Jak rozumieć te dane? Współobecność wirusa i raka nie jest jeszcze dowodem, że właśnie wirus raka wywołuje. Jeśli wywołuje, to dlaczego w tak różnych formach? Może są to subtelnie różniące się odmienne wirusy? Ale wirus Burkitta jest na pewno identyczny z wirusem monokleozy.

Międzynarodowy ośrodek postanowił przy pomocy statystyki obejść naturalną trudność: dzieciom nie można zastrzykiwać wirusów. Prowadzi się więc masowe i zakrojone na kilka lat obserwacje populacji, które wykazują bardzo różną częstotliwość „wirusowych" form raka regularnie badając krew zarejestrowanych osobników na obecność wirusa i ewentualnie antycał. W Ugandzie pobrano krew u 40 tys. dzieci w wieku 2-5 lat; po zbadaniu na obecność wirusów i antycał starannie zarejestrowane próbki przechowuje się w płynnym azocie. Statystyka dowodzi, że 40 z tych 40 tys. dzieci zapadnie na raka policzka. Wtedy uczeni nie tylko przystąpią do leczenia chorych (ponad 1/2 rokowań pomyślnych), lecz ponownie zbadają 40 próbek, aby ustalić czy już w nich była zawarta zapowiedź choroby...

Do artykułu dołączono rysunek, który reprodukujemy:

„Góry" na spodzie rysunku reprezentują dziedziczność populacji... wyższa góra oznacza wyższą podatność dziedziczną na raka. Obszar nie zakreskowany nad górami przedstawia środowisko z jego ewentualnie rakotwórczymi czynnikami. Działanie tych czynników reprezentują dwie strzałki również długości. W przypadku osobnika 1 o niskiej podatności dziedzicznej rak nie wystąpi, linia AA' nie zostanie przekroczona. Inaczej u osobnika 2: ten znajdzie się w stanie przedrakowym. Obszar pomiędzy AA' a BB' przedstawia strefę obrony organizmu. Przełamanie linii BB' oznacza raka klinicznego.

(KiWi)

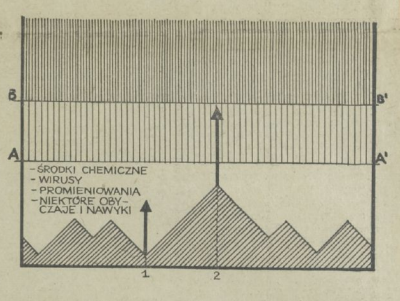

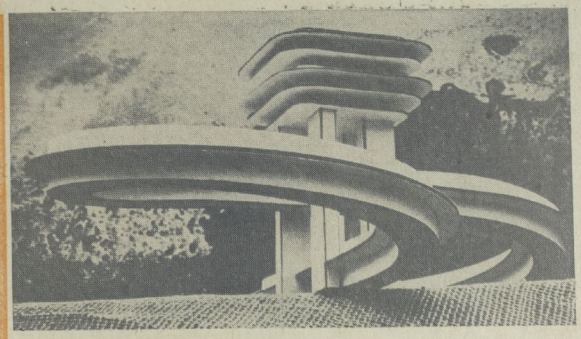

Ta wizja osiedla przyszłości to praca dyplomowa Andrzeja Szopenika, prezentowana na ostatniej wystawie „Galerii Jednego Projektu".

MROŻONKI

WIEMY już wszyscy, że mrożonki należy po rozmrożeniu natychmiast zużyć: psują się bardzo szybko. Dlaczego?

W czasie zamrażania, przy przechodzeniu przez temperatury od 0 do —5 stopni, woda w komórkach zamienia się w lód zwiększając objętość (z czym byłoby jeszcze pół biedy) i wytrącając różne sole, które krystalizują się. Kryształy rozbijają ścianki komórek. Stają się możliwe reakcje chemiczne, które nie zachodzą w komórkach nie tkniętych. Dopóki produkt jest zamrożony, reakcje te są zahamowane lub bardzo zwolnione, ale po rozmrożeniu następuje przyspieszone gnicie. Otóż im proces zamrażania jest szybszy, im prędzej produkt przechodzi przez niebezpieczną strefę temperatur, tym kryształki są drobniejsze i ścianki komórek mniej uszkodzone.

Aby uzyskać przyspieszone mrożenie, odchodzi się dziś od procesu ochładzania przez kontakt (produkt jest ściskany przez płyty mrożące) na rzecz procesu konwekcyjnego lub zamrażania skroplonym gazem. W procesie konwekcyjnym produkty wędrują na siatkowej ruchomej taśmie nad strumieniem oziębionego powietrza. Ma to tę jeszcze zaletę, że mroźny wiatr unosi nieco owoce lub jarzyny tak, by nie przymarzły ani do siatki, ani do siebie wzajem.

Zamrażanie skroplonym gazem (azotem) byłoby znacznie szybsze; nie można jednak po prostu zanurzać w nim produktu, gdyż wtedy powierzchnia zamarza natychmiast (—196 stop. C), a środek jest jeszcze miękki i powstałe naprężenia rozrywają strukturę komórkową. Trzeba więc mrozić przez opryskiwanie, co obniża wydajność i podnosi koszty.

Specjaliści obiecują sobie natomiast spore po freonie-12 (czynnik chłodzący w lodówkach), który skrapla się już przy —30 stop. C i ma bardzo wysoką pojemność cieplną. Tworzy on z wodą naskórkową produktu związek, który przy zamrażaniu otacza owoc błonką uniemożliwiającą parowanie, a rozkłada się po ocieplaniu. Freon wtedy paruje — i tu jest jego „ale". Wprawdzie nie jest trujący, ale może gromadzić się w płucach blokując dopływ tlenu.

Jak widać, zwykle mrożonki też mają swoje problemy.

(KiWi)

ŚMIERĆ PLANETY

Najpóźniej ze wszystkich planet układu słonecznego ludzie, odkryli Pluton, ostatnią (według oddalenia od Słońca planetę układu. Zdarzyło się to dopiero w 1930 r., a dokonał tego Clyde Tombaugh w Lowell Observatory (Arizona, USA). Czas obrotu wokół osi — 6,4 doby, a okres obiegu dokoła słońca nieco ponad 248 lat. Encyklopedia podaje, że rozmiary Plutona nie są dotychczas znane.

Planeta do dziś zadziwia astronomów. Otóż w 12 lat po jego odkryciu ustalono jego masę na 0,91 masy Ziemi. Minęło lat 13 i specjaliści zdecydowali: ruch Plutona wskazuje, że jego masa absolutnie nie może być większa niż 0,82 masy Ziemi. W r. 1968 amerykańscy astronomowie z Obserwatorium Morskiego w Waszyngtonie raz jeszcze i to bardzo gwałtownie zmniejszyli nieszczęsną planetę, sprowadzając jej masę do 0,18 masy Ziemi. Ale to jeszcze nie wszystko. Niedawno ci sami uczeni nabrali przekonania, że więcej niż 0,11 masy Ziemi nie można dać Plutonowi w żaden sposób.

Zeby nie wymówić w złą godzinę — Pluton gotów w ogóle zniknąć.

ŁĄCZNOŚĆ W KOPALNIACH

W POLSKIEJ Akademii Nauk zakończono prace badawcze nad systemem łączności radiowej w podziemiach kopalń węgla. Trwały one trzy lata i prowadzono je na zlecenie i przy ścisłej współpracy z Głównym Instytutem Górnictwa.

Obecnie w podziemiach kopalń węgla łączność między dyspozytornią a załogą elektrowozów kolejek podziemnych utrzymuje się przy pomocy telefonów i trolejfonów. Są jednak sytuacje, w których konieczna jest stała łączność z górnikami, którzy nie pracują w jednym miejscu i nie mogą — tak jak to czyni się w trolejfonach — wykorzystać dla nawiązania łączności przewodu jezdnego kolejki.

Tu wyjaśnić trzeba, że fale radiowe w chodnikach kopalń są bardzo silnie tłumione i nie można tam utrzymać łączności radiowej na tych samych zasadach, co na powierzchni.

Naukowcy zdecydowali się więc oprzeć system podziemnej łączności na tzw. dwuprzewodowej linii transmisyjnej. Linia taka to dwa izolowane przewody rozwieszone na przeciwległych ścianach chodnika i dołączone do centralnego aparatu nadawczo-odbiorczego. Przewody te prowadzą I — rzec można — skupiają fale radiowe, zapobiegając ich nadmiernemu tłumieniu. Każdy górnik, który przebywa w chodniku z rozwieszoną linią znajduje się w zasięgu jej pola elektromagnetycznego. Pozwala mu to przy pomocy radiotelefonu odbierać przesyłane linią sygnały. I odwrotnie: górnik przy pomocy radiotelefonu pobudza linię, która transmituje sygnały do centrali.

Instalacje takiego systemu łączności są iskrobezpieczne i to pozwala wykorzystać je we wszystkich kopalniach.

Eda

SPOSÓB NA ŚCIEKI

ŚCIEKI, które zanieczyszczają naturalne środowisko, są problemem nr 1 niemal wszystkich dziedzin współczesnego przemysłu i wiadomo, że ich oczyszczania ciągle jeszcze nie można nazwać dostatecznym. Stosuje się przy nim metodę mechaniczną i biologiczną, a koszt budowy oczyszczalni, zwłaszcza dwustopniowych (mechaniczno-biologicznych), jest bardzo wysoki. Znana jest jeszcze jedna metoda oczyszczania ścieków, fizyko-chemiczna, prawie równie skuteczna, jak biologiczna i z technicznego punktu widzenia znacznie prostsza. Na przeszkodzie jej stosowaniu stają jednak bardzo wysokie ceny importowanych koagulantów (koagulacja to łączenie się, ścinanie, krzepnięcie cząsteczek zawiesiny w większe cząstki i szybsze przez to ich opadanie na dno zbiornika).

Importowane koagulanty — sole glinu, żelaza, polimery — są drogie. Te bardziej dostępne, krajowe — mleko i woda wapienna, mączka kartoflana, ziemia okrzemkowa i inne glinokrzemiany — nie dość skuteczne. Dlatego metody fizyko-chemiczną są stosowane w sporadycznych wypadkach, praktycznie tylko w ściekach, które nie poddają się oczyszczaniu biologicznemu.

W Instytucie Budownictwa Wodnego Polskiej Akademii Nauk w Gdańsku opracowano oryginalną fizyko-chemiczną metodę, którą można szeroko stosować, a więc skuteczniej i sprawniej walczyć z zanieczyszczeniem środowiska. Stwierdzono mianowicie, że wody z hydraulicznego odpopielania elektrowni, zawiesina i popioły — a więc odpady — mogą być wykorzystane jako doskonały koagulant do oczyszczania ścieków i wód powierzchniowych.

Metoda polega na zmieszaniu zanieczyszczonych wód czy ścieków z odpowiednią dawką wód z odpopielania, a następnie na szybkim oddzieleniu wytrąconych zawiesin w osadnikach. Proces ten trwa od pół godzin do dwóch godzin i zapewnia oczyszczenie i wyklarowanie wody. Towarzyszy temu demineralizacja i dekarbonizacja wody, szczególnie korzystna dla przemysłu i gospodarki. Znaczenie metody jest równie duże z sanitarnego punktu widzenia, bo przy jej stosowaniu bakterie niemal zupełnie znikają, a tzw. miano coli zostaje podwyższone do odpowiedniego stanu.

Następne korzystne zjawisko przy stosowaniu tej metody: obniżenie w wodzie stężenia substancji odżywczych, związków azotu i fosforu. Jak wiadomo, zbyt „dobrze odżywiona" woda powoduje niesłychanie szybkie zarastanie stawów, jezior i rzek.

Metoda ta to najtańsza ze znanych fizyko-chemicznych metod oczyszczania ścieków i wód powierzchniowych. Nie tylko bowiem oczyszcza ścieki, ale i wykorzystuje wody odpadowe z odpopielania elektrowni, które — nie wykorzystane — wymagają normalnego oczyszczania jako ścieki o dużej alkaliczności. Już sam fakt łącznego oczyszczania może przynieść gospodarce krajowej duże korzyści. Dodatkowa korzyść to obniżenie kosztów budowy i eksploatacji oczyszczalni, gdy elektrownia i oczyszczalnia są blisko siebie.

Dalsze źródło korzyści to osad. Jego przeróbka jest łatwa, a duża zawartość związków mineralnych oraz azotu i fosforu pozwala na wykorzystanie go w rolnictwie. No i wreszcie ogranicza się import drogich koagulantów.

Metoda została w placówce PAN sprawdzona w skali ułamkowo-techniczne. W brykietowni w Koninie zastosowano ją w skali technicznej. Zdała egzamin.

Eda

ZBAWIENNE PORONIENIE

W OSTATNICH latach nauka poświęciła wiele uwagi zjawisku spontanicznych poronień. Do niedawna sądzono, że głównym ich powodem są hormonalne niedostatki organizmu matki. Badania ostatnich lat zmieniły ten pogląd. Wczesne spontaniczne poronienia są... samoobroną gatunku przed zwyrodnieniem.

Wbrew dawniejszym opiniom mechanizm zapładniania — łączenie plemnika z jajem — jest bardzo daleki od doskonałości. Komórki płciowe, które powstają w wyjątkowym dla organizmu procesie mejozy (przepołowienia liczby chromosomów) są, jak się okazuje, bardzo często obciążone błędami chromosomicznymi. Tak np. u normalnego, zdrowego mężczyzny defekty genetyczne miewa do 40 proc. (!) plemników.

Badacze francuscy André i Joëlle Boué twierdzą, że aż połowa zapłodnień ludzkich daje komórkę płodową z defektami genetycznymi. Tymczasem wśród dzieci urodzonych w terminie jest ok. 0,5 proc. z defektem chromosomicznym. Innymi słowy, 99 proc. płodów z defektami podlega eliminacji.

Rzecz bowiem ma się najczęściej tak, jak gdyby natura, która zupełnie sfuszerowała mejozę, chciała pomyłki wyrównać w dalszej fazie rozwoju płodu. Defekty chromosomiczne nie przeszkadzają na ogół zapłodnieniu; w szczególności owe zdefektowane plemniki są równie zazwyczaj sprawne, jak inne. Ale proces eliminacji rozpoczyna się już przy pierwszych podziałach zapłodnionego jaja. Mechanizm eliminacji polega najczęściej na złej implantacji jaja — ale potrzebne będą dalsze badania, żeby go istotnie zrozumieć. W każdym razie stwierdzono, że wśród poronień spontanicznych zauważonych w ciągu 7 tygodni po zapłodnieniu płód był w 65 proc. obciążony defektami chromosomicznymi zapewne też bardzo wiele „poronień" następuje od razu w pierwszej fazie po zapłodnieniu, w sposób niezauważalny.

Błędy aparatu reprodukcyjnego — które występują też równie masowo u wielu ssaków — dowodzą, jak naiwny jest pogląd o rzekomej doskonałości i precyzji mechanizmów biologicznych.

(KiWi)

FORTY SREBRNEJ GÓRY

Stanisław M. Bobow

Minęły dwa miesiące od chwili ukazania się w Wiadomościach" pierwszego artykułu o historii Srebrnej Góry. Nasz skierowany do czytelników apel o nadsyłanie informacji o oflagu VIII B spotkał się z zainteresowaniem działaczy ZBoWiDu oraz tych oficerów, którzy przeżyli część niewoli w fortach pruskich. Informacje otrzymaliśmy również od rodzin byłych jeńców. Najbardziej obszernych i szczegółowych relacji z codziennego życia jeńców przebywających w halach fabrycznych (obóz Fabrik") w Srebrnej Górze udzielili nam ppor. ppor. M. Skorupski i M. Szwefel. Dzięki dużej aktywności Okręgowej Komisji Historycznej ZBoWiD we Wrocławiu a szczególnie jej przewodniczącego dr J. Żuławińskiego oraz działacza komisji M. Skorupskiego, uzyskaliśmy relacje od mjr. W. Pająka z Torunia, ppor. H. Szitllera z Aleksandrowa Łódzkiego oraz od syna nieżyjącego już mjr S. Panka z Mikołajek. Pan Z. Jewczuk ze Srebrnej Góry udostępnił nam list napisany przez ppor. J. Gerstela z dalekiej Australii, jednego z trzech oficerów, którym udała się ucieczka z fortu Rogowego (Hohenstein). Pani Hanna Kloza z Wrocławskiego Ośrodka TV udostępniła nam nagraną relację mjr F. Pawlaka z Londynu. Obszerne wspomnienie z lat wojny i okresu powojennego przekazał nam mieszkaniec Srebrnej Góry pan Józef Wachowicz. Ponadto uzyskano relacje od kpt A. Grzybowskiego w woj. opolskiego, kpr. S. Żyłaka z Wałbrzycha, płk T. Jakubca z Warszawy, ppor. J. Hlebowicza oraz syna nieżyjącego już mjr dypl. L. Wernica również z Warszawy.

Wróćmy jednak do historii lat 1939–1945. Co działo się w tym czasie w Srebrnej Górze?

LOKALIZACJA OFLAGU VIII B W SREBRNEJ GÓRZE

Na podstawie zebranych dowodów w postaci relacji byłych jeńców, protokołów z przesłuchań świadków przez Okręgową Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich we Wrocławiu oraz odnalezionych rejestrów statystycznych jeńców poszczególnych obozów w III Rzeszy, znajdujących się w archiwum Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie, możemy stwierdzić, że Oflag VIII B mieścił się nie tylko w forcie Ostróg (Spitzberg) i Rogowym (Hohenstein), lecz również w forcie Donjon. Kpt A. Grzybowski wręcz pisze, że ucieczka oficerów polskich z fortu Rogowego spowodowała represje Niemców na jeńcach, a w dalszej konsekwencji przeniesienie oficerów do podziemi fortu Donjon.

O forcie Donjon relacjonują J. Hlebowicz i H. Szitller, a J. Gerstel wspomina iż podziwiany przez niego z tarasu Ostrogu fort, usytuowany na odległym wzgórzu, wydawał się opuszczony aż pewnego wieczoru cały został oświetlony lampami. Lampy oświetliły wnętrze okrągłej budowy. Światłem wypełniły się również małe waskie okna fortu Donjon. O wykorzystaniu tego fortu na cele obozowe pozwalają sądzić i inne fakty. Otóż wg relacji jeńców, w połowie 1940 roku w fortach przebywało około 170 oficerów i 120 ordynansów. Łącznie osadzono więc w kazamatach około 300 żołnierzy i oficerów polskich. Dwa forty – Ostróg i Rogowy – nie mogły takiej ilości pomieścić prawdopodobnie więc część oficerów i ordynansów umieszczono w Donjonie, wiadomo również, że żołnierze polscy, właśnie z Donjonu, dowozili wodę do fortu Rogowego? Stan pozostawionych w forcie urządzeń po 1945 roku pozwala sądzić, że studnia i pomieszczenia mieszkalne były wykorzystywane w czasie wojny.

Na podstawie zebranych i fragmentarycznie przedstawionych tu materiałów możemy stwierdzić, że jeńcy polscy byli osadzeni w trzech fortach (Ostróg, Rogowy, Donjon) i w minimum dwóch halach fabrycznych (w dzielejszym zakładzie „Społem" i prawdopodobnie w Zakładach Drzewnych). Niemiecka komenda obozu i pierwszego artykułu o historii Srebrnej Góry. Nasz skierowany do czytelników apel o nadsyłanie informacji o oflagu VIII B spotkał się z zainteresowaniem działaczy ZBoWiDu oraz tych oficerów, którzy przeżyli część niewoli w fortach pruskich. Informacje otrzymaliśmy również od rodzin byłych jeńców. Najbardziej obszernych i szczegółowych relacji z codziennego życia jeńców przebywających w halach fabrycznych (obóz „Fabrik") w Srebrnej Górze udzielili nam ppor. ppor. M. Skorupski i M. Szwefel. Dzięki dużej aktywności Okręgowej Komisji Historycznej ZBoWiD we Wrocławiu a szczególnie jej przewodniczącego dr J. Żuławińskiego oraz działacza komisji M. Skorupskiego, uzyskaliśmy relacje od mjr. W. Pająka z Torunia, ppor. H. Szitllera z Aleksandrowa Łódzkiego oraz od syna nieżyjącego już mjr S. Panka z Mikołajek. Pan Z. Jewczuk ze Srebrnej Góry udostępnił nam list napisany przez ppor. J. Gerstela z dalekiej Australii, jednego z trzech oficerów, którym udała się ucieczka z fortu Rogowego (Hohenstein). Pani Hanna Kloza z Wrocławskiego Ośrodka TV udostępniła nam nagraną relację mjr F. Pawlaka z Londynu. Obszerne wspomnienie z lat wojny i okresu powojennego przekazał nam mieszkaniec Srebrnej Góry pan Józef Wachowicz. Ponadto uzyskano relacje od kpt A. Grzybowskiego w woj. opolskiego, kpr. S. Żyłaka z Wałbrzycha, płk T. Jakubca z Warszawy, ppor. J. Hlebowicza oraz syna nieżyjącego już mjr dypl. L. Wernica również z Warszawy.

Wróćmy jednak do historii lat 1939–1945. Co działo się w tym czasie w Srebrnej Górze?

LOKALIZACJA OFLAGU VIII B W SREBRNEJ GÓRZE

Na podstawie zebranych dowodów w postaci relacji byłych jeńców, protokołów z przesłuchań świadków przez Okręgową Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich we Wrocławiu oraz odnalezionych rejestrów statystycznych jeńców poszczególnych obozów w III Rzeszy, znajdujących się w archiwum Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie, możemy stwierdzić, że Oflag VIII B mieścił się nie tylko w forcie Ostróg (Spitzberg) i Rogowym (Hohenstein), lecz również w forcie Donjon. Kpt A. Grzybowski wręcz pisze, że ucieczka oficerów polskich z fortu Rogowego spowodowała represje Niemców na jeńcach, a w dalszej konsekwencji przeniesienie oficerów do podziemi fortu Donjon.

O forcie Donjon relacjonują J. Hlebowicz i H. Szitller, a J. Gerstel wspomina iż podziwiany przez niego z tarasu Ostrogu fort, usytuowany na odległym wzgórzu, wydawał się opuszczony aż pewnego wieczoru cały został oświetlony lampami. Lampy oświetliły wnętrze okrągłej budowy. Światłem wypełniły się również małe waskie okna fortu Donjon. O wykorzystaniu tego fortu na cele obozowe pozwalają sądzić i inne fakty. Otóż wg relacji jeńców, w połowie 1940 roku w fortach przebywało około 170 oficerów i 120 ordynansów. Łącznie osadzono więc w kazamatach około 300 żołnierzy i oficerów polskich. Dwa forty – Ostróg i Rogowy – nie mogły takiej ilości pomieścić prawdopodobnie więc część oficerów i ordynansów umieszczono w Donjonie, wiadomo również, że żołnierze polscy, właśnie z Donjonu, dowozili wodę do fortu Rogowego? Stan pozostawionych w forcie urządzeń po 1945 roku pozwala sądzić, że studnia i pomieszczenia mieszkalne były wykorzystywane w czasie wojny.

Na podstawie zebranych i fragmentarycznie przedstawionych tu materiałów możemy stwierdzić, że jeńcy polscy byli osadzeni w trzech fortach (Ostróg, Rogowy, Donjon) i w minimum dwóch halach fabrycznych (w

ŻYCIE CODZIENNE JEŃCÓW

Rozkład doby obozowej przewidywał trzy posiłki. Żywność była dostarczana w bardzo małych ilościach znajdowano w niej robaczywe mrówki. Raz dziennie zaopatrywano każdego jeńca w około 250 g chleba z dodatkiem 20 g margaryny lub w paste śledziową z ogonów i głów rybich, czasami podawano plasterek kiszki czerwonej lub płatek wędliny. Na śniadanie jeńcy dostawali kawę zbożową lub „herbatę", tzn. przegotowaną wodę z jakimś zielskiem. Kolacja była podobna do śniadania. Na obiad karmiono zupą z brukwi lub ryb śmierdzących z dodatkiem jednego lub najwyżej dwu ziemniaków. W dni uroczyste jeńcy otrzymywali kaszę jaglaną. Głodowe porcje i wyjałowiony prowiant był przyczyną poważnych chorób w których wyniku zmarli komandor dypl. S. Frankowski i por. Roman Olgierd.

Zmorą życia obozowego były liczne apele połączone z liczeniem jeńców i odczytywaniem długich komunikatów o zwycięstwach hitlerowskich na froncie. Organizowano je 3, a nawet 5 razy dziennie. Nocą patrole niemieckie z oficerem dyżurnym wpadały z hasłem do sypialń i sprawdzały tożsamość każdego jeńca w łóżku. Zdzierano przy tej okazji koc ze śpiącego i świecono w twarz latarką, a przy najmniejszym „podejrzanym" szmerze w sypialniach brutalnie ściągano śpiących z łóżek i ustawiano szeregiem pod ścianą. Rozkład dzienny obozu sreberngórskiego przewidywał dwa razy na dobę obowiązkowe spanie. Perfidia torturowania jeńców przez komendę obozu w okresie, kiedy Niemcy usiłowali udawać, że przestrzegają Konwencji Genewskiej, osiągała szczyty bezczelności.

Pobyt w twierdzy a szczególnie w fortach Ostróg i Rogowym, stanowił poważną groźbę dla zdrowia ludzkiego[1]. Ponad 150 lat nie konserwowany system odwadniający (z wyjątkiem fragmentów Donjonu i Ostrogu) został uszkodzony. Woda przedostawała się przez 2—3-metrowej grubości warstwę ziemi na sklepienia kazamat i ściekała strużkami po ścianach na kamienno-ceglaną posadzkę cel, w których siedzieli Polacy. Jak wspomina J. Gerstel i jego koledzy, po kilku tygodniach zaczęli odczuwać bóle w barku, kolanach i rękach. Pościel była wilgotna nawet w dni upalne. Jedyne zdrowe miejsce to skrawek dziedzińca ogrodzonego kolczastym drutem. W tych warunkach każda godzina przesiedziana lub przespana w celi fortu nieuchronnie oznaczała reumatyzm.

Od 15 grudnia 1939 do 1 września 1941, kiedy to obóz polski przestał istnieć w rzeczywistości i formalnie, funkcję komendanta pełniło kolejno czterech oficerów Wehrmachtu. Pierwszym komendantem był starszy wiekiem oficer w stopniu pułkownika. Władze sprawował kilka dni. Był surowy, ale i troskliwy dla jeńców. Odrębnione stanowisko zajął jego były zastępca mjr hrabia v. Zerboni, pogardliwie nazywany przez Polaków „Kuternogą" lub „Greuelitatą". „Kuternogą", ponieważ jedna noga miał sztuczną i chodził o lasce. Drugie przezwisko miało głębsze uzasadnienie. Mjr Zerboni, o cechach pruskiego, bezmyślnego oficera, wciąż płódł smalone duby o rzekomych „zbrodniach polskich" w Bydgoszczy. Propaganda goebbelsowska sfabrykowała w owym czasie książkę na ten temat. „Kuternoga" przywiózł jeden jej egzemplarz i polecił wyłożyć w eksponowanym miejscu jadalni w forcie Spitzberg. Na apelu usiłował przekonać wszystkich, że to właśnie Polacy byli sprawcami ogromnych bestialstw („Greueltaten") w Bydgoszczy. Wyznaczony przez gen. T. Piskora oficer łącznikowy do kontaktów z komendą obozu wystąpił na apelu oświadczając, że informacje niemieckie o tym, co działo się w Bydgoszczy, są nieprawdziwe, a ich przebieg był dokładnie odwrotny. Zalecanej przez Zerboniego do przeczytania książki nikt nie ruszył. Po kilku dniach gruba warstwa kurzu pokryła okładkę ku dużej złości komendanta.

Ulubionym zajęciem komendanta były prowadzone poledyńższo z oficerami polskimi rozmowy, w czasie których informował ich, za co i dlaczego są osadzeni w fortach. „Z obozu tego – mawiał – jest jedna droga wyjścia: pod mur" Przy innej okazji wskazywał Polskom dwie drogi wyjścia z fortu i pokazywał niebo lub ziemię. Zerboniego cechowała złośliwość arogancja, chamstwo i nienawiść do wszystkiego, co polskie. Oficerom, których przeniósł na fort Hohenstein, bez ogródek oświadczył: „Tu zginiesie".

Drugą postacią po komendancie był oficer Abwehry. Przesłuchiwał on kolejno wszystkich oficerów, zbierając informacje o ich kolegach, rodzinach, kontaktach i stosunku do Niemców. Przesłuchania prowadził w sposób obelżywy. Wybitna wrogością wobec jeńców wyróżnił się: oberleutnant (lub hauptman) Trzeciak (renegat ze Śląska) i szpieg-zdrajca leutnant Kinst (lub Klinz). Trzeciak był oficerem odbierającym raporty na apelach, mówił dobrze po polsku, z czym usiłował się kryć. Kinst był cenzorem umiejącym wyczytywać z tekstu listów różne zakamuflowane lub zaszyfrowane informacje. Często przyjeżdżał do oflagu. Pochodził z mniejszości niemieckiej z okolic Bydgoszczy i prawdopodobnie służył w wojsku polskim w stopniu oficera rezerwy; mówił doskonale po polsku. Kinst początkowo był obłudnie uprzejmy. Gdy zorientował się, że oficerowie przejrzeli go i kpią sobie z niego, zmienił zachowanie i zaczął ich szykanować. Podczas jednej z takich scen ppor. Lewszecki ostro zareagował oświadczając Niemcowi, że jest zdrajcą, tak dalece podłym, że nawet munduru oficera Wehrmachtu nie powinien nosić. Kinst wyjął pistolet grożąc Polakowi zastrzeleniem, wówczas oficer polski oświadczył, że we wrześniu Niemcy napadli na nasz kraj z bronią o większym kalibrze i nikt nadto się nie bał, tym bardziej też pistoletem nikogo nie wystraszy.

Podobną kanalią w składzie niemieckiej załogi okazał się drugi cenzor, zniemczony Polak ze Śląska o nazwisku Mychalowski. Leutnant Kunze, mówiący śląską gwarą, często odwiedzał polskich oficerów i zamęczał ich opowiadaniami na temat, co też Niemcy zrobią z Polakami po zwycięskiej wojnie. Oficerowie niemieccy często mówili Polakom: „Wy nie wrócicie do Polski. Wojna już niedługo się skończy... a wtedy führer każe was wszystkich rozstrzelać"[4]. Mimo tych szykan atmosfera wśród jeńców była dobra, stanowili oni jeden zwarty organizm.

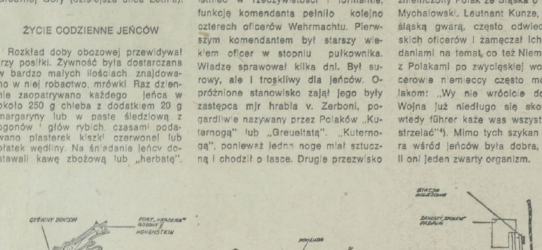

PLAN ROZMIESZCZENIA OFLAGU VIII „B" - SZLEBERBERG

Skład osobowy jeńców był zróżnicowany. Znalazła się tu grupa wyższych oficerów sztabowych posądzanych słusznie i niesłusznie o uprawianie działalności patriotycznej i organizowanie ruchu oporu w innych obozach. Drugą grupą stanowili oficerowie rezerwy ze środowisk inteligenckich. Mniej liczną grupą byli jeńcy podejrzani o działalność dywersyjną. Groziły im przesłuchania, tortury i więzienie. Znajdowała się tu nieliczna grupa oficerów polskiego wywiadu. Odsiadywali w fortach karę i ci, którzy bez ogródek playwali do rodzin listy w tonie antyniemieckim.

Z posiadanych relacji dowiedzieliśmy się wiele o postawach niektórych oficerów września. Oto kilka przykładów: generała dywizji T. Piskora przywieziono z obozu Murnau głównie za to, że 11 listopada 1939 roku wygłosił do oficerów przemówienie patriotyczne, w którym stwierdził, że walka z napastnikiem trwa, a sprawa polska nie jest przegrana, po czym wzniósł okrzyk na cześć kraju i prezydenta. Kapitana A. Grzybowskiego osadzono za wystąpienie przeciw tzw. „sądom honorowym", które były niczym innym, jak tylko szykanowaniem jeńców przez usłużnych komendantów grup jenieckich. Ponadto był on członkiem konspiracyjnej grupy samoobrony i organizacji ucieczek. Kontradmirała J. Unruga, byłego dowódcę obrony Wybrzeża z 1939 roku, osadzono w forcie za odmowę przyjęcia lepszych warunków egzystencji, jakie chciano mu zapewnić. Wśród oficerów i żołnierzy w forcie mówiono, że kontradmirałowi Unrugowi proponowano odpowiedzialne stanowisko w armii niemieckiej. Najwidoczniej Niemcy liczyli na wzięcie wynikające z faktu, iż J. Unrug był pochodzenia niemieckiego oraz że przed rokiem 1919 służył w cesarskiej flocie. W późniejszym czasie jeden z oficerów niemieckich miał powiedzieć do Unruga: „Na złego pan konia postawił w tej grze". Kontradmirał replikował: „Gra dopiero się zaczęła". W forcie Hohenstein (Rogowy) przebywał oficer polski Marian Wenc, brat jego był oficerem niemieckim. On to właśnie przyjechał do fortu i proponował jeńcowi przyjęcie służby w armii niemieckiej w stopniu oficerskim. Marian Wenc odmówił bratu widzeń w tej sprawie oświadczając, że był i pozostanie Polakiem, nawet gdyby to miał przypłacić życiem.

[1] Raporty Oberkomando der Wehrmacht dla Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Fotokopia z tej statystyki znajduje się w Muzeum Martyrologii Jeńców Wojennych w Łambinowicach — Opole, sygn. 6, 1941 rok.

[2] S. Żyłak, Relacja nr 6

[3] O szkodliwości dla zdrowia żołnierzy pruskich przebywających w pomieszczeniach twierdzy pisze w swojej książce W. Bleyl: Silberberg und die Schlesische Festung Breslau. 1939, s. 125.

[4] J. Glenza, Wrześniowcy, 1957, s. 176.

Pewnego wieczoru lampy oświetliły fort Donjon. Małe okienka zaczęły mrugać światłem. Do fortu wprowadzono oficerów i żołnierzy.

W wyjaśniłem, że takich negocjacji nie można by prowadzić oficjalnymi kanałami dyplomacji konwencjonalnej, ale winno się je prowadzić za pośrednictwem politycznych wydziałów służb wywiadowczych. W wypadku bowiem, gdyby cała rzecz spaliła na panewce, osoby zaangażowane w prowadzenie negocjacji mogłyby zostać oficjalnie zdezawuowane i zdyskredytowane. Z drugiej strony byłoby rzeczą zasadniczą, aby druga strona wiedziała, że osoba prowadząca pertraktacje dysponuje rzeczywistymi pełnomocnictwami. Gdyby Himmler wyznaczył taką osobę, a jednocześnie obiecał mi, że pozbędzie się Ribbentropa do grudnia 1942 r., postarałbym się nawiązać kontakty z przedstawicielami mocarstw zachodnich. Usunięcie Ribbentropa byłoby dowodem, że w polityce zagranicznej zaczynają wiać nowe wiatry i że nasz plan ma potężnych protektorów.

„A więc — rzekłem — z posiadanych przeze mnie informacji wynika, że Anglicy naległaby na wycofanie naszych wojsk przynajmniej z północnej Francji. Nigdy by nie tolerowali obecności niemieckich baterii nadmorskich w okolicach Calais".

„Tak więc proponujecie mi pan w sojusz z naszymi braćmi rasowymi?"

„W najbliższej przyszłości nie — odparłem. — Droga od stanu wojny do przymierza poprzez wynegocjowany pokój jest bardzo długa".

Himmler skinął głową. „No a co będzie z tak germańskimi obszarami, jak Holandia i Belgia?"

„Powinny się one stać przedmiotem negocjacji — odparłem. — Wydaje mi się jednak, że obszarom tym należałoby przywrócić ich uprzedni status. Gdyby jednak chciał pan uratować coś w ramach państwa politycznej rasowej, to tych, którzy by się poczuwali do więzi rasowej z nami, można by przesiedlić do Niemiec".

Himmler nerwowo kreślił zielonym ołówkiem po mapie i oznaczył już w ten sposób Holandię, część Belgii i północnej Francji jako obszary przetargowe. „No, a samia Francja?"

„Reichsführerze — odparłem. — Myślę o rozwiązaniu, którego celem byłaby gospodarcza integracja interesów Niemiec i Francji. Należałoby przywrócić Francji jej własne polityczne oblicze, ale Niemcy i Francję muszą łączyć wzajemne więzy. Francja z jej kolonialnymi posiadłościami mogłaby przynieść Rzeszy ogromne korzyści. Dlatego nie można zwężać pola działania jakimiś doktrynerskimi koncepcjami albo polityczną niechęcią do partnera. Niech pan na przykład weźmie Alzację. Wie pan, że sam pochodzę z Saarbruecken i wiem z własnego doświadczenia, jak fatalne w skutkach dla Francji było wchłonięcie Zagłębia Saary po traktacie wersalskim".

Walter Schellenberg — Pamiętniki (34)

KTO WIERZYŁ W „SOJUSZ Z BRAĆMI RASOWYMI"

Himmler uniósł głowę i rzekł z niechęcią: „Ale przecież w Alzacji jest wiele krwi niemieckiej, która ledwo została tknięta kulturą francuską". Zaproponowałem, aby tę sprawę pozostawić otwartą jako jeden z tematów negocjacji, gdyby jednak Alzacja miała powrócić do Francji, należałoby zawrzeć współpracę gospodarczą między oboma państwami.

Niechętnie Himmler zakreślił zielone koło wokół Francji. Następnie spojrzał na mnie pytająco: „Czy sądzi pan, że takie rozwiązanie gadowoiłoby Anglików?" Odparłem, że nie jestem w stanie przewidzieć stanowiska rządu angielskiego, ale wydaje mi się, że uznaliby oni takie rozwiązanie za godne rozważenia. Anglików interesowałaby głównie forma, jaką miałaby przyjąć nowa Europa.

W tym momencie Himmler przerwał mi znowu. „A więc zostawmy na razie ten problem na boku" — rzekł. Następnie wzrok jego spoczął na Szwajcarii. Dotknął jej zielonym ołówkiem. „Niech pan zostawi Szwajcarię — rzekłem szybko. — Jej konstytucja może stanowić dobry model dla nowej Europy. Szwajcaria będzie nam potrzebna jako pomost do Europy Zachodniej, a także jako bank rozrachunkowy".

Z kolei Himmler zwrócił się ku Włochom. Patrzył przez dłuższą chwilę przed siebie, a następnie rzekł: „Tak, tak, Mussolini... Nie możemy zrezygnować z obszaru przemysłowego północnych Włoch".

„No a co z Czechosłowacją?"

„Terytoria sudeckie pozostaną przy Rzeszy, politycznie i administracyjnie. Czechy i Słowacja będą miały autonomiczne rządy, ale gospodarczo zostaną zintegrowane z Rzeszą Niemiecką. Wydaje mi się, że to samo będzie z Europą południowo-wschodnią — Chorwacją, Serbią, Bułgarią, Grecją i Rumunii".

Z początku Himmler się temu sprzeciwiał, ale po krótkiej dyskusji przyznał, że terytoriów tych nie dałoby się inaczej włączyć do organizmu nowej Europy. Kiedy wyjaśniłem swój punkt widzenia, Himmler przerwał mi znowu mówiąc: „Na dłuższą metę przekszta!ci się to znowu w wyścig gospodarczy z Wielką Brytanią i znów powrócą dawne napięcia".

„Reichsfuehrerze — rzekłem. — Nie myślmy teraz o napięciach, jakie się może i wytworzą w przyszłości. Zastanówmy się przede wszystkim nad tym jak usunąć obecne napięcia, jakie nam przeszkadzają w utworzeniu nowej Europy. To zaś oznacza, że musimy znaleźć jakąś podstawę do kompromisowego rozwiązania, aby zakończyć tę wojnę".

Himmler przeskoczył znów na mapie do Polski i pojedzdział: „Ale Polacy będą musieli dla nas pracować?" Odparłem: „Musimy stworzyć taką sytuację, aby wszyscy współpracowali z nami z własnej woli. Wszyscy musimy znaleźć się w tej samej łodzi, a każdy, kto nie zechce wiosłować, utonie".

Następnie Himmler przeszedł do państw bałtyckich: „Tutaj należy stworzyć możliwości ekspansji dla Finlandii. Finowie to inteligentny naród i ten północny zakątek Europy nie powinien nam stwarzać żadnych kłopotów". Spojrzał znów na mnie: „No a co z Rosją?"

„Musimy poczekać, co będzie dalej" — odparłem.

Zapadła znów cisza. Wreszcie Himmler rzekł: „Jeżeli pana zrozumiałem właściwie, podstawą do kompromisowego pokoju w myśl pana koncepcji jest zachowanie poszerzonej nieco Rzeszy Niemieckiej, mniej więcej w granicach z 1 września 1939 r." „Najogólniej mówiąc, tak" — odparłem. „A czy będziemy się w negocjacjach posługiwać naszymi dotychczasowymi zdobyczami terytorialnymi?" — zapytał. Odparłem twierdząco.

Następnie kontynuowałem swoje wywody mówiąc, że rdzeń tak zrekonstruowanej Europy — Rzesza Niemiecka będzie mogła wtedy przystąpić do rozwiązania swoich własnych problemów społecznych z nową siłą. Prywatną inicjatywę należałoby powiązać z jakimś ukierunkowaniem i planowaniem państwowym. „Jestem przekonany, że aby stworzyć nową Europę, trzeba będzie powściągnąć tendencje nacjonalistyczne. Te kwestie będą jeszcze wymagały rozpatrzenia przez ekspertów. Obecnie, reichsfuehrerze, najważniejsze jest to, by szukać kompromisu wtedy, kiedy znajdujemy się u szczytu potęgi. Ten kompromisowy pokój, jeżeli uda się go nieco doprowadzić, stworzy nam właściwą podstawę, na której będziemy mogli stawić czoła Wschodowi. Już w tej chwili prowadzimy wojnę na dwa fronty, a kiedy Stany Zjednoczone rzucą na wagę swój ciężar, szala może się przechylić na naszą niekorzyść". Przypomniałem, co powiedział Hitlerowi Laval: „Jeżeli Rosjanie kierują, prowadzi pan wielką wojnę, aby zbudować nową Europę. W rzeczywistości jednak trzeba najpierw zbudować tę nową Europę, aby wojnę dalej prowadzić".

Himmler zmusił się do uśmiechu. „Tak, tak — powiedział — ten Laval to sprytny cóś. Jakkolwiek by jego nazwisko odczytywać, zawsze brzmi tak samo: Laval".

Tymczasem zrobiła się już trzecia nad ranem. Himmler zauważył moje zmęczenie i zakończył rozmowę słowami: „A więc dobrze. Jestem niezwykle zadowolony z tej wyczerpującej wymiany poglądów z panem. Pańskie plany mają moje całkowite poparcie. Z jednym wszakże zastrzeżeniem: jeżeli popełni pan błąd w przygotowaniach, pozbędę się pana natychmiast. Oczywiście pozostaje jeszcze problem, czy do Bożego Narodzenia uda mi się przekonać Hitlera"[1].

[1] Ostatecznie skłonić Heinricha Himmlera do bardziej zdecydowanych kroków w kierunku podjęcia rokowań z aliantami udało się Schellenbergowi dopiero w kwietniu 1945 r., a więc w momencie ostatecznego załamania się III Rzeszy. Zresztą szef wywiadu RSHA, dysponujący szerokimi źródłami informacji zarówno w krajach neutralnych, jak i w obozie przeciwnika powinien był dobrze zdawać sobie sprawę z tego, że jego szef jest ostatnim człowiekiem, z którym by ktokolwiek i kiedykolwiek (a więc nie tylko w 1945 r.) chciał rokować w kwestii pokoju.

REJS ZAKOŃCZONY W MUZEUM

Wiesław Fuglewicz

NA SZEROKIM dziedzińcu chicagowskiego Muzeum Wiedz i Techniki na wysokich betonowych podporach spoczywa eksponat niezwykły: hitlerowski okręt podwodny U-505 wzięty przed trzydziestu laty do niewoli przez zespół amerykańskich okrętów wojennych komandora Gallery'ego.

*

Pięć okrętów komandora Davida Gallery'ego już od dłuższego czasu patrolowało wody w okolicach Wybrzeża Kości Słoniowej zaciekle poszukując niemieckiego U-boota, który pod koniec maja 1944 roku posiał na dno amerykański lotniskowiec „Block Island". Aż wreszcie rankiem 4 czerwca torpedowe avengery z flagowego okrętu zespołu, lotniskowca Guadalcanal, wykryły idący tuż pod powierzchnią U-boot i obsypały go bombami. Eksplozje wyrzuciły hitlerowskiego pirata na powierzchnie i wówczas okazało się, że nie jest to sprawca zatopienia „Block Island", lecz jego współtowarzysz z „wilczego stada" od dłuższego czasu penetrującego wybrzeża afrykańskie: U-505.

Niemiec umykał ścigającym go amerykańskim niszczycielom ile sił w turbinach, próbował ponownie pójść w zanurzenie, ale kolejne serie bomb głębinowych zmusiły go do wyjścia na powierzchnię i oczom amerykańskich marynarzy ukazał się szarostalowy kadłub klosku z wielką białą liczbą „505" na burcie i maleńką tuż pod łączami relingów wymalowaną muszelką...

Cała czwórka niszczycieli rozpoczęła gwałtowny ogień z wielokalibrowych działek i kaemów, z pokładu U-boota prysknął w wodę obrośnięci mairoei i parę chwil później pokład niemieckiego okrętu podwodnego był pusty. Z „Pillsbury'ego" opuszczono kuter z kilkunastoma marynarzami, którzy po paru minutach wspięli się na wrzecionowaty kadłub U-boota i natychmiast zniknęli w jego pomieszczeniach, zrywając lonty materiałów detonacyjnych i likwidując przecieki. Jednocześnie część załogi przyczyń podała cumy „Pillsbury'emu" i na współ zanurzony okręt powoli ruszył śladem swego holownika biorąc kurs na Bermudy.

Ale rejs z korsarzem podwodnym na końcu cumy nie obył się bez kłopotów. U-505 powoli, lecz wyraźnie tonął i komandor Gallery zaczynał mieć poważne wątpliwości, czy jego zdobycz zdoła dojść do bermudzkiego portu. Tymczasem zabezpieczono szyfry i maszynki kodowe, które dla dowództwa US Navy miały wartość bezcenną, pozwalająca na wcześniejsze podjęcie akcji zapobiegawczych.

I być może, że lup komandora spoczęłyby na dnie Atlantyku, gdyby nie rozmowa niemieckiego marynarza Ewalda Felixa rozpoczęta z jednym z członków załogi lotniskowca „Guadalcanal" po... polsku.

Maschingefreiter Felix natychmiast potem został odłączony od reszty Jeńców, którym następnego dnia przekazano wiadomość, że ich kamrat zmarł na skutek perforacji żołądka...

U-505 odzyskał tegoż dnia pływalność, ba, nawet udało się uruchomić maszyny. Śląskiego górnika Ewalda Felixa widziano potem w Chicago podczas zwiedzania Muzeum Techniki, a w kilkanaście lat po wojnie spotkał go tam jeden z byłych marynarzy U-boota 505.

Od pięćdziesiątego roku hitlerowski korsarz podwodny jest jednym z najciekawszych eksponatów chicagowskiego muzeum i po dziś dzień stanowi nie lada atrakcję dla zwiedzających.

OGNIOWA PRÓBA WODY

Kpt. Andrzej Wajda

NO, TEGOŚMY nie oczekiwali — prychnął przez wydęte policzki, nadmuchujący gumowe powłoki desantowej łódki, podchorąży Bejnaramstas.

— Cóż, lotnictwo groźna broń — skwitował uwagę kolegi kończący obok przy pomocy pompki tę samą czynność, podchorąży Brzozowski.

Rzeczywiście. Jeszcze kilkanaście minut temu nie spodziewali się tego ślimaczyny. Wiedzieli oczywiście, że będą forsować jedną z wąskich odnóg jeziora. Wszak temat dzisiejszych zajęć przewidywał „natarcie plutonu z forsowaniem przegrody wodnej". Sa, oni sami jako oczy i uszy czyli szperacze Bojowego Patrolu Rozpoznawczego brali czynny udział w ustalaniu miejsca przeprawy. Ale sądzili, że zanim jeziora nogą, ukryci w pancernym wnętrzu swojej arki — transportera typu „Skor". W tego stalowym pudle spędzili już dzisiaj z małymi przerwami dobrych kilka godzin. Co, zważywszy na zdzisyą pogodę, nie było wcale cierpiętnictwem. Monotonny szum silnika usposabiał marzycielsko i sennie. Ostatecznie podczas ćwiczenia grupowego obowiązek stałego zachowania czujności spoczywa na aktualnie wyznaczonych dowódcach drużyn i dowódcy plutonu. Erupcja myślowej i fizycznej energii resztę ćwiczących następuje dopiero przy przekazaniu do praktycznego działania w sytuacjach taktycznych, które wynikają z poczynań „n-pla" (ściśle respektującego zamiary wykładowcy i podchorążowi tego konspektu).

Do niedawna wszystko przebiegało zgodnie z rozkazem bojowym dowódcy plutonu, plut. pchor. Zbigniewa Nagrabskiego.

Pierwsza drużyna na transporterze jako Bojowy Patrol Rozpoznawczy maszerowała po nakazanej drodze ubezpieczając swoi pluton będący patrolem czołowym kompanijnej szpicy. Słuchacze III roku studiów w Wyższej Szkole Oficerskiej. Wojsk Zmechanizowanych: plut. pchor. Stanisław Bejnaramstas i sierż. pchor. Bogdan Brzozowski wykonywali zadania szperaczy. Od czasu do czasu dowódca drużyny, sierż. pchor. Tomasz Mic elektrywał ich krótkim: „Szperacze naprzód!" Wówczas wyskakiwali z transportera i skrycie, ubezpieczając się wzajemnie, rozpoznawali mijane obiekty terenowe: zagajniki, osiedla oraz pojedyncze zagrody. Wszędzie było cicho i spokojnie.

Atrakcje zaczęły się, gdy otrzymali rozkaz rozpoznania mostu. Mimo że działali bardzo ostrożnie, ukryty po drugiej stronie wody „przeciwnik" przywitał ich silnym ogniem broni maszynowej. Zdoławszy stwierdzić oznaki zasieką strugi deszczu, woda jest zimna, i pod osłoną zaroślii. W eterze zaszemrał szyfrowany meldunek dowódcy patrolu. Wnet dowódcy szpicy była krótka: „Huzar 1, tu Huzar. Rozpoznać dojazd i miejsce forsowania w prawo od mostu".

Po kilku próbach wymacali wreszcie odcinek broniony przez stosunkowo niewielkie siły „nieprzyjaciela" i znaleźli miejsce na łagodnym spadzie brzegu, umożliwiającym podejście transporterów do lustra wody.

Zamaskowani w leśnym gąszczu rozpoczęli przygotowanie do przemiany wozów bojowych w okręty. I właśnie wtedy, gdy już zaczepiali liny ewakuacyjne (użyteczne na wypadek awarii silnika), przyszedł czas na cios programu dnia, czyli na nieoczekiwany koncept wykładowcy. Wszechwiedny ów dyrygent ćwiczebnego pola walki spuścił z jasnego nieba „lotnictwo szturmowe n-pla", które między wieloma innymi „zniszczyło również transporter pierwszej drużyny, ich transporter. Wkrótce „seperzy dostarczyli" sprzęt przeprawowy.

Podział był sprawiedliwy. Dla forsujących w „fali czołowej" przeznaczono dwunastoosobowe łodzie typu DSL. Czteroosobowe pontony rozpoznawcze otrzymała „fala pierwsza". Stanowiący skład „drugiej fali" musieli już zadowolić się własnymi płaszczami przeciwchemicznymi OP-1, które trzeba było przysposobić do przeprawy, zamieniając je w pływaki lub tratewki do transportu ciężkiej broni. Im dwom jednakże przypadły w udziale jednoosobowe nadmuchiwane łódeczki. Takie obie pływające materace. Ściśle! — półpływające, bo mają one tę właściwość, że obciążone zanurzają się środkową częścią dość głęboko. Przy prawdziwie letniej pogodzie taka zabawa w umundurowane delfiny mogłaby nawet dostarczać przyjemności. Ale, gdy z góry sieką strugi deszczu, woda jest zimna, naramsas zadziera głowę. Oceniła odległość do brzegu. Maleje ona bardzo powoli. Za to punkt orientacyjny, który sobie „przed rejsem" wyznaczył szybko przemieszcza się w prawo. Trzeba uważać, bo silny prąd znosi poza przyczółek; prosto w ręce „przeciwnika". Znowu: „Do wioseł! Mocniej! Szybciej!" Teraz jest już cieplej. Tylko ramiona sztywnieją. Lecz za to przesłaniane bryzgami wody upatrzone miejsce na brzegu już rośnie w oczach. Jeszcze ze dwie serii energicznych wymachów i rozkoszujący ponton szoruje o trzciny. Woda to spokojniejsza. Można ocenić sytuację.

Zewsząd rozbrzmiewają nawoływania ledujących ponurzeńców. Obok w szuwarach tapla się kolega Bogdan. Uwilakanmu w trzcinach trzeba podać rękę. Za chwilę wytchnienia płaci się wzmożonym rozkazywaniem rzędów. Biri! Dopiero teraz bardziej mokro niż w wodzie, a buty i mundur pełne zimnego oczwiu.

Ale już d-ca drużyny wskazuje kierunek. „Biegiem naprzód!" Pokracznie ciężki k s w stronę grzechotu wystrzałów i cuchych tapnięć rwących się petard. Po próbie wody czas na ćwiczebną próbę ognia.

O WOJSKU PISZĄ...

ŻOŁNIERZ LUDU

W gazecie Śląskiego Okręgu Wojskowego — oprócz poważnych materiałów publicystycznych i informacyjnych — znajdziesz wiele tekstów literackich. Należą do nich felietony których autorem jest Ray MUND. Z satysfakcją przedrukowujemy felieton z ostatniego tygodnia pt. „Ludzie myślą".

„— W którym pokoju pracuje towarzysz Iks? — pytam służbowego.

— Proszę za mną, pokażę.

Żołnierz puka do drzwi z numerem 23. Cisza. Szarpie za klamkę. Zamknięte.

— Chyba wyszedł — tłumaczy się służbowy.

— Zaczekam na Iksa. Pod drzwiami.

— Proszę bardzo, zezwala służbowy.

Zaczynam wędrówkę po korytarzu. Dziesięć minut wahadłowego marszu dobrze mi zrobiło, jak sądzę. W pewnej chwili słyszę zgrzyt klucza w drzwiach pokoju Iksa. Czy się nie przesłyszałem? Pukam.

— Wejść! — słyszę zza drzwi.

Iks siedzi za biurkiem i wita mnie z uśmiechem.

— Czekałem trochę na towarzysza — mówię.

— Byłem zajęty — tłumaczy się Iks i nagle purpurowy rumieniec zalewa mu lica.

— Pisaliście z pewnością jakieś tajne sprawozdanie — podsuwam mu myśl — bo cóż można innego robić przy zamkniętych drzwiach...

Iks się śmieje.

— Nie żartujcie, prosi, wszystkiemu winno zarządzenie o ograniczeniu palenia tytoniu w pomieszczeniach służbowych. Kiedy chcę zapalić, to zamykam drzwi na klucz, a otwieram okno. I palę. Szkoda czasu na odrywanie się od pracy, nie?

Nie wiem, nigdy nie paliłem".

DROGA WIODŁA PRZEZ LUBLIN

KAPRAL MICHAŁ OKURZAŁY

Piotr Koniewiega

(14)

WZRUSZENI widokiem Wisły, jaki nam się ukazał przed zapadnięciem tej lipcowej nocy, musieliśmy przystąpić natychmiast do okopywania się i organizacji obrony na prawym brzegu. Należało też rozmieścić przydzielone do kompanii cekaemy i rusznice.

— Ten cekaem to ja chcę dać do osłaniania tej łachy — podporucznik Włodzimierz Konodo powiedział do dowódcy kompanii cekaemów, podporucznika Bachora.

— Jak uważasz, to ty już decydujesz. Obsługa karabinu bystra, a celownicy, Wiesiek Sawczuk, potrafi wygarnąć lasmę bez pudła.

— Właśnie... potrzebuję chłopaków z głową, bo widzisz tamten łacheć wydmy jest przysłonięty pobliskimi wikłinami i dobrać się na naszą stronę nie jest trudno. A ogniem maksyma mogą w razie czego sięgnąć i do tamtej wysepki albo wesprzeć sertami naszych, jak zechcą przedostać się na zwiad.

Wszystkie trzy plutony strzeleckie były teraz zajęte kopaniem stanowisk ogniowych i rowów łączących, a ich dowódcy wyznaczaniem dla drużyn zasięgu i linii ognia.

— Co, tak ciężko?... — zapytałem Zientarskiego, kiedy poszedłem sprawdzić, jak chłopcy wykonują swoje zadania. — Wykopałeś tę wnękę nie głębiej, jak po kolano. W twojej drużynie chłopcy już prawie kończą wykonywać pracę.

— Akurat mnie wypadło w takim miejscu, że nie mogę za cholerę wbić łopaty, taka tu ziemia na tym wale. Ale ja też zdążę.

— Nie narzekaj, Zientarski, wszyscy tak się pocą, jak ty, ale jakoś lepiej im idzie i zaczynają już maskować.

— Czy to się opłaci wywalać tyle ziemi, obywatelu porucznicku? — rozprostował się Zientarski. — Przecież my to tak tylko zatrzymaliśmy się na tym brzegu, żeby się przyjrzeć, rozpatrzeć i jazda dalej, za Wisłę. A my się męczymy przy tym kopaniu. Do tego jeszcze te rowy dobiegowe.

— Ty, Zientarski, znajdziesz zawsze coś innego do powiedzenia, chociaż myślisz czasem lepiej od innych. A jaty sobie wyobrażasz, że bez niczego przejdziesz rzekę jak po moście? Pewnie, weźmiesz karabin w garść, plecak na głowę i jakoś tam się przedostaniesz. A jak inni, z ciężką bronią, ze skrzynkami, a działka, konie, jak? Poza tym uważasz, że na tamtym brzegu czekają na nas z kwiatami? Niemcy już się opamiętali po lipniu, jaki dostali na Bugu, i będą chcieli nam przeszkodzić w forsowaniu. Słyszałeś, jak od samego wieczora bębni artyleria gdzieś dalej na północ od nas? To znaczy, że naszym pułkom nie przychodzi tam łatwo sforsować rzekę.

— To ja też tak słucham i słucham, jak tam grzmocą. Biją się już chyba na całego. Tylko u nas na razie cicho. Patrzę na rzekę i nic, jakby Niemcy utonęli w niej. Żeby oni z tamtego brzegu nie dali znać o sobie? Może ich tam nie ma?

— Czy ich tam nie ma, czy są, to okaże się w najbliższych dniach. Jak już toczy się gdzieś niedaleko od nas walka nad Wisłą, to jutro, albo pojutrze i u nas się zakotłuje. Ty tu, Zientarski, też nie zapominaj obserwować, co się dzieje przed tobą.

— Często spoglądam na rzekę. Na pewno oni by się nie odważyli spróbować zrobić wypad na naszą stronę. Noc nie jest przecież znów taka ciemna. Księżyc wprawdzie przyświeca słabo, bo jeszcze nie w pełni, ale widoczność względna.

Tak na razie było na naszym odcinku, ale w tych ostatnich paru dniach lipca 44 roku walka o przyczółki w pasie natarcia 1 armii gwałtownie narastała, można powiedzieć, że niemal z każdą godziną, stawała się wciąż uporczywsza, przybierała większe rozmiary, angażowane były do tego także większe siły. Już w toku operacji zostały sprecyzowane także następne zadania bojowe poszczególnych dywizji. W dniach 27—29 lipca 1, 2 i 3 dywizje piechoty przystąpiły nie tylko do luzowania jednostek radzieckich, ale jednocześnie do zdobycia przyczółków, które następnie miały pozwolić na dalsze działania operacyjne.

Na wyznaczonym dla 1 dywizji piechoty odcinku dwunastokilometrowej szerokości, w pasie między Gołębiem a Racicami, już 28 lipca zwiad dywizyjny po pierwszym rozpoznaniu na zachodnim brzegu Wisły ustalił, że nieprzyjaciel na naszym kierunku utrzymuje na razie obronę siłami wzmocnionych grup ruchomych. Naszemu jednak zwiadowi chodziło o to, żeby przede wszystkim określić dogodniejsze do uchwycenia miejsca po drugiej stronie. Drugiego dnia nasz 3 pułk przystąpił do gromadzenia środków przeprawowych do forsowania. Dowódcy zaś środków wspierających konkretyzowali zadania dla swoich załóg i wydzielonych grup. Pierwsza do przeprawy miała przystąpić kompania szkolna, a za nią miały forsować dwie kompanie strzeleckie pierwszego batalionu.

Podobne zadania otrzymały również pozostałe pułki piechoty naszej 1 dywizji. Najtrudniej jednak w tej pierwszej próbie uchwycenia przyczółku w nocy z 1 na 2 sierpnia 44 r. poszło 2 pułkowi w rejonie mostu kolejowego na wysokości Dęblina. Tam 1 batalion natknął się od razu na zorganizowane już obronę niemiecką i punkty oporu obsadzone przez grenadierów z 46 korpusu wchodzącego w skład 9 armii. Gęstym ogniem broni maszynowej i moździerzy oraz dział przeciwpancernych faszyści zmusili naszą piechotę do odwrotu i mimo ostatniania przez własną artylerię nie można było się utrzymać na chwilowo zdobytym skrawku zachodniego brzegu Wisły.

W jeszcze trudniejszym położeniu znalazł się drugi batalion tego pułku. Już po uczepieniu się na przeciwległym brzegu rzeki po paru godzinach był spychany i nasi żołnierze musieli odpierać nieprzyjacielskie kontrataki w walce wręcz.

W tej niezwykle trudnej sytuacji kościuszkowcy wykazali niemało odwagi. Przydzielony do tego drugiego batalionu radiotelegrafista kapral Michał Okurzały widząc, że jest w okrążeniu, zameldował: „Jestem sam... porucznik Jakubowski zabity... kierujcie na mnie ogień... faszyści blisko... zaraz niszcze radiostację... Bijcie na mnie salwami. Niech żyje Polska..." Tak urwała się łączność radiowa z radiotelegrafistą Michałem Okurzałym. Jego imię i czyn na zawsze zostały wpisane do kroniki bojowej Pierwszej Dywizji. Pamiątką o nim również ci, którzy go znali, pamiętają o skromnym dziewiętnastoletnim chłopcu, bohaterze-kościuszkowcu odznaczonym pośmiertnie Krzyżem Virtuti Militari, o żołnierzu, który pozostał na zawsze na lewym brzegu Wisły, na polskiej ziemi, do której na pewno chciał dojść, o której myślał w sierpniowe wieczory 1943 roku pod rosyjskim niebem nad Oką.

Czołgiści odpoczywają w obozowisku. Stalowe kolosy w parku wozów bojowych. Foto: Jan Akielaszek

PISZĄ UCZESTNICY WALK O WROCŁAW

Otrzymaliśmy znów kilka listów d uczestników walk o Wrocław w 945 r. Pisze płk. Omar Jachjajew:

„Pozdrawiam z okazji 30-lecia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej kolektywu Waszej redakcji, Towarzystwu Miłośników Wrocławia, autorów książki „Bitwa o Wrocław" R. Majewskiego i T. Sozańską, jak też wszystkich mieszkańców Waszego miasta. Życzę wszystkim dobrego zdrowia, szczęścia w życiu i w pracy dla dobra Waszej Ojczyzny i wiecznej przyjaźni między narodami naszych krajów.

Otrzymałem Wasz list i przesyłkę z książkami — nie znajduję słów, aby Wam podziękować za okazaną mi życzliwość. Równie serdeczne podziękowania przesyłam R. Majewskiemu i T. Sozańskiej za ich książkę „Bitwa o Wrocław". Myślę, że warto tę książkę, oczywiście w uzgodnieniu z autorami, przetłumaczyć i wydać tu u nas po rosyjsku. Na przysłanym mi planie miasta znalazłem, wydaje mi się, to miejsce, gdzieśmy się spotkali z niemieckimi pretendentami. To chyba skrzyżowanie ulic Szczęśliwej i T. Zielińskiego; być może jednak, że się pomyliłem o jeden lub dwa kwartały, ale że rzecz odbywała się w kwadracie I-9 — tego jestem pewien.

Z poważaniem — O. Jachjajew
ZSRR — M. Obnińsk
Kałuższkaja Oblast
ul. Mira 10-22".

Autor następnego listu ppłk Michał Świridienko pisze:

„Drodzy Wrocławianie! W dni stulecia 30-lecia ludowej, demokratycznej Polski, z całego serca pozdrawiam mieszkańców miasta, z którym związałem się kriwią w czasie wielkiej bitwy o zjednoczenie Ziem Zachodnich z Wszem Ojczyzną. Cieszę się razem z Wami z osiągnięć kraju w gospodarce, kulturze, w rozwoju Ziem Zachodnich. Myślami jestem z Wami — uczestnik wyzwolenia Wrocławia w 1945 roku, podpułkownik w stanie spoczynku

M. Swiridienko
353241 ZSRR — Krasnodarskij Kraj
pos. Afipskij, ul. Oktiabrskaja 52 kw. 8

P. S. Dziękuję ze opublikowanie mego listu w maju br. Obecnie nawiązują ze mną korespondencję liczni mieszkańcy Wrocławia. Jaka szkoda, że powoli zapominam po polsku — czytanie mi idzie, ale odpisać w Waszym języku już nie potrafię. Nadzwyczaj odczułem mnie w domu wrocławianin, Władysław Kowalski, lotnik. Bardzo mu za to jestem wdzięczny. W dniu spotkania jakbym się przeniósł do Waszego miasta i popacerował po jego ulicach.

Jeszcze raz dziękuję za życzliwość — M. Swiridienko".

Kilka słów do redakcji oraz do p. Teobaldy Zatoplańskiej i p. Czesława Postowieza nadesłał Juri Czerkasow, dziękując przy okazji 15-letniej wrocławianee, imieniem Violetta, która w liście do J. Czerkasowa nie podała, niestety, nazwiska i adresu. W liście do redakcji J. Czerkasow pisze:

„Dziękuję za przysłane materiały o Wrocławiu. Dla mnie, i dla moich dzieci, to drogie pamiątki, jak relikwie, to przedmiot rodzinnej dumy. Moje dzieci, a mam ich troje, studiują na wyższych uczelniach w Leningradzie. Zawodowo i społecznie związany jestem z wychowaniem młodzieży. Oprócz tego stoję na czele drużyny stojącej na straży porządku społecznego, jestem członkiem rady organizacji weteranów wojny. Odznaczony jestem leninowskim medalem „Za ofiarną pracę". Przesyłam Wam moje zdjęcie — tak dzisiaj wyglądam".

Jurij Czerkasow
ZSRR — Uzbekskaja SRR
Taszkientskaja Oblast'
p. Krasnogorskij
ul. Szachtorskaja 19/6

Od J. Czerkasowa otrzymaliśmy również piękne kolorowe karty z pozdrowieniami z okazji 30-lecia dla wszystkich wrocławian, dla redakcji „Wiadomości" oraz dla członków Towarzystwa Miłośników Wrocławia. W swym liście do redakcji p. Teobalda Zatoplańska zawiadamia, że materiały od J. Czerkasowa wykorzysta na zebraniu koła TPPR w swojej uczelni.

(tp-dd)

CZŁOWIEK PODĄŻA ZA SŁOŃCEM

LEW SIDOROWSKI (LENINGRAD)

SPOTKAŁEM go niedługo przed jego śmiercią. Za oknem, pod olśniająco lazurowym niebem, szalały, by, jaśniały brzoskwinie, a on patrzył na to święto wiosny takimi młodymi, przenikliwymi oczyma, że — wydawało się — oczy te radośnie krzyczą: Życie jest piękne! Widziałem mistrza, który — na przekór niemocy — niepohamowanie i w umieszniu pochłaniał to wszystko — i ocean kwiatów, i te góry, i to słońce...

Ma już za sobą ponad dziewięćdziesiąt lat! Ileż on widział! A dla Martirosa Sarjana, sam to mówi, każdy nowy dzień to triumf. Każdego dnia na nowo rodzi się razem ze słońcem i nasycony słońcem — ten człowiek pełen mądrości, ludowy artysta ZSRR, laureat Nagrody Leninowskiej, Bohater Pracy Socjalistycznej.

Po domu krzątała się jego siostra, Katarzyna Siergiejewna, żona pogrążyła się w lekturze książki, po pokojach biegały prawnuki, a my (w tajemnicy przed lekarzami) toczyliśmy rozmowę. Zapytałem Martirosa Siergiejewicza, czy żałował choćby raz w życiu, że został malarzem. Sarjan zdecydowanie zaprzeczył:

Nie, nie, nie... Przez wszystkie swoje dziewięć dziesiątków lat nie miałem takiej chwili. Nie wiem, kiedy urodził się we mnie malarz.

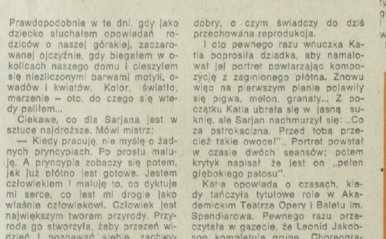

Martiros Sarjan. Fot. L. Sidorowski

Prawdopodobnie w te dni, gdy jako dziecko słuchałem opowiadań rodziców o naszej górskiej, zaczarowanej ojczyźnie, gdy biegałem w okolicach naszego domu i cieszyłem się niezliczonymi barwami motyli, owadów i kwiatów. Kolor, światło, marzenie — oto, do czego się wtedy patrzyłem...

Ciekawe, co dla Sarjana jest w sztuce najdroższe. Mówi mistrz:

— Kiedy pracuję, nie myślę o żadnych pryncypiach. Po prostu maluję. A pryncypia zobaczy się potem, jak już płótno jest gotowe. Jestem człowiekiem i maluję to, co dyktuje mi serce, co jest mi drogie jako właśnie człowiekowi. Człowiek jest największym tworem przyrody. Przyroda go stworzyła, żeby przezeń widzieć i poznawać siebie, zachwycać się swoim cudownym pięknem. Każdy człowiek nosi w sobie cząstkę przyrody, słońca, wszechświata. Jest to jego największe bogactwo. Swoją wiarą, swoją pracą człowiek powinien wyrównać swój dług za dar, który otrzymał od przyrody.

— Są malarze, którzy wyrażają swoje osobiste przeżycia. Są malarze, którzy nie wyobrażają twórczości poza swoim narodem, poza swoją ojczyzną, poza swoim czasem. Należę do tych drugich. Najświętsza dla mnie jest miłość do ziemi ojczystej, miłość do ludu. Miłość tę wyrażam w mojej sztuce, która jest moją duszą. Oto drzwi mego domu — zawsze otwarte. Ja również byłem zawsze otwarty, jak moje obrazy. Innej wiary i innej miłości nigdy nie znałem.

Ciekaw byłem, co by Sarjan doradził młodzieńcowi, który postanowił poświęcić życie sztuce. Sarjan odpowiedział:

— Patrząc na życie, nie wolno patrzeć oczyma martwymi, obojętnymi. Wszyscy ludzie patrzą, ale rzecz główna — to widzieć. Młody malarz powinien dotrzeć do wewnętrznego sensu tego, co ujrzał, i stosownie do tego powinien znaleźć formę artystycznego wyrazu. Porywając się na śmiałe zamiary, trzeba zachować wierność sobie. Jeśli chcesz być malarzem, weź wszystko, co stworzyła ludzkość, przetraw, porównaj z tym, co widzisz sam, i wreszcie wtedy wyraź swoje uczucia.

Zadaję ostatnie pytanie:

— Czy jest obraz najbardziej przez pana ulubiony?

— Jak matka nie może po równemu kochać dzieci, podobnie i ja nie potrafię wyjątkowo wyróżnić jakiejś swojej pracy. Każde płótno to okruch własnego życia. I jeśli życie twoje jest takie jak trzeba, to wszystkie jego okruchy są równie drogie.

*

Kiedy żegnaliśmy się, Sarjan prosił, żebym przekazał pozdrowienia jego wnuczce, która jest baletnicą w Leningradzie. I oto dzwoni do leningradzkiego mieszkania „U Piati Uglow". Drzwi otworzyła młoda kobieta. Od razu ją poznałem — to ta, która patrzyła na mnie w erewańskim muzeum z „Portretu Katarzyny Sarjan".

Obraz ten ma swoją historię. W r. 1927 Sarjan miał swoją wystawę w Paryżu. Po jej zamknięciu obrazy odesłano do Konstantynopola, ale na statku wybuchł pożar — siedemdziesiąt płócien spłonęło. Szczególnie martwił się artysta stratą portretu żony. Portret rzeczywiście był dobry, o czym świadczy do dziś przechowana reprodukcja.

I oto pewnego razu wnuczka Katia poprosiła dziadka, aby namalował jej portret powtarzając kompozycję z zaginionego płótna. Znowu więc na pierwszym planie pojawiły się pigwa, melon, granaty... Z początku Katia ubrała się w jasną suknię, ale Sarjan nachmurzył się: „Co za pstrokacizna. Przed tobą przecież takie owoce!". Portret powstał w czasie dwóch seansów; potem krytyk napisał: że jest on „pełen głębokiego patosu".

Katia opowiada o czasach, kiedy tańczyła tytułowe role w Akademickim Teatrze Opery i Baletu im. Spendiarowa. Pewnego razu przeczytała w gazecie, że Leonid Jakobson kompletuje grupę „Choreograficzne Miniatury" i bez wahania podjęła decyzję. Popołu z mężem Sergiuszem, również tancerzem, przyjechali nad Newę, wyszli zwycięsko z konkursu i po półtorarocznych próbach — pierwszy występ.

Ale rozmowa o baleecie jakoś wygasa, bo i tu gospodarzem domu jest Martiros Sarjan. I nie chodzi to tu o to, że ściany pełne są jego reprodukcji. Dla Kati dziadek jest po prostu — i najwyższym sędzią, i sumieniem, i wszystkim, wszystkim...

Katia wychowywała się w domu, gdzie bywali Isaakjan i Erenburg, Ambarcumjan i Paradżanow. Wychowywać się w takim domu to już szczęście. Jej ojciec syn Martirosa Sarjana, to profesor muzyki, rektor konserwatorium. Brat Ruben jest również muzykiem. A ona sama wybrała swoją drogę w sztuce. Z początku dziadek nie był zachwycony tym wyborem. Gdy przyjechała do domu po pierwszym roku na wakacje każdego ranka odrabiała swoje taneczne ćwiczenia... Zawsze, po drodze do swojej pracowni, wstępował tu dziadek. Bystro się jej przyglądał, czepiał się szczegółów: „Nie osłrzenia nie ma, dziadek jednak zawsze coś znalazł, choćby to był zardzewiały gwóźdź. Potem tłumaczył się po cichu: „Nie można pozwolić, żeby człowiek na próżno tu przychodził". To dzięki dziadkowi w naszym domu były zawsze zwierzęta: pies, lisek, żółw... Żółw przeżył dwadzieścia lat — był ogromnym Słostrzyczką. Ruzan, leżdzila nawet na nim po ogrodzie. Sad zasaczil!

Wynodował dziadek: dereń, winogrona, migdały, brzoskwinie... Uwielbia muzykę Bacha, Rossiniego, Kompozytorów armeńskich. Gdy słucha, nie jest spokojny: podśpiewuje, sam sobie dyryguje. My się śmiejemy, a on wtedy się gniewa, zaczyna wyjaśniać. A myśmy za mało przysłuchiwali się temu, co mówił. Kiedyś odezwał się w te słowa: „Życie jest jak pociąg. Wsiadasz i jedziesz. Po drodze zmieniamy kurszących stacji, gdzie chciałoby się wysiąść i zostać. Ale trzeba mieć tyle siły, żeby się nie skusić i podążać dalej, do swego końcowego przystanku".

*

W domu Sarjana zawsze są goście. W muzeum Sarjana — zawsze tłumy. Potem kolejka — do księgi, gdzie można napisać o swoich wrażeniach.

Pewnien budowniczy napisał: „Mistrzu, dziękuję! Szkoda tylko, że muzeum jest nieco przymałe. Trzeba by wybudować nowe, większe. Jaśli zapadnie taka decyzja, to dałej słowo że będę przy nim pracował codziennie po trzy godziny w czynie społecznym".

Człowiek podąża za słońcem, każdy artysta idzie swoją drogą, ale są drogi widoczne na same szczyty. Oświatla je słońce szlachetnego trudu, człowieczeństwa, dobrego i szczodrego piękna. Taka drogą wybrał Sarjan. Drogę tę przebył do końca.

(opr. WŁ.)

HONOROWY OBYWATEL DREZNA

Zenon Wadecki

PO DRUGIEJ stronie Łaby, daleko od centrum Drezna, na pełnym zieleni przedmieściu Weisser Hirsch, jest niewielka ulicka — Collenbuchstrasse. Dom oznaczony numerem 4 skrył się za drzewami. Na białym płotku, tuż przy furtce, tabliczka: „Museum für Geschichte der Stadt Dresden — Martin Andersen-Nexö-Gedenkstätte". Tak więc stanąłem przed domem, gdzie spędził ostatnie lata twórczego życia pisarz, który swój literacki talent poświęcił urzeczywistnianiu socjalistycznych ideałów. W sposób jednoznaczny zadeklarował się swoim pisarskim debiutem (1898 r.) — zbiorkiem nowel „Skygger" Był on niejako zapowiedzią literackiego kierunku, wyraźnie już skrystalizowanego w wielkiej powieści społecznej,

Z ŁAWKI KIBICA

BANAL I PRAWDA

W numerze 33 „Sportowca" mistrz olimpijski w pchnięciu kulą, Władysław Komar, mówiąc o przeszkodach utrudniających wyszkolenie dobrych kulomiotów wskazał na, zdawać by się mogło, prozaiczną przyczynę pouchy na rasowych miotaczy. Mistrz zapytał dziennikarza: „Czy pan wie, ile dwudziestoletni miotacz musi zjeść dziennie mięsa i ile to kosztuje?"

Jakże często nie możemy znaleźć odpowiedzi na trapiące nas wątpliwości, ponieważ klucza do zrozumienia szukamy w zbyt zawiłych i odległych sprawach, gdy tymczasem prawda leży tuż tuż.

Lekkoatletyka, ta silna za czasów Mulaka i jego uczniów „broń" polskiego sportu, pośledniej przedywała (długie lata) głębokiej kryzys, i bądźmy szczerzy, chociaż pojedyńcza gwiazda królowej sportu co jakiś czas zadziwi świat, to jednak poprawa wciąż nie zaspokaja naszych ambicji. Chcemy mieć w drużynie więcej gwiazd takich jak: Szewińska i Malinowski.

NIE DYSKRECJE

Dość dawno ludzie zajmujący się lekką atletyką doszli do wniosku, iż era Mulaka jest u nas piękną przeszłością, której nie sposób powielić. Teraz już nikt nie próbuje tworzyć nielicznej „stajni" wybitnych wyczynowców, przystość la. W naszym kraju postanowiono oprzeć na solidnych podstawach, na szerokim zapleczu, na które składa się codzienna praca dużych i małych klubów.

A w małych klubach są nie tylko problemy z dietą mięsną dla miotaczy... Bardzo często zawodnicy nie mają gdzie ćwiczyć. I nie chcę bynajmniej mówić o warunkach szkoleniowych na wielkich obiektach jak „Iskry" czy zgorzelickiej „Osy", lecz o niedostatkach „bazowych" w tak trudyejnie silnym ośrodku sportowym do jakich od prawie trzydziestu lat należy Wrocław. A skoczkowie w dal aż dwadzieścia lat nie mieli tutaj gdzie trenować w okresie zimy. Dopiero ostatniej zimy „Burza" urządziła w hali przy ulicy Ościańskiej „sztuczną".

Aż trudno pojąć, skąd we Wrocławiu wziął się taki talent jak Jerzy Miedziałek...

KRYSTIAN CZECH

DWÓCH BOBICKÓW

Duane Bobick, niespełniona nadzieja amerykańskiego boksu, który na igrzyska do Monachium przybył w roli faworyta a przegrał wyraźnie z Kubańczykiem Stevensonem, po przejściu na zawodowstwo odniósł już prawie dwadzieścia kolejnych zwycięstw. Wygrywa jednak z pięściarzami mało znanymi.

Dużne ma brata Rodneya, który również jest profesjonalem, występuje w wagach półciężkiej i ciężkiej. Rodzina Bobicków jest polskiego pochodzenia.

RODZINA W PLENERZE

ZG Towarzystwa Krzewienia Kultury Fizycznej i Turystyki oraz redakcja „Przyjaciółki" ogłosiły konkurs pod hasłem: Rodzina w plenerze. Założeniem konkursu jest dalsze upowszechnianie czynnego wypoczynku oraz podnoszenie sprawności fizycznej społeczeństwa. Karty konkursowe z zestawem prób sprawności fizycznej znajdują się we wszystkich ośrodkach wypoczynku Dolnego Śląska. Dla tych, którym się powiedzie w konkursie, organizatorzy przewidzieli nagrody w postaci turystycznego sprzętu.

TURNIEJ TENISOWY W JELENIEJ GÓRZE

Od 16 do 22 września br. w Jeleniej Górze odbędzie się XI Międzynarodowy Turniej Tenisowy z okazji tradycyjnego „Września Jeleniogórskiego". Organizatorem jak zwykle jest Nauczycielski Klub Sportowy „Spartakus". Zgłoszenie do 3 września br. należy nadsyłać na adres tegoż klubu: Jelenia Góra, ul. 22 Lipca nr 9, kod: 58-500.

PROWOKACJE

Chcesz trenować? Płać?

KAŻDE województwo ma swoje aspiracje sportowe. Województwo wrocławskie nie chce być gorszym od innych regionów i dlatego dąży do rozwoju wielkiego wyczynu. Ale w tej dziedzinie sukcesy nie przychodzą zbyt łatwo. Na Dolnym Śląsku potęgami w sporcie kwalitywnym są Wrocław i Walbrzych, inne miasta łącznie z szybko rozbudowującym się Lubinem nie mają za wielu przedstawicieli w ekstraklasie. Zabkowice Śląskie dawno już wyzbyły się kompleksu pierwszej ligi, a to za sprawą Klubu Kręglarzy Rzut.

Wprawdzie kręglarze w naszym kraju oficjalnie nie mają pierwszej ligi, to jednak praktycznie ekstraklasa istnieje, tyle że w innej formie. Funkcję pierwszej ligi państwowej spełniają turnieje o indywidualne i drużynowe mistrzostwo kraju. W tej rywalizacji kręglarze z Ząbkowic Śląskich od lat bardzo się liczą. Przykładowo w br. uczeń szkoły zawodowej Kazimierz Kulbacki zdobył w Krakowie indywidualne mistrzostwo Polski. Podsada on również tytuł wicemistrza kraju w kategorii seniorów. Zawodnicy Rzutu mają też wiele do powiedzenia w konkurencji zespołowej. Grażyna Kocan i Antoni Bąk na turnieju par mieszanych w Poznaniu zdobyli złote medal i puchar Polskiego Związku Kręglarskiego.

Korzystnie wypadają ząbkowiczanie w konfrontacji z zagranicznymi kolegami. Niejednokrotnie spotykali się z kręglarzami Czechosłowacji i NRD, gdzie ta dyscyplina stoi na wysokim poziomie, a jednak nie zawsze przegrywali.. Przeciwnie, odnosili nawet zwycięstwa.

Latwo sobie wyobrazić, ile byłoby szumu wokół miejscowych piłkarzy, gdyby analogicznie reprezentowali tak wysoką klasę, jak „rzutowcy". Tylko, że kręglarzy nikt nie rozpieszcza. Niewiele też o nich się mówi i pisze. Żyją sobie i ćwiczą niejako na marginesie wielkich wydarzeń sportowych. Na co dzień zawodnicki i zawodnicy Rzutu pracują i uczą się, a są jedynie urlopowani na zawody. Nie korzystają z dodatku kadrowego ani z pomocy materialnej klubu.

Prezes Rzutu pan Józef Glabiszewski ze szczerością wyznaje: — Może nawet byśmy pomagali zawodnikom, ale przecież klubowi nie starczą środków na własne potrzeby. Najpilniejszą sprawą jest nowa kręglarnia. Jeszcze do początków lat siedemdziesiątych nasza kręglarnia była uważana za najlepszą w kraju, dziś lepiej nie mówić. Inni nas w doposażaniu i modernizacji obiektów prześcignęli.

Nie są to marzenia wygórowane. Nowoczesne kręglarnie dysponują zautomatyzowanymi ustawiaczami kręgli, natomiast w Ząbkowicach, jak za przysłowiowego króla. Owieczka, trenujący zawodnik musi wynajmować osobę do ustawiania kręgli, za usługi te trzeba płacić, płacą zawodnicy.

Dotychczy zawodnik Rzutu Mieczysław Trojak zwierzył się, iż on i jego koledzy codziennie składają się na ustawiacza, każdy płaci po 10 zł.

Ale liczbie mówią, że z uprawiania sportu wynosi się korzyści...

JĘDRZEJ OPOLCZYK

Wyścig Przyjaźni

Jak nas poinformował prezes sekcji kolarstwa WFS red. Tadeusz Doliński, w dniach od 30 sierpnia do 3 września br. odbędzie się III Międzynarodowy Wyścig Przyjaźni Wrocław — Hradec Kralove. Kolarze będą mieli do pokonania pięć etapów.

I etap: Wrocław — Jelenia Góra.

II etap: trasa wiedzie wokół Jeleniej Góry.

III etap: Kowary — Nowa Ruda — Kudowa — Hradec Kralove.

IV etap: trasa wokół Hradec Kralove.

V etap: jazda indywidualna czasu.

1 września w rocznicę wybuchu II wojny światowej delegacja kolarzy złoży kwiaty pod pomnikiem w Jeleniej Górze. Ponadto na przejściu granicznym w Słonem zostanie odsłonięta płyta pamiątkowa symbolizująca przyjaźń polsko-czechosłowacką.

Do udziału w wyścigu zgłosiło się 30 kolarzy z Polski, Czechosłowacji, Moskwy, Budapesztu, Bukaresztu, drużyna Północnej Grupy Wojsk Radzieckich, z Kopenhagi i być może z Turcji. Z naszych reprezentantów prawdopodobnie zobaczymy: Szurkowskiego, Brzeźnego, Lisa, Hausnika, Kreczyńskiego i Krzesznova.

Pracami komitetu organizacyjnego kierują znani działacze kultury fizycznej: Andrzej Stachowski i Roman Grzeszek.

Z okazji wyścigu wydano barwny plakat, folder i znaczki pamiątkowe.

Pocztówka z Bułgarii

TEGOROCZNE chłody w północnej i środkowej Europie przygnały rekordową chyba ilość turystów na wybrzeże Morza Czarnego. Wieszające kempingów, zwłaszcza w okolicach Warny jest przepełniona. Kemping w Złotych Piaskach „Panorama" już w połowie lipca nie dysponował żadną wolną powierzchnią. Ciasno było na Gałacie i na środkowym wybrzeżu. Nieco luźniej w kempingach niższej kategorii oraz na południowym wybrzeżu.

Od Warnie aż po Achtopol we wszystkich ośrodkach wypoczynkowych rozbrzmiewa polska mowa. Według relacji gospodarzy, Polacy stanowią około 30 proc. mieszkańców kempingów i prawie trzecią część mieszkańców wypoczynkowych oraz na kwaterach prywatnych.

Jako stary kempingowicz z satysfakcją stwierdzam coraz lepszą prezencję naszego sprzętu turystycznego. Polacy nie należą już do tych najbiedniejszych opatrzonych. Obserwuje się z każdym rokiem większy turystyczny „dostatek". Wzbywamy się kompleksów w stosunku do turystów zachodnich. Polskie namioty, fotele „ogólny" i do gotowania, kempingowe meble, a ostatnio również turystyczne przyczepy są funkcjonalne i estetyczne. Ich produkcja na ogół nadąża za światowymi tendencjami w tej dziedzinie.

Z radowiem można też powiedzieć, że nasi turyści należą do kulturalnych i zdyscyplinowanych kempingowiczów. Trochę gorzej jest z obczajczymi grupowo. Widocznie obecność w „swojej paczce" ośmiela do bogatszego życia towarzyskiego. Nierzadko około północy można usłyszeć swojskiego „Górala" lub „Hej tam pod lasem".

Dają o sobie znać rozwagę radom zakładowym organizującym grupowe obozowiska w Bułgarii. Chociaż i gospodarze lubią prowadzić ożywione życie towarzyskie do późnych godzin nocnych...

Zmieniło się na korzyść zwiedzanie. Najuprzejmniejsza obsługę spotkałem na kempingu „Egzotika" w Kranewie. Przedstawiciel administracji nie tylko udzielił wszelkich informacji, ale po wielu grzecznościach słowych wybiegł, by pomóc w przenoszeniu bagażu. A należy dodać, że „Egzotika" jest jednym z największych i najbardziej ruchliwych kempingów bułgarskich.

Ceny za korzystanie z kempingów kształtują się od 0,40 do 1,20 lewa od osoby, zależnie od kategorii. Za samochód podobnie, lub nieco niżej. Tutejsze ośrodki informacji turystycznej dysponują aktualnymi wykazami i mapkami.

Całodzienne wyżywienie w restauracji od 4,0 do 10,0 lewa. Dla przykładu danie mięsne z kopiastą porcją jarzyn 2,0 od 5,0 lewa. Tanie są ryby. Polecam niebogatą, ale znakomitą meżlazę w restauracji „Morski Konik" w Warnie, koniecznie z lampką wina „Monastyrska Izba".

Im dalej na południe tym luźniej, lecz częściej występują kłopoty z wodą, jak np. w Miczurinie i Achtopolu. Można czynić zarzuty pod adresem gospodarzy również co do zaopatrzenia oraz stanu urządzeń sanitarnych, zwłaszcza w kempingach kategorii niższej.

I rada dla użytkowników bułgarskich gazowych. Zaopatrzcie się w propan-butan przed wyjazdem. Na całym wybrzeżu działają nieliczne punkty napełniania (tylko w Albenie i Achtopolu w k. Warny i w Burgasu). Często bywają nieczynne.

Wszystkie te braki rekompensuje „murowana" pogoda, piękny krajobraz, mnóstwo ciekawych zabytków, a dla przybysza z Polski niskie ceny i obfitość owoców, choć i tu narzekają na słabszy tegoroczny urodzaj.

Jeszcze możecie, wyłeżdżajcie w drugiej połowie sierpnia, kiedy to plaże i kempingi zaczynają się rozluźniać, a do codziennego menu dochodzi pełny bukiet owoców łącznie z winogronami. Prawie wszystkie kempingi są czynne do połowy września. Pogoda we wrześniu nie jest tak upalna, lecz nadal wspaniała i korzystniejsza dla naszych północnych organizmów. Woda w morzu wtedy jest najcieplejsza.

Jest jeszcze ostrożnie ze słońca. Działa ono tutaj znacznie skutecznie. Najlepiej zacząć do 30-60 minutowej kąpieli słonecznej a potem „dodawać" codziennie po pół godziny. Obejdzie się wtedy bez bolesnych oparzeń.

Radzę również zaopatrzyć się w rozmówki bułgarskie z zapoznać z podstawowymi zwrotami. Niejednokrotnie byłem świadkiem jak nasi rodacy brali słowo „ima" oznaczające jest w bułgarskim gwarowe „nimu" (dochodzi jeszcze odwrotna w Bułgarii gestykulacja głową), a słowo „prawo" jak w znaczeniu polskim, choć oznacza ono po bułgarsku prosto.

ROBERT SZECÓWKA

„Olu, Olu — co ty robisz?"

OLGA Morozowa, choć na wrocławskich mistrzostwach Europy w tenisie poraziła Ewę Koper, zdołała udowodnić już z ćwierćfinału zakskakując wszystkich wyrażnym spadkiem formy, jest jednak tenisistką najwyższej klasy. To przecież tegoroczna wicemistrzyni Wimbledonu, nie licząc tytułów, które zdobyła na wielu innych czołowych imprezach w Filadelfii, we Włoszech, Francji. Od kilku lat znajduje się w ścisłej czołówce najlepszych tenisistek świata, trzy razy była mistrzynią Europy.

Zaczęła grać w tenisa kiedy miała 10 lat. Kolega z podwórka, który sam był w szkółce tenisowej, przyniósł raz rakietę — wszystkie dzieci do późnego wieczora grały przy ścianie. Później kto powiedział: „Słuchajcie, po co my gramy tutaj wszyscy jedną rakietą — chodźmy do Dynama, tam nam wszystkim dadzą rakiety". Teraz Olga gra w barwach Centralnego Klubu Armii, także w Moskwie. Jej trenerem jest jednak w zasadzie jej mąż, sam uznawany w ZSRR za bardzo dobrego tenistsa. Również i temu zawdzięcza to, że przeżywa obecnie swój największy sezon.

— W ciągu całego roku spotykałam się z najlepszymi rakietami świata. W Ameryce i w Anglii grałam na trawie, gdzie tenis jest o wiele szybszy niż na mączkach kortach europejskich. Wygrałam ostatnio dwa razy ze słynną Billy-Jean King, moim rzadkiem najlepszą tenisistka świata. Spotykałam się z Francoise Durr i Yvonne Goolagong. Wszystkie te gry powoliły mi na osiągnięcie najwyższej formy w stosunkowo krótkim czasie. Dopiero w finale Wimbledonu przegrałam z Chris Evert, która ma stalowe nerwy — — trzeba przyznać, że jest to skuteczniejsza niż piękna i elegancka gra King. Po powrocie do Moskwy postanowiłam trochę odpocząć i razem z mężem zaszyłam się na wsi. Nie mogę powiedzieć, żebym w okresie lipca prowadziła intensywne treningi. Oczywiście graliśmy trochę w tenisa, ale mój mąż nie jest żadnym tenistą w porównaniu z tymi, z którymi grałam przedtem.

Olga Morozowa to w telegramie fizycznie wysoka sympatyczna i inteligentna dziewczyna, z ogromnym poczuciem humoru. Dużo czyta (na wrocławskich kortach nie rozstawała się z książką „Czarny obelisk" Remarque'a), przepada za baletem i teatrem. Lubi spotkania w dobrym towarzystwie, chętnie (i dobrze) tańczy.

— Czasem zadają mi pytanie, jak odpoczywam po treningu, po meczu, a tymczasem dla mnie sama gra jest rozrywką. Nie jestem zwolenniczką biernego odpoczynku, a tenis jest sportem, w którym trzeba nie tylko szybko biegać, trzeba przede wszystkim szybko myśleć, bo sytuacja zmienia się błyskawicznie. Trzeba mieć ogromny refleks, grać tak, jak „ty" chcesz, a nie jak chce przeciwnik. To chyba najważniejsze: nauczyć się dyktować grę.

Morozowa mówi, że Chris Evert, mistrzyni świata z Wimbledonu, była jej zdaniem nie do pokonania. Prezentowała ogromne opanowanie psychiczne, miała po prostu żelazne nerwy. — Dla nas mnie kompletnie nie bała — mówi Olga. A potem dodaje — to połowa sukcesu, druga połowa to zaekomita forma!

— Staram się trenować jak najwięcej. Nawet w zimie gram około 1-2 godzin dziennie, ale nie wpadam w przesadę. Zdarza się, że po prostu nie chce mi się grać i wtedy się nie zmuszam. Co byłoby bezsensowna chałtura. Nie stosuję też żadnej specjalnej diety, nie odmawiam sobie niczego na co miałabym ochotę, w ogóle robię nie to, co powinnam, ale to, co chcę robić. Np. wtem, że powinnam jeść szpinak, bo da mi energię, a nie jem, bo nie znoszę ryb. Poza tym nie przejmuję się nigdy małymi kłopotami, nie kontrolowałam z kim jakiem powodu. Myślę, że na ogół mi się to udaje.

Przeważnie Olga Morozowa zachowuje się na korcie rzeczywiście spokojnie. W każdym razie nie łamie rakiet i głośno nie dyskutuje. Publiczarka Julia Barberian, którą wyeliminowała w pierwszym dniu mistrzostw powiedziała: „Gra z Morozową to prawdziwa przyjemność, nawet wtedy, gdy się przegrywa. Nie spotkałam dotąd bardziej sympatycznej zawodniczki". Czesto jednak mogliśmy usłyszeć po nieudanym podejściu do piłki jak mówi do siebie: „Ola Ola, co ty robisz?"

— Przyzwyczaiłam się do tego, że kibice są przeciwko mnie — na pewno tak jest w Związku Radzieckim, gdzie publiczność jest już znudzona moimi stałymi sukcesami. Dlatego często zachowuję się tak, jak na treningu, ale nie było. Czasem staram się wygrywać na złość widowni. Są bardzo tenisiści, którzy przed kibicami podsuają się specjalnym repertuarem. Nawet Metrewelli lubi się przekomarzać. Ale wszelkie rekordy bije Rumun Nastase. Pewnego razu w czasie rozgrywek o Puchar Davisa zaczął padać deszcz. Nastase wziął od kogoś parasol, wrócił na kort i wolną ręką odbił piłkę. Nie wiem, czy to takie imponujące. Uważam, że w tenisie nie powinno być miejsca na cyrk.

Olga mówi, że nie sprzedała swojego życia piłce i rakiecie. Ale mała, ale przeszkód chce mieć przynajmniej czworo dzieci. Wtedy zostanie trenerka. Chciałaby być taką, jak Nina Pietkowa, która jeszcze nigdy nie postawiła na niego zawodnika. Warto dodać, że Tiepłakowa właśnie zaopiekowała się młodziutką Morozową po jej przyjściu do Dynama. Na razie jednak dla Olgi Morozowa chce grać!

— Chcę zdobyć tytuł mistrzyni Wimbledonu. Nie na jeden sezon, ale na dłużej. I mówi mi się to w końcu udać.

Mistrzynia Związku Radzieckiego i Europy była niejednokrotnie. Kiedy będzie mistrzynią świata? Może już w przyszłym roku!

WANDA TUSTANOWSKA

HOBBY

Barwne przeźrocza

Sezon urlopowy w pełni. Gorące dni dla fotoamatorów. Piękna, kolorowa przeźrocza można wykonywać przy pogodzie pochmurnej a nawet deszczowej. Fotografiujemy oczywiście na błonie filmowej OWOCHROM UT 18. „Najwyższa wierność odtwarzania barw, doskonale zróżnicowanie kolorów, bardzo duża ostrość obrazu. Do zdjęć przy każdym świetle dziennym". Przy kupnie filmu sprawdzamy termin ważności. Który powinien przynajmniej pół roku wyprzedzać datę zakupu. Film przechowujemy w fabrycznym opakowaniu w miejscach chłodnych. Również po załadowaniu aparatu fotograficznego unikamy gorąca. Naświetlony film możliwie szybko wywołujemy tylko w zaleconym laboratorium. Błona OWO UT 18 wymaga bardzo dokładnego określenia czasu naświetlania. Ponieważ większość fotoamatorów nie dysponuje elektrycznym światłomierzem, omówimy sposoby postępowania się tabelą naświetlenia załączoną do każdego filmu. Pamiętajmy, że film zawsze lepiej trochę niedoświetlić niż prześwietlić. Obraz prześwietlony traci ostrość i nasycenie barw.

W fabrycznej tabeli naświetleń warunki ekspozycji ustalone dla krajów naszej szerokości geograficznej. Fotografujemy w miesiącach letnich, w pełnym słońcu od godziny 9 do 15, mięgawka wynosi się zawsze w tym samym czasie 1/125 sekundy: rozległy krajobraz, plaża — przysłona 2, krajobraz z przednim planem, ujęcie grupy ludzi — przysłona 8, wszelkie motywy w cieniu — przysłona 5, 6. Przy lekko zachmurzonym niebie 1 pogodzie pochmurnej wartości przysłony dopowiednio zmniejszamy — krajobraz 8 i 5, 6, krajobraz z przednim planem 5, 6 i 4, zdjęcia w cieniu 4 i 2, 8.

W krajach południowych — Bułgaria, Jugosławia, Włochy słońce świeci o wiele jaśniej i zachodzi niebezpieczeństwo wielokrotnego prześwietlenia filmu. Aby temu zapobiec, do naszej tabeli naświetleń wnosimy poprawki. Wartość przysłony zwiększamy jednokrotnie, lub jeśli jesteśmy dalej na południe dwukrotnie, tzn. rozległe widoki oświetlone pełnym słońcem fotografujemy przy przysłonie 16, czas 1/125. Jeżeli zachodzi dalsza konieczność ograniczenia działania światła a możliwość przystawania w miejscu jest się skończyła, zwiększamy szybkość migawki do 1/250 lub 1/500.

Aby poprawnie naświetlić film UT 18 trzeba brać pod uwagę również barwę fotografowanego motywu. Przy kolorach bardzo jasnych wartość przysłony zwiększamy o jeden, jeżeli dominują kolory ciemne, czynimy odwrotnie. W czasie niewnego deszczu fotografujemy motywy pierwszoplanowe — można nawet fotografować portrety, byle tylko zdjęcie było żywe, podchwycone. Wartość przysłony 2,8 lub 2, ewentualnie zmniejszenie szybkości migawki i mocniejsze aparatu na statywie.

P. S. Fotoatamorzy chcąc mieć naprawdę dobre przeźrocza, fotografują ten sam motyw trzykrotnie, stosując różne wartości przysłony.

(pol)

Poczta „Prowokacji"

Red. JĘDRZEJ OPOLCZYK
Redakcja „Wiadomości"

Z dużym zainteresowaniem (jak zwykle!) zapoznałem się z materiałami sportowymi prezentowanymi w nr 31 „Wiadomości".

Są one żywe, czupurne, refleksyjne...

Ten ich ton a szczególnie „Prowokacje" skłoniły mnie do skreślenia na marginesie Pana artykułu kilku uwag, sądzę wcale nie marginesowych.

Zdaje sobie sprawę, że publicznej szerokiej dyskusji nie będzie, zwłaszcza wśród producentów i handlu, ale z tego wynikają też dla naszego Towarzystwa określone wnioski.

● Pierwszy z nich dotyczy szerszej, bardziej szczegółowej informacji o propozycjach programowych naszych Ogniak TKKF. Jest przecież szereg form rekreacji ruchowej wychodzących naprzeciw potrzebom społecznym. W tej gamie zawierają się również zajęcia w sekcjach piłki nożnej, koszykówki, siatkówki, drużyn, ligi zakładowe i osiedlowe, prowadzone przez wykwalifikowanych instruktorów. Mają one zabezpieczony sprzęt sportowy.

● Drugi problem to praktyczny udział naszych jednostek w przygotowaniu i przeprowadzeniu zajęć z zakresu kultury fizycznej na wszelkich obozach, koloniach, biwakach, w akcji pn. „Lato w mieście", itd. W tej kwestii staramy się, aby w roku przyszłym nawiązać właściwe kontakty z resortem oświaty, ZHP, TPD dla należytego zabezpieczenia zajęć sportowych w różnych formach wypoczynku dzieci i młodzieży.

Osobna, najtrudniejsza sprawa to odpowiedź na pytanie: „gdzie".

Obserwujemy z satysfakcją, że oddaje się w ostatnim okresie szereg urządzeń i obiektów rekreacyjnych. Będzie naszą wspólną sprawą, aby były one należycie wykorzystane, aby było ich coraz więcej, aby powstawały nie tylko w oparciu o nakłady inwestycyjne, ale też dzięki czynom społecznym, aby zagospodarowywać tereny zielone (np. Pole Marsowe), wsie stadiony, boiska, aby zapewnić społeczeństwu ruch, radość i zdrowie.

Rozumiem, że brak piłek był jedynie na podstawy Pana artykułu (pretekstem dla ukazania ciekawego zjawiska, jakim jest wpływ pewnych wzorców na kształtowanie zainteresowań wśród rekreacyjnych, zwłaszcza: Wilhelm Tell — łucznictwo, Zorro — szermierka).

Pana „Prowokacje" trafiły i tym razem na podstawy (nie tylko z naszej strony!), zważywszy, że na tej samej stronie rozmowę z niżej podpisanym redaktor Czesław Krycek opatrzył zobowiązującym nas tytułem „SPORT DLA WSZYSTKICH".

Łączę wyrazy uznania
JÓZEF NAJEWSKI
wiceprezes
Zarządu Wojewódzkiego
DTKKF

PIŁKARSKA KARUZELA

Z ośmiu spotkań premierowych w piłkarskiej ekstraklasie tylko jedno zakończyło się zwycięstwem drużyny gości. Stal Mielec wygrała we Wrocławiu 2:1. To fakt, że Śląskowi należał się w tym meczu remis, ale nikt z oglądających to spotkanie nie może nie przyznać dużej klasy piłkarzom mieleckim. Duet Lato — Domarski grał popisowo. A Kasperczak, Rzeźny, Gąsior, Wlązek, zresztą wszyscy piłkarze mieleckiej drużyny zademonstrowali we Wrocławiu futbol jaki zawsze chcę się oglądać. Prawda to jest na początku rozgrywek prorokować, ale wydaje się że Stal będzie poważnym faworytem w walce o tytuł mistrza Polski.

Piłkarze z Mielca mają jedno jakże ważne udogodnienie. Na mecze przylatują dwoma samolotami zakładu opiekuńczego WSK Mielec. Kilka godzin i już byli we Wrocławiu, kilka godzin po meczu i już w domu. A ileż czasu straciliby na podróż i to jak męczącą podczas ostatnich upałów. Niby drobiazg, ale wpływ na formę, na samopoczucie jest ogromny.

Jeszcze przed finalami mistrzostw świata mówiło się, że trener Andrzej Zientara będzie opiekował się piłkarzami Stali. Okazuje się jednak, że trenerem mielczan nadal jest Zenon Książek. Pytaliśmy działaczy Stali w tej sprawie. Powiedzieli nam, że kierownictwo klubu doszło do wniosku iż Zenon Książek — były piłkarz Stali — tak bardzo zżyty jest z klubem, z zawodnikami, a przy tym to dobry fachowiec, że postanowiono nie zmieniać trenera.

Tak, to bardzo ważne, gdy trener jest ściśle związany z zespołem. Po co daleko szukać. Opiekun piłkarzy Śląska Władysław Żmuda — były zawodnik, obecnie doskonale zdaje egzamin w nowej roli. Wrocławianie są dobrze przygotowani do nowego sezonu. Wykazała to pierwsza połowa meczu ze Stalą. Zwłaszcza Jan Erlich — piłkarz na którego czekaliśmy cały rok, okazał się bardzo cennym nabytkiem.

Ale wrocławski I-ligowiec nie zmienił się w porównaniu z poprzednim sezonem, nie doszło zbyt wielu nowych piłkarzy. Natomiast beniaminek z Wybrzeża — Arka Gdynia pokazała aż trzech zawodników, którzy liczą się wysoko na krajowej „giełdzie piłkarskiej". Ciekawe, czy ten silny zastrzyk nowej krwi wyjdzie na dobre Arce? Rozpoczęła rozgrywki objecującą.

Również na II froncie mamy premierę za sobą. Dobrze wypadł debiut Moto Jelcza. Zwyciestwo w pierwszym meczu ma duże znaczenie psychologiczne, beniaminek bardziej wierzy teraz we własne siły. A w Wałbrzychu piłkarzy Zgłębia spadł zimny, bardzo zimny tusz. Okazuje się, że nigdy nie można być za pewnym siebie. Zmienna jest sportowa forma. Jeszcze tydzień, dwa tygodnie temu wałbrzyszanie grali jak z nut w ekstraklasie a tu porażka na własnym boisku w pierwszym meczu II ligi.

Często w piłce nożnej decydują nie tylko umiejętności, których Zagłębia nie można odmówić, ale silna wola, ambicja i zaciętość w grze. No i trzeba mieć jeszcze tak zwany dobry dzień. Inna sprawa, że w piłce nożnej najczęściej sprawdza się stare powiedzenie: „gra się tak, jak przeciwnik pozwala". Jeszcze niejedna niespodzianka czeka kibiców piłki nożnej w nowym sezonie 1974—1975.

(ST. M.)

Na łamach prasy

KTT SIĘ NARAŻA...

Przytoczę fragment felietonu KTT (KULTURA), który (na pewno ku zdumieniu niektórych recenzentów, również z WIADOMOŚCI) pisze:

„(...) absolutnie nie wiem, kim jest p. Waldemar Łysiak, który w 30 numerze „Perspektyw" opublikował artykuł pt. „Kryzys komunikatywności". Jest to artykuł o sztuce, w którym autor stwierdza fakt dość oczywisty, że 90 proc. współczesnego społeczeństwa myśli, że nie tylko we Francji, jak pisze, ale i u nas także — kompletnie nie rozumie sztuki nowoczesnej. Ze czasu poprzód tych ludzi uważa się za systematycznie oszukiwanych przez malarzy, rzeźbiarzy i grafików, a drugą część, jeszcze większą, wszystko to razem nic, ale to nic nie obchodzi.

Jak z tego widać, artykuł p. Łysiaka nie jest żadnym odkryciem, jest jednak równocześnie pewnym gestem odwagi. Nie wypada pisać obecnie takich rzeczy w naszej prasie, gdzie — wręcz odwrotnie — wykształciła się cała plejada autorów, którzy nabrzmiałym z przejęcia głosem potrafią nam donosić o wstrząsających rzekomo dramatach, rozgrywających się na płótnach nikomu nie znanych i przez nieuteln oglądanych malarzy i rzeźbiarzy, albo i na glebach, ukrytych pod warstwą słów poetyckich i prozatorskich".

Dalej autor stwierdza, iż w jego przekonaniu,

„które zresztą nie jest wcale tak odosobnione, istotniejszy klucz do „kryzysu komunikatywności" leży u ręka tych, którzy tuterdzą, że źródłem tego kryzysu jest kryzys mitologii. Jest po prostu zagubienie wspólnego języka, wspólnych miłości, wspólnych zachwytów i nienawiści przez artystów, pozostających w kręgu kultury mieszczańskiej i przez odbiorców, wkraczających praktycznie w świat nowej, industrialno-urbanistycznej kultury masowej".

Pisząc następnie o tym, iż brakuje wielkich dzieł sztuki, czy nawet reportażu o sprawach, które są wspólne wszystkim Polakom, KTT kontynuuje:

„Wiecej właściwie nie potrzebuję pisać widzę już przed sobą twarze opinantów, którzy mi wyjaśnią, że marzą mi się piosenki o Nowej Hucie i Mareniasztacie, ody o Trasie W-Z, książki o kampanii buraczanej. Bądźcie zdrowi, kochani! Przypomnę wam jednak, że kiedy przed wojną Polska startowała na Olimpiadzie to sportowcom towarzyszyli literaze. Wierzyńskiego i poeta razem ze sportowcami, zdobył złoty medal. Przypomnę także, że pisało się książki, opowiadania, wiersze, o Żwirce i Wigurze i jeśli pamiętamy do dziś te nazwiska, to nie dlatego, że tak masowo i namiętnie badamy historię aviacji, ale dlatego, że dzisiejsze stare konia czytały o nich w „Płomyku".

Felieton kończy się następująco:

„Zdaje mi się, jestem tego pewien, że pewność do problemów, o których tu piszę teraz ukradkiem i korzystając z sierpniowego exodusu, już niedługo okaże się jedyną szansą, aby przełamać „kryzys komunikatywności", czyli po prostu potworną nudę, jaka zapada nad naszymi poczynaniami twórczymi w sztuce. A jeśli ktoś nazwie to wywołyaniem walka z lasu, temu można by odpowiedzieć, że wilki groźne są przede wszystkim dla baranów".

Dodam od siebie, że rzecz tyczy się nie tylko części twórców, ale również części krytyków artystycznych i recenzentów, którzy każdy kawał porządnej roboty w filmie, na scenie czy w książce — obrzydza, nie ustając jednocześnie w wyrabyalaniu rzekomo nowoczesnej sztuki, oderwanej od przeżyć i odczuć najszerszego odbiorcy. Uwaga KTT o wywoływaniu wilka z lasu tyczy się ich również. Jak najbardziej!

ŻURB

Niżej dwa fragmenty felietonu Piotra Wierzbickiego w LITERATURZE:

„Na stemi, w odległości stu metrów od głównej ścieżki, którą prowadzi się wycieczki, leży zastrzelony żubr. Obok stoi, ze strzelbą w futerale, pracownik rezerwatu Pirożnikow. Ludzie, z którymi przyszedł zabić zwierza, wyrabują właśnie w rezerwacie przejście, którym będzie można je przetransportować i wycieczki pale, przy pomocy których będzie je można ustadować na furę. Fura z żubrem jest już na głównej ulicy wiadowej, mija wycieczkę szkolną, która robi zdjęcie: fura z żubrem, na żubrze niemieckiej myśliwi, obok dzieci z pospuszczanymi głowami. Pirożnikow jest w porządku: zastrzelił żubra na polecenie dyrektora Białowieskiego Parku Narodowego Watoły".

„Przyjeżdża do Białowieży przedstawiciel Departamentu Ochrony Przyrody Ministerstwa Leśnictwa. Dyrektor Watoła zaprasza, że wydał polecenie, żeby zastrzelił żubra, zwala winę na Pirożnikowa. Pirożnikow otrzymuje pisemne upomnienie (...)

Wszystkim się zdawało, że jak karać, to głowę — karano rękę..."

POCZTA

„Poczta literacka" to rubryczka ŻYCIA LITERACKIEGO, czytana nie tylko przez nieszczęśliwców, pisujących do wszystkich pism z prośbą o debiut. Oto jedna z ostatnich odpowiedzi „Poczty": „Victoria", Zagań. W obszernym poemacie „Do polskich literatów" przesyła Pani wyrazy głębokiego poważania naszym pisarzom, ich talenty podziwia Pani, ich wykształcenie. Od razu widać, że mała Pani czyta współczesnych książek".

Narzeczie wiem, po co czytam współczesną literaturę. A. Ol.

film

Nowotwór złośliwy

ZE ZDUMIENIEM odebrałem francuski film pt. „Rak". Oczekiwałem jakiejś odpowiedzi o burżuazyjnej degrengoladzie, a obrazem drażniący film, podejmujący może nienowy, ale z pewnością niezwykle rzadki temat świadomości chorego na raka i jej roli w procesie leczenia, a właściwiej określając — w procesie umierania. Pgruszono zatem temat tabu, zastrzeżony dla lekarzy, tych współczesnych czarowników, szamanów cywilizacji naukowo-technicznej, na których się spuszczamy w chorobie, od których cudotwórczej woli zależy nasze życie; w ich oczach czytamy wyroki, jakie ogłosił nam los. Jakoż tych właśnie lekarzy poddano surowej krytyce. Nie lekarzy niektórych, takich czy innych, ale w ogóle służbę zdrowia! Że nie służy zdrowiu... Ale problem nie jest taki prosty: to że służba zdrowia jest chora, o czymś świadczył.

Narzekać na służbę zdrowia to ostatnio temat dość modny. Felietoniści, publicyści piszą i gromią, że lekarz nie leczy, bo jest specjalistą; jeśli specjalista od wątroby, to już skaleczonego palca nie potrafi wyleczyć; że wędrując od specjalisty do specjalisty w celu rozpoznania choroby to tę pogardę zwiększa człowiek może poważnie zachorować; że lekarz nie interesuje się chorym człowiekiem, lecz „przypadkiem", że są bezduszni lekarze, podlewać kwiat (jak im się wydaje) chory organ, a nie chorego człowieka, że traktują chorego jako „numer" w szpitalu i — aby w pełni to tę pogardę) zwiększyć — mówią do chorych w trzeciej osobie (młody lekarz, ledwie co ukończył studia, do damy w średnim wieku: „Co jej jest? Niech się rozbierzel", itd., itd...

To wszystko prawda. Wszelako służba zdrowia nie jest jakąś autonomiczną organizacją, której struktura jest niepodobna do struktur innych organizacji. Wrecz przeciwnie, jest ona urządzona na wzór i podobieństwo, ma takie same wady i zalety jak wiele innych, z pozoru niepodobnych do niej organizacji. Jeśli narzekacie na specjalizację, to powiedzcie mi, dlaczego medycyna ma być wyjątkiem wśród innych nauk, albo pokażcie jakiś sektor ludzkiej działalności, gdzie nie dotarła jeszcze specjalizacja. Że lekarz nie traktuje was jak równorzędnego partnera? A któż to scedował na lekarzy swoje życie i śmierć? Kto w poczuciu niezmierzonego bogactwa pozwolił sobie na luksus nieintereswania się tymi przykrymi sprawami? Jeśli lekarz ma nad wami władzę całkowitą, gdy jesteście chorzy, a chorzy jesteście zawsze i lekarz wie o tym, choć wy o tym nie wiecie, to czyż nie może poczuć się Bogiem?

Media vita in morte sumus: pośrodku życia w śmierci jesteśmy. Związek życia ze śmiercią nie jest przecież sprzecznością. Nie tylko śmierć w życiu sa się z życia, ale odwrotnie: życie krzewi się dzięki śmierci. Choć zaznurzeni w życiu, będziemy chorzy na śmierć. Memento mori to przestroga, a nie coś, co ma przestraszyć. Memento mori to nie znaczy: nie nie wszystkich, pomyśl o swojej śmierć. Odwrotnie, memento mori nadaje życiu właściwą perspektywę, uczy szukać w życiu wartości prawdziwych, naszym decyzjom nadaje wymiar eschatologiczny.

Takie maksymy jak powyższe to archeologia ludzkiej myśli. Współczesny człowiek nie myśli o śmierci, współczesny człowiek nie wybiega myślą tak daleko w przyszłość, współczesny człowiek myśli o czekających go jutro, pojutrze sprawach, które doprowadzą go do sukcesu, przyjemności.

Najtrudniej uwierzyć we własną śmierć. To wielki wysiłek. Ale jednocześnie zobaczcie, jaki to paradoks gigant: ileż więcej trzeba wysiłku, by uwierzyć we własną śmierć, niż we własne życie! Może tak jest dlatego, że doświadczenie uczy nas, iż zawsze umierają inni.

Mówić zatem czy nie mówić ludziom, że są nieuleczalnie chorzy? Skoro są chorzy nieuleczalnie, to może nie trzeba im zabierać tych chwil, kiedy choroba im nie dokucza, świadomością bliskiego końca, może trzeba ich wyrąbać narkotykowi złudzeń i marzeń? Ale co to znaczy: nieuleczalnie? Czy nie ma już żadnej nadziei?

Bohater filmu, młody muzyk, decyduje się traktować chorobę swojej matki inaczej, odważnie, bez zakłamania. Przede wszystkim zabiera ją ze szpitala, białej, anonimowej umieralni, z zatłoczonymi salami, z fachową (świetna scenka wizyty lekarskiej), razem z tą fachowością niewiele pomagającą pacjentowi obsługą, która jest bezduszna, w najwyższym stopniu oschła, nonszalancka. Zabiera matkę do jej mieszkania, gdzie nic nie zmusza jej do myślenia o swojej chorobie, gdzie sam jej przyrządza strawę, w niczym nie przypominającą szpitalnej diety, gdzie sam przyrządza nastrój psychiczny. Po pewnym okresie przygotowania oznajmia jej prawdę. Mówi, że przy obecnym stanie wiedzy medycznej jest nieuleczalnie chora. Ale jest właśnie szansa wyzdrowienia w tym, że będzie swoją choroby świadoma, że sama świadomie będzie z nią walczyć.

Ciało nie jest oddzielone od umysłu. Potraktowano tutaj chorobę ciała jako fragment choroby świadomości. Wobec takiego ujęcia problemu nie jest już takie ważne, że film nie został najlepiej zrealizowany artystycznie. Najważniejsze to, że podjęto w nim sprawę nieopowiedzenie wstydliwe, otoczone milczeniem, sprawy stosunku człowieka do swojej choroby, do swojej śmierci. „Rak" nie miał powodzenia. Szybko zdjęto go z afisza.

ANDRZEJ WIĘCKOWSKI

wiadomości o książkach

Naga małpa

NIE JEST winą zawodowych literatów, że najbardziej ważkie książki ostatnich lat nie wychodzą spod ich piór.

Globalne procesy ekonomiczne i społeczne, zagrażające równowadze światowej, wydały przed trzema laty jako swój owoc „Granice wzrostu", stosunkowo szybko udostępnione czytelnikowi polskiemu. Nieco dłużej wypadło nam czekać na „Nagą małpę" Desmonda Morrisa, ale 7 lat, które upłynęły od jej opublikowania, to niemal chwila w porównaniu z czekaniem na książki Fromm'a czy — oddając sprawiedliwość literatom — Joyce'a.

„Naga małpa" jest absolutnie świeża i treści ma niezleżałe. 30 tysięcy nakładu rozeszło się szybko pomimo wakacji jeżeli wydawca nie ma pewności co do kryteriów w polityce wydawniczej, to w pewne może za takie wziąć ukazywanie się recenzji w momencie nieobecności książki na rynku.

Jest to książka znakomita na tegoroczne lato, kiedy deszczu więcej, a pora roku każe wziąć urlop od poważnych studiów: lekko, znakomicie napisana, a przy tym rozwijająca. Połączenie to samo w sobie jest tak rzadkie, że mogłoby wystarczyć za wszelkie rekomendacje.

„Naga małpa" to wprowadzenie — cokolwiek skandaliczne, sądząc już po tytule — do antropologii, napisane przez zoologa. Książka jest poprzedzona Tachową o kompetentnia przedmową Tadeusza Bielickiego, który przestrzeża zresztą przed zbyt powaźnym traktowaniem niektórych tez i sformułowań, szczególnie dotyczących sfery zachowań seksualnych człowieka.

Antropologia obok kosmologii zawsze była i trudna zadnić, że pozostanie dziedziną stale żywego zainteresowania nagich małp i w tym świetle sukces książki nie powinien dziwić.

Zadaniem skandalizującym, które sobie Morris założył, było obalenie setki chwalebnych mitów, które człowiek wytworzył na własny pożytek. Profesja autora miała tu znaczenie decydujące; odmiennie niż u zawodowych antropologów myśli Morrisa biegną poprzez biologiczną, zwierzącą stronę natury ludzkiej. Twierdzenie o wspólnym pochodzeniu gatunków już dawno straciło powab sensacji. Człowiek pogodził się z krewniakami, których mu przypisano, i sporo dowodu zużył na budowę teoretycznych podstaw swej wyższości: już to łapiąc się zdolności produkowania narzędzi, już wytworzenia przebogatej kultury, już języka — jako mniemania nieprzekraczalnej granicy między zwierzęciem a Światem Człowieka.

Morris, jak się zdaje, pragnie pozbawić nas resztę złudzeń: nasza zwierzęca natura ogranicza nas daleko silniej, niż jesteśmy to skłonni przyznać. Nawet w wysoce nienaturalnym i w niedatyczności ludzkiej mającym początek środowisku miejsko-przemysłowym zachowania o pochodzeniu zwierzęco-instynktownym występują częściej, niżby się zdawało.

Wyliczyć je tutaj nie sposób, jedynym z celniejszych wywodów jest porównanie ukłonu do zachowania jest co pewien czas komentatorem spektaklu. Z dwóch narratorów, stale towarzyszących spektaklowi, świetnie wypadła Urszula „Miedziński, której zwolnienia aparycji poparte klasą aktorską przyniosły oczekiwane wyniki (również w roli Czarownicy podkreślić trzeba kapitalne wykorzystanie przez nią warunków głosowych). Z opinią o drugim narratorze, adepcie, wstrzymajmy się lepiej do czasu, gdy stanie się aktorką. Świetni byli bohaterowie Marian Kłodnicki jako smok Ciuńcio (warto zwrócić uwagę na nie wykorzystaną dotychczas świetną vis comica tego aktora). Mirosław Majcherek mniej może miał w sobie z Księcia, więcej za to z rozkapryszonego dziecka, ale przecież książę był właścicielem dziekem — wszystko więc się zgadza. Jedyne zastrzeżenie, jakie można do niego wnosić, to przykrywanie głosem w wyższych rejestrach swoich współpartnerów. Chociaż jako Książę mógł sobie na to pozwolić, a i głos jest całkiem interesujący. Stosunkowo mała rola Królowej tym razem Józef Frymet (Herszt).

W sumie przedstawienie mimo wymienionych na wstępie mankamentów udane, a co najważniejsze potrzebne. Bo w końcu jak długo można grać dla przedszkolaków „Kotka Protka"? U progu nowego roku szkolnego przedszkolnych, który z pewnością długo utrzyma się w repertuarze teatru. Trzeba tylko zadbać o to, by był gramy też na scenie dużej, ale nie przy pustej widowni (ostatnio naliczyłem 13 osób). Zaden trud artystyczny nie będzie opłacalny i nie będzie budził radości do pracy u aktorów, a najwyżej rozgoryczenie, gdy komórki teatru odpowiedzialne za reklamę i napełnienie widowni nie będą się wywiązywać ze swoich obowiązków. Toż to jasne, w końcu... nie bądźmy dziećmi!

WOJCIECH ZABOROWSKI

teatr

Nie bądźmy dziećmi!

JAK ZROBIĆ ze skrzypiec fortepian? Jak z hulajnogi zrobić autobus? Do tych pytań zadawanych przez jednego z bohaterów najnowszego spektaklu dla dzieci wystawionego przez Wrocławski Teatr Lalek dorzucić można jeszcze jedno, ale chyba zasadniejsze: Jak zrobić dobre przedstawienie? Szczególnie to dla najwrażliwszej widowni, którą zawsze tworzą dzieci. Wydawać by się mogło, że sztuka Ladislava Dvorskiego „Baśń o dobrym smoku" ma wszelkie szanse, by dać odpowiedź na to podstawowe pytanie. Teatry dramatyczne, które zbyt rzadko, na marginesie swojej zasadniczej działalności, wystawiają od czasu do czasu spektakle dla dzieci, mogą w wypadku niepowodzenia nie przejmować się tym specjalnie. Zresztą — i ręką na sercu — ileż to widowisk przeznaczonych dla młodocianej widowni, a wystawionych przez tzw. dorosłe sceny, mogli ostatnio wrocławianie obejrzeć? Dwa, trzy? Co innego Teatr Lalek, który prowadzi dwie sceny dla dzieci: objazdową dla przedszkolaków i dużą dla dzieci z młodszych klas szkoły podstawowej. Tu brak sukcesu oznacza pustkę na widowni. Ale pusta widownia nie zawsze oznacza brak sukcesu artystycznego. Co widać właśnie na przykładzie ostatniej premiery.

Przedstawienie zawiera wszystkiego, co baśniowe, po trochu.

Najsłabszą stroną przedstawienia jest niewątpliwie scenografia. Nie dość, że niegodna z reżyserem (np. ze sceny słyszymy, że niebo było szare i księżyc zganiał gwiazdy, a scenografia przedstawia firmament granatowy i ani śladu gwiazd), ale do tego jest typowo jarmarczna. Szata plastyczna widowisk dziecięcych staje się powoli piętą achillesową tego teatru. Inni już odbyli się zaledwie kilka przedstawień, wyglada ona tak obskurnie, że już warto by pomyśleć o jej odnowieniu. Maria Królikowska-Zebrowa nie dała tu szczególnego popisu swych możliwości. Bo niby dla kogo się starać — dla dzieci? Również muzyka Grażyny Patrokolskiej, w której brzęczą odgłosy różnych znanych nam a popularnych melodii (np. „Wędrowali szewcy przez zielony las") jest tylko poprawna.

W tej sytuacji obok dobrego tekstu główny ciężar rozgrzania widzów spadł na reżysera oraz aktorów. Jan Plewako włożył duże inwencji w sceniczne ustawienie sytuacji i wyszedł z tego obronną ręką. Szczególnie interesujące są przejścia z żywego planu na plan lalkowy oraz pomysł ustawiania dekoracji na oczach widowni. Pomysł nienowy — dodajmy dla ścisłości — jednak bardzo potrzebny, szczególnie w tego typu przedstawieniach. Z jednej strony rozwiązuje to trudności techniczne (przestawienie jest przeznaczone na scenę objazdową) ułatwiając pracę tym, o których zazwyczaj się w recenzjach nie pisuje, tzn. zespołowi technicznemu, z drugiej zaś z strony dzieci uczą się konwencji teatru.

Nie miejmy pretensji, że nie udało się idealnie zerać ruchu lalek z rytmem melodii.

Szczere uznanie budzi za to gra aktorów w obu planach. Właściwie dzieci mają możliwość ujrzenia wszystkich aktorów, każdy z nich

„Galeria u dziennikarzy" — „Ruch — forma" autor Tasios Kiriazopoulos.

Fot. Marek Grotowski

plastyka

Czy polska sztuka daje się sprzedać?

CORAZ częściej pisze się o wysokim poziomie polskiej sztuki współczesnej, nie ustępującej awangardowej sztuce światowej. Same informacje o wystawach cieszących się powodzeniem za granicą niezwykle rzadko mówią o ich sukcesach finansowych. A przecież większość z nich jest połączona ze sprzedażą. Kto kupuje polskie dzieła, kogo kupują najchętniej, i za ile — o tym wiemy ciągle niewiele.

Liczba wystaw sztuki polskiej za granicą wzrasta z roku na rok. W roku ubiegłym było ich 85. Głównym eksporterem dzieł pokazanych na tych wystawach i współorganizatorem zagranicznych eksposycji jest Biuro Handlu Zagranicznego „Desa". W ciągu 15 lat swej działalności zorganizowało ono na całym świecie ponad 500 polskich wystaw. Rokrocznie uzyskuje z tytułu sprzedaży prezentowanych tam przedmiotów artystycznych wielomilionowe sumy. Rok ubiegły przyniósł 500 polskim plastykom, których dzieła wystawiono za granicą, sumę ponad 14 mln zł i ponad 94,5 tys. dolarów. Największe kwoty wpłynęły ze sprzedaży malarstwa, dalej gobelinu, rzeźby i grafiki. Nasze najrentowniejsze rynki w dziedzinie eksportu polskiej sztuki to RFN, Włochy, Austria, Szwajcaria i Japonia.

W roku ub. polskie dzieła pokazano na reprezentacyjnej „Wystawie współczesnej sztuki polskiej" w Danii i Szwecji. Spośród wystaw w rzamach „Dni polskich" w Mannheim złożyły się na wielki sukces propagandowy i handlowy polskiej sztuki w RFN. Wielkim zainteresowaniem cieszyła się wystawa ceramictwa i rzeźby współczesnej w Düsseldorfie. Ciekawą ofertą polskiego gobelinu były dwie duże wystawy w Stanach Zjednoczonych i w Szwajcarii.

Podobnie interesujące dla znawców i miłośników polskiej sztuki za granicą były pokazy indywidualne naszych najwybitniejszych twórców: Zbigniewa Makowskiego w Düsseldorfie i Paryżu, Jana Cybisa w Wiedniu, Władysława Hasiora w Norwegii, Wojciecha Sadleya w Zurychu. Za pośrednictwem tych imprez dzieła wielu naszych plastyków trafiły do rozlicznych muzeów.

Inna forma stosunków dzieł jest stała współpraca „Desy" z galeriami i firmami handlowymi. Zakupują one okresowo duże zestawy dzieł polskiej sztuki.

Forma sprzedaży, jaką prowadziła dotychczas „Desa", dotyczyła z reguły dzieł twórców już w większym stopniu uznanych. Pierwszą próba prezentacji twórców młodego i najmłodszego pokolenia była tegoroczna aukcja sztuki polskiej zorganizowana w paryskiej salli Espace Cardin. W ciągu dwóch godzin sprzedano 90 obrazów za sumę 24 tys. dolarów. I choć nie był to osiałamiający sukces finansowy, jak na tego rodzaju imprezę, był to jednak sukces propagandowy naszej sztuki. Mało znani — Anna Gündner, Jerzy Duda-Gracz, Henryk Waniek, Karol Wieczorek — podobali się najbardziej.

Aukcja sztuki polskiej w Paryżu dowiodła potrzeby organizowania tego rodzaju imprez. Jak również zapewnienia im odpowiednich warunków skutecznie wprowadzających polską sztukę w świat. Tego rodzaju inicjatywy więc podejmuje ostatnio cerat wieczorj zainteresowanych instytucji. Po Cepelii i salonach spółdzielczości plastycznej „Art" uprawnienia do sprzedaży za granicę dzieł sztuki otrzymali ostatnio także Biura Wystaw Artystycznych i niektóre salony plastyki, jak np. krakowski Salon Plastyki Współczesnej czy warszawski Galeria „Zapiecek".

Rozwój form eksportu naszej sztuki, połączonych ze stałą akcją reklamową, rokuje coraz lepsze efekty. Wszyscy bowiem dobrze rozumieją, że upowszechnienie polskiej sztuki na płaszczyznie handlowej to jednocześne nadanie jej rangi w świecie.

BARBARA KERBER

Desmond Morris: „Naga małpa" — Wiedza Powszechna, Warszawa 1974, s. 322.

BOROŃ JEST BEZWZGLĘDNY

Janina Wieczerska

DYSPOZYTORA proszę.

Inżynier Boroń musiał chwilę czekać, nim dyspozytor podszedł do telefonu. Miałby czas policzyć do dziesięciu i z powrotem, co podobno wpływa łagodząco na reakcje, jednakże mimo upływających sekund żadna tam fala łagodności nie narastała mu w sercu. Raczej przeciwnie.

— Słucham, panie inżynierze?

— Władek jest?

— Nie, panie inżynierze.

— I wozu też nie ma?

— Ano, nie ma.

— To na co pan czeka?

— Przepraszam, z czym?

— Z wnioskiem do kadr o dyscyplinarce...

— A tak, wniosek już mam, jak tylko drań się pokaże, to ja zaraz do pana inżyniera po parafę i szlus. Za pierze i na powietrze świeże.

— Głos dyspozytora był szczypiący i beztroski, ale „tak jakoś", tak na niby.

— Co znaczy: jak się zjawi? Od soboty ani jego, ani wozu, a dziś co? Czwartek.

— Może miał wypadek?

— Wypadek! Znam ja jego wypadki — prychnął Boroń. — Dziwkarz, baran niestrzyżony. Zresztą do Dropowej pan dzwonił?

— W poniedziałek i wczoraj.

— No więc. Dawaj pan wniosek, a Władka to ja już w życiu nie chcę na oczy widzieć.

Trzasnął słuchawką. Toż to idiota z tego Władka. Bezczelny idiota. Jak to się zaklinał po ostatnim razie. Jak przepraszał. Jak przysięgał, że już nigdy. Pewnie, że nigdy i że ostatni raz. Teraz to już absolutnie ostatni raz i ten debil o tym dobrze wie. Ech, moja wina, trzeba go było za pierwszym razem o pysk strzelić, to by mu się w głowie poukładało!

Wściekał się Boroń w duchu, ale jednocześnie wiedział, że choćby mógł przewidzieć dalsze wyczyny młodego kierowcy, to i tak by „ni pyk nie strzelił". Choćby nawet „dla jego dobra". Choćby był w stu pięćdziesiątu procentach przekonany, że „dla jego dobra". Trudno, w życiu nikomu „nie strzelił" i już pewnie nie strzeli.

— Bo pan był dla niego za dobry, panie inżynierze!

Stelmaszek! Skąd ten tu się wziął? Ach, prawda przecież on czeka na Władka i wóz.

— Tak pan uważa? Czy ja wiem? Młody chłopak, honorowy, myślałem, że jak po ludzku...

— Po ludzku! — zaśmiał się Stelmaszek. — Z nim! A czy on z nami postępował po ludzku? Jak w Bogatyni przepadł na okrągłe sześć godzin, tak żeśmy byli w stanie nad ranem? Albo jak „Pod Kogutem" spylił benzynę i potem staneliśmy piętnaście kilometrów przed Wrocławiem i stali jak głupi do północy, nim ktoś podratował?

— Myślał, że w Bolesławcu zatankuje, nie przewidział remanentu. Zresztą benzynę spylił naprawdę tylko raz.

— Skąd pan wie? Po prostu potem był bardziej przewidujący.

— Nie, panie kolego, tu się pan myli, dyspozytor daje za niego głowę w tym względzie. Panie kolego, niech pan będzie tak dobry i wymyśla pan kiedś możliwe połączenia do tych Siewiaków, pojedziemy jak najwcześniej.

— Do Siewiaków jest jeden pekaes o sześć i drugi o dwudziestej. Już sprawdzałem. W sezonie co innego, ale teraz... Naprawdę Walczak nie ma żadnego wozu w dyspozycji?

— Wszystkie w terenie, nasz sezon już się zaczął. Niech pan dopasuje pociąg do rannego pekaesu, w Siewiakach nie ma gdzie nocować.

— Wobec tego spędzimy trzecią część nocy na dworcu w Jeleniej, inaczej nie pasuje.

— To niech pan podzwoni po hotelach, wyjedziemy o 13.00 i zanocujemy.

— I dzisiejszy dzionek na stratę. A robota się sama tu nie zrobi.

— Trudno, potem nadgonimy.

Boroń czuł, że kończy mu się cierpliwość, więc nie chcąc, by za Władka skrupiło się na Stelmaszku, powiedział z imitacją uśmiechu:

— Bardzo proszę niech mi pan podrzuci rozkład tej naszej jazdy, zastanowię się jakby najefektywniej rozplanować pobyt.

Stelmaszek poszedł. Boroń spojrzał na zegarek. Dziesiąta. Gdyby wyjechali, jak było w planie, już by dobijali na miejsce. Do wieczora zrobiliby wizję lokalną, spać by poszli jeszcze dzisiaj. A tak: dzisiejszy dzień zmarnowany, w perspektywie dwie noce Bóg wie gdzie, a tu się wszystko wali, terminy napięte, gdzie ten, już popękane, harmonogram diabli wzięli i przez kogo? Przez jednego bęcwała.

Ramy boskie, czemu ja mu pozwoliłem w sobotę zabrać wóz, jeszcze sam dzwoniłem do dyspozytora! Czemu, czemu? Bo wróciliśmy późno, w poniedziałek rano miał być wyjazd. Po co chłopak ma drałować raz godzinę ze śródmieścia, drugi raz z powrotem, skoro ode mnie na to jego przedmieście autem 10 minut. Ile kilometrów oszczędzi? Przecież nie będzie się rozbijał w niedzielę, wiedział, że niech mu licznik nie klapuje to koniec.

Wiedział, do cholery, że ma kartotekę zabagraną, że następny wyskok wysyłam go za bramę. Na co liczył, o czym myślał?

O czym myślał? Wcale nie myślał. Po prostu w sobotę postawił wóz na podwórku u gospodarzy, przebrał się i — nie wytrzymał. Za kierownicę i w Polskę. Pewnie od Trzemeszyć, do barmanki, szyku zadawać. Potem zapił, czemu nie, jutro niedziela, w niedzielę od kropelki do kropelki, rano kac, dziewoja albo wyrzuca go z łóżka, albo i nie, on bohater, co mi tam zrobią...

Boroń chodzi po przekątnej pokoju i im plastyczniej odtwarzał sobie „przemyślenia" szofera, tym bardziej brała go złość. Dawno trzeba było pozbyć się tego typa. Jakie on ma zalety? Tyle, że dobrze prowadzi i miło się z nim rozmawia. Rzeczywiście! Ale wóz najbrudniejszy ze wszystkich, bo choćby Władek miał postój przez pół dnia, to się nie ruszy, szyb nie przetrze, pojedzki nie wysypie. Jak coś się trzyma na dwóch śrubach, to już trzeciej nie dokręci. W silniku może mu warczeć sprzęt, chaczeć, nie zajrzy pod maskę, aż wóz sam nie stanie. Światła — woli zjechać na pobocze i przeczekać patrol (jak dobry kolega ostrzeże) albo zapłacić mandat, byle nie wkręcić żarówki „bez potrzeby".

Nie, Stelmaszek ma rację: ta zabawa u ludzkość do niczego nie prowadzi.

— Zadzwonił telefon.

— Panie inżynierze, Władek się znalazł i tak jakoś wyszło, że on do pana właśnie idzie.

Boroń wyszedł, zawiadomić Stelmaszka o wyjeździe, prowadzić miał sam. Nie zdążył dojść, omal wpadł na Władka.

— Ja chciałem, panie inżynierze...

— Chciałeś się pożegnać — przerwał mu.

— Właśnie. Ja do pana inżyniera nic nie mam i fikbiz...

— Chłopie, mogłeś stąd odejść z honorem i z pieniędzmi, a odchodzisz ze wstydem i bez pieniędzy. Cześć! Daj ci Boże zdrowie i rozum!

Wyminął chłopaka i nie oglądając się, pomaszerował do Stelmaszka. Godzinę później byli już za Wrocławiem.

— Pan znakomicie prowadzi — mówił Stelmaszek. — Ale po zawale to chyba pan nie powinien.

— Trudno, jak trzeba.

— No, Władzio będzie miał za swoje. Dyspozytor aż bulgotał. Bo ten batman jeszcze nie nawymyślał. Wolałbym się narazić ministrowi niż Walczakowi.

— Chłopak już po wojsku, powinien wiedzieć, co robi — uciął Boroń Stelmaszkowe spostrzeżenie. Wpatrywał się w drogę, którą tyle razy przemierzał z Władkiem. Tu na przykład złapał nas taki grad, że nawet Władek spasował i zjechał na pobocze. W Dobrogniewie zawsze mówił, że to nie do pojęcia, jak ludzie mogą żyć w takiej dziurze. Tak nie cierpiał, tak się bał tych wioszczyn. Stelmaszek. Sam z Koziej Wólki, szczęście chciał znaleźć w wielkim świecie. I znalazł. Bożesz ty mój, dobrze, jeśli trafi na wysyłkę. A jeszcze jak honorny, jaki czuły w kwestiach prestiżowych! Z tych, co woleliby zdechnąć, niż przyznać, że są głodni. On nie potrzebuje, on sobie kwietnia da radę. Na Tiry... Chciałby na Tiry, Europa, od morza do morza. I już uwierzył, że jedzie, że dziś Budapeszt, jutro Wiedeń. Pewnie, że fantasta, zakichany w glancu i szyku. A co najzabawniejsze, te Tiry wcale nie były nierealne. Tylko musiałby solidnie i uczciwie... Wysyłka w Głogowie. Mieszkanie kątem na bazie czy gdzieś. Wódka. Wódka jak amen w pacierzu. Wypadek. Kryminał. Koniec, koniec. A jeszcze po drodze jakieś baby. Nie, ten chłopak miał od urodzenia skierowanie na dno.

A ja mu to skierowanie podbiłem. Ja? Dlaczego ja? Bom się ukopał. Tysiąc razy mu mówiłem. Mówiłem, mówiłem. Mówić można bez końca, to nic nie kosztuje. Więc co, nianczyć go miałem? Jak długo? Do śmierci? Choćbym chciał, to przecież mam obowiązki wobec instytucji. I jakaś sprawiedliwość musi być.

Sprawiedliwość! jest dobra dla Stelmaszka — przemknęło mu przez myśl, gdy w lusterku zobaczył gładkie czoło towarzysza podróży. Tamten napotkał jego spojrzenie, więc Boroń powiedział:

— W Świdnicy chyba zrobimy postój.

— Zmęczył się pan, panie kierowniku?

— Nie, ale myślę, że Władek jednak by mu nie wytykał złej kondycji.

— Jeśli o mnie chodzi, to wytrzymam do Jeleniej, ale dla pana może lepiej — upierał się Stelmaszek. — Prowadzenie jest wyczerpujące. Co innego dla takiego bysia, jak Władek. Inna rzecz, wyobrażam sobie, jak się teraz czuje.

— Ja też — przerwał sucho Boroń.

Bo rzeczywiście wyobrażał sobie. Jak Władek przytomnieje, jak Tiry rozwiewają się niczym sen, jak wyduptuje schody pośrednika.

— Swoją drogą, to musi być zatyłajstwo, tak dać kopa symbolicznie oczyścić...

— To nie jest żadna sytuafkacja, niech mi pan wierzy.

Ale Stelmaszek nie wierzył. Stelmaszek marzył, żeby móc rządzić. A nigdy jeszcze nie odpowiadał za nic i za nikogo.

Wystawa malarstwa plastyków środowiska toruńskiego autor: Lucjan Zamel. Fot. Marek Grotowski

TOWARZYSKA KRONIKA KULTURALNA

Koncertem zespołu „Samych studentów" otwarto 17. VIII. br. po remoncie Klub „Pegazyk" (jeszcze w tymczasowej siedzibie). O planach Klubu na wrzesień — w następnej

*

Na szczęście wrocławskie BWA nie uznaje „ogórków". I organizuje coraz to nowe wystawy. W Muzeum Historycznym mieszczącym się w podziemiach Wzgórza Partyzantów otwarto interesującą ekspozycję pod nazwą „Plastyk w przemyśle". Można tu podziwiać efektowne szkła, proponowane przemysłowi Wrocławską Wyższą Szkołę Sztuk Plastycznych, szkła produkowane przez niektóre zakłady podlegające Zjednoczeniu „Vitropol", cieszącą się wielkim powodzeniem ceramikę z Wioclawka i innych zakładów Zjednoczenia „Cerpol" oraz tkaninę.

Jak mnie poinformował komisarz wystawy p. Władysław Garnik, wystawa będzie czynna do 25 września br. codziennie (z wyjątkiem poniedziałków) w godz. od 11 do 18. Zachęcamy do oglądnięcia.

*

Wpływ Piłkarskich Mistrzostw Świata na modę zauważyłem na osobie znanego grafika Eugeniusza Stankiewicza — „Getasa". W ubiegłym tygodniu pokazał się w Klubie MPiK w gustownej, piłkarskiej koszulce, co wywołało zrozumiałą zazdrość wśród jego kolegów — Staszka Korsa, Janusza Grzonkowskiego i innych. Przenwał oni nawet z tego powodu bardzo ożywioną dyskusję na tematy ogólnoplastyczne.

*

I znów marsz Mendelssohna zabrzmiał dla jednego z kolegów naszego zespołu. Tym razem dla Czeska Kryczka, kierującego kolumną sportowo-turystyczną „Wiadomości". Odkrył on istnienie swojej „najpiękniejszej" w czasie reporterskich wędrówek w Zakowickich. Tak oto, oprócz reportażu, przywiózł żonę. Pani Helena Bizoń (obecnie pani Kryczek) jest znaną w tamtejszym terenie działaczką kulturalną.

Siedząc na ławce kibiców usłyszałem na własne uszy obustronne „TAK", co z panią Leontyną Gołębiowską stwierdziliśmy własnoręcznym podpisem. Było wiele kwiatów, gratulacji, prezentów, strzałał szampan.

Nowożeńcom życzymy szerokiej i szczęśliwej, nowej drogi!

DZIĘCIOŁ

Cortado, flamengo, corrida - ole!

Kazimierz Koszutski

BOGUSŁAW Śliwiński, znakomity tancerz wrocławskiej Operetki, przebywał od listopada ub. roku przez siedem miesięcy w Hiszpanii na zaproszenie Instituto del Teatro w Barcelonie, a więc w tamtejszej wyższej szkole teatralnej i baletowej, dającej również uprawnienia pedagogiczne — jako wykładowca tańca klasycznego. Relacja z rozmowy o wrażeniach i pożytkach z tej wyprawy jest z konieczności popołudnia i pobieżna jak sama rozmowa, prowadzona w wielile jego wyjazdu na urlop, przy nie dopiętych jeszcze walizkach, kiedy głowę ma się wypełnioną różnymi drobiazgami, o których nie wolno zapomnieć.

Tremę przed tą wyprawą miał pan Bogusław większą niż przed którąkolwiek ze swoich najważniejszych i najtrudniejszych premier: miał przecież uczyć tańca Hiszpanów, w kraju, w którym każdy tancerz, każdy gazeciarz, portier, kelner czy sprzątaczka tańczą w każdej wolnej chwili z upodobaniem i kunsztem ludzącym podziw i zazdrość zawodowych tancerzy; dzieje taniec jest nie tyle narodowym hobby, co nałogiem narodu. W kraju, w którym spontanicznie rodzą się zbiorowe widowiska taneczne, w kraju, w którym taniec towarzyszy wszystkim kościelnym procesjom, w którym zbiorowe tańce celebruje się jak misterią, słowem: gdzie nieomal każda najzwyklejsza, najpowszedniejsza ludzka czynność zawiera w sobie elementy tańca.

Hiszpanie — dla których Polska jest krajem bardziej egzotycznym niż Hiszpania dla nas, wiemy bowiem o niej więcej niż oni o naszej ojczyźnie — przyjęli pana Bogusława z życzliwą podejrzliwością. Dyrektor szkoły, jego współpracownicy, baletmistrze i choreografowie przyglądali się jego pierwszym zajęciom ze studentkami z baczną i czujną uwagą; chcieli sprawdzić, co umie i czy potrafi to przekazać swoim podopiecznym. Oprócz ciekawości zawodowej, artystycznej i pedagogicznej — było w tym również określone zainteresowanie praktyczne, rzeczowe: chcieli mieć pewność, że zrobili dobry interes, angażując Polaka.

Pan Bogusław nie oszczędzał się, nie skąpił swojej wiedzy i umiejętności swoim słuchaczom i podpatrzonych w kraju, zwłaszcza u swojej wytrawnej, wieloletniej partnerki, doświadczonego choreografa i pedagoga — Klary Kmitto, którą dyrekcja barcelońskiego Instituto del Theatro zaprosiła na jesień tego roku jako swego konsultanta, co jest niewątpliwym wyrazem uznania dla tej artystki.

Pospały się propozycje bardzo kuszące i korzystne, również od właścicieli prywatnych szkół tańca, trzeba je było jednak odrzucić z większym lub mniejszym żalem, trudno się było bowiem „zmieścić w czasie", tym bardziej że pan Bogusław postanowił swój pobyt w Hiszpanii wykorzystać również „dla siebie", na swój prywatny niejako, artystyczny użytek: poznać i opanować oryginalne ludowe tańce hiszpańskie, zwłaszcza trudne i piękne flamengo, które być może zobaczymy w nowym sezonie we Wrocławiu.

Hiszpańskie uczennice pana Bogusława wykazywały zdumiewające zdyscyplinowanie i skromność, pilność w przyswajaniu najtrudniejszych nawet elementów klasycznego tańca i serdeczny szacunek dla swojego polskiego maestro; na pożegnanie otrzymał od nich wiele miłych upominków, m. in. oryginalne kastaniety, a od dyrektora przepis na znakomity napój orzeźwiający: cortado. Próbowałem. Napój jest letotnie: olé! Nie jestem jednak upoważniony do ujawniania składników ani receptury, zainteresowani będą musieli więc ubiegać się o osobistą konsultację pana Bogusława...

Zajęcia pedagogiczne wypełniały tak szczelnie jego hiszpański czas, że na bogatsze turystyczne przyjemności, na wycieczki, zwiedzanie zabytków i muzeów Katalonii starczyło go już niewiele. Ale legendarną karawelę Kolumba i co znamienitsze barcelońskie muzea trzeba było obejrzeć koniecznie. No i corridje!...

Obojo: i pan Bogusław, i pani Klara Kmitto, która mu przez pewien czas w Hiszpanii towarzyszyła, bardzo sobie chwalą to widowisko i nie podzielają skłiwych zgorszeń różnych sentymentalnych pięknoduchów. W corridzie nie ma ponoć więcej okrucieństwa niż w dawnych turniejach rycerskich czy we współczesnych widowiskach bokserskich i znacznie mniej niż w zwykłym polowaniu na zające... Widowisko jest ponoć barwne i pasjonujące, a moment, kiedy śmiertelnie ranny byk pada na kolana przed torreadorem, który również przykląka i składa umierającemu zwierzęciu pożegnalny pokłon, ma przejmującą wodę i wymowę...

Sam chciałbym to kiedyś na własne oczy zobaczyć...

W Kłodzku inaczej

Kazimierz Guzik

KŁODZCY działacze kultury dostałyli się imprez, których łączny wkład przekracza siedmdziesiąt stę, przystowiową kopę lat. Dwudziestodziewięcioletnią tradycję na Festiwal Chopinowski w Dusznikach, trzynaście lat na Moniuszkowski w Kudowie, jeszcze razy przedstawiali w Polanicy dorobek artystyczny pracowniczy służby zdrowia, odbyło się już 10 kłodzkich wiosen poetyckich, a w wrześniu też po raz dziesiąty odbędzie się Ogólnopolski Festiwal Filmów Krótkometrażowych Pol — 8.

To tylko w dziedzinie imprez ogólnokrajowych, na co dzień bowiem trudzi się ponad pięćdziesięciu bibliotekarzy nad upowszechnieniem czytelnictwa (najliczniejsza po nauczycielach grupa oświatowa), w klubach świetlicach znajdujemy 23 osoby. Doliczyły tu jeszcze księgarzy, muzealników, plastyków, muzyków, pracowników kin, tych od upowszechnienia prasy i książki „Ruch" (tak, tak, granice są płynne...) — słowem, w powiecie kłodzkim zatrudnionych jest 250 osób. W tym ponad 200 w działalności podstawowej.

Jest kim kierować, jest od kogo wymagać. Jedni podlegają radom narodzin klubów, inni poszczególnym przedsiębiorstwom, instytucjom, jest również dynamiczna transmisja uzdrowiskowo-wczasowa. Jeżeli dodamy jeszcze moc obowiązków związanych z chronicznie ciasnotą lokalową bibliotek, nieodpowiednie pomieszczenia większości świetlic gminnych, remonty — łatwo sobie uświadomić, jakie dziedzictwo osiągnięć i kłopotów miał otrzymać Wydział Oświaty i Wychowania, Kultury, Kultury Fizycznej i Turystyki (taka pełna nazwa) powstały w wyniku reformy władz terenowych.

Kłodzcy działacze i z tego znaleźli świetne gimnadzieje, remonty — łatwo sobie uświadomić, jakie dziedzictwo osiągnięć i kłopotów miał otrzymać Wydział Oświaty i Wychowania, Kultury, Kultury Fizycznej i Turystyki (taka pełna nazwa) powstały w wyniku reformy władz terenowych.

Kłodzcy działacze i z tego znaleźli świetne gimnadzieje, remonty — łatwo sobie uświadomić, jakie dziedzictwo osiągnięć i kłopotów miał otrzymać Wydział Oświaty i Wychowania, Kultury, Kultury Fizycznej i Turystyki (taka pełna nazwa) powstały w wyniku reformy władz terenowych.

Powstały gminne ośrodki kultury w Bierkowicach dla gminy Kłodzko, w Oldrzychowicach dla gminy Żelazno i w Lewinie dla gminy Lewin. Po adaptacji dawnego budynku szkolnego przy ulicy Sienkiewicza w Szczytnej powstanie GOK dla gminy Szczytna Śląska. Po powstaniu z dniem 1 stycznia br. Zespołu Uzdrowiskowego Duszniki, obejmującego Duszniki, Kudowę, Polanice, istnieją sprzyjające warunki po temu, ażeby powstał również polanicki ośrodek kultury z programem dla tych trzech miejscowości. Warto tu dodać, że wiceprzewodniczącym Rady Programowej PZK został dyrektor ZUK mgr inż. Antoni Pieleński.

Jakich korzyści dla kłodzkiej kultury spodziewać się należy po tej reorganizacji? Pozwoli ona na racjonalniejsze gospodarowanie funduszami i kadrami, daje większe możliwości koordynacji przedsięwzięć w poszczególnych placówkach. Skomasowanie podobnych prac administracyjno-gospodarczych pozwoli przerzucić kadry na podstawową działalność merytoryczną, a udział w kolegium zarządu dotychczasowych kierowników (obecnie wicedyrektorów) umożliwi lepszą współpracę między poszczególnymi placówkami. A przede wszystkim zdejmie dotkowy ciężar z Wydziału Oświaty i Wychowania, Kultury Fizycznej i Turystyki.

Za wcześnie wyliczać osiągnięcia, bo właściwie na dobre PZK działa dopiero od stycznia, ale już zauważyć można całościowe spojrzenie na inwestycje w dziedzinie kultury. A więc budowa kosztem 40 mln zł przez Dolnośląskie Przedsiębiorstwo Budowy Obiektów Kulturalnych w następnej 5-latce w lofunkcyjnego ośrodka z salą teatralno-widowiskową, w której znajdzie pomieszczenie również Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna. Przeprowadzi się obliczony na 4 lata remont muzeum bez zamykania sal wystawowych. Brygada wrocławskiego oddziału Pracowni Konserwacji Zabytków w Kłodzku przeprowadzi remont domów przy ul. Armii Czerwonej 11 i Wojska Polskiego 1/3 uznanych za zabytki I kategorii. Będą to domy związków twórczych, BWA i pracowni plastycznej. Do końca bieżącej pięciolatki, tzn. do 1975 r. włącznie, opracowano kompleksowy program remontów, a także budowy w czynie społecznym gminnych ośrodków kultury — według projektów typowych.

Założeniem Powiatowego Zarządu Kultury jest niezdejmowanie odpowiedzialności za działalność placówek terenowych w gminach, z placówek uzdrowiskowo-wczasowych, a także zakładowych. Dlatego też nie dąży się do gromadzenia na jednym kongresie wszystkich funduszów w powiecie, a jedynie do śledzenia kierunków i sposobów wydatkowania tych pieniędzy. Doskonałe działalność Powiatowego Zarządu Kultury będzie się zmierzać do aktywizacji kulturalnej społeczności lokalnych.

NOWE PŁYTY

BARDZO wartościową pozycją w zbiorach każdego prawdziwego melomana będzie niewątpliwie komplet dwu płyt z „JUTRZNIĄ" KRZYSZTOFA PENDERECKIEGO (SXL 0889-90). W realizacji utrwalania dzieła na płytę udział wzięli: D. Ambroziak — sopran; S. Woytowicz — sopran; K. Szczepańska — mezzosopran; K. Pustelak — tenor; W. Denysenko — baś; B. Ładysz — baś; B. Carmeli i P. Lagger — basso profondo; Chór i Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Narodowej pod dyr. A. Markowskiego; Chór Harcerski pod dyr. W. Skoraczewskiego.

Utworów fortepianowych posłuchać można z trzech różnych płyt długogrających wyprodukowanych ostatnio przez Polskie Nagrania.

Przede wszystkim godny polecenia jest longplay z archiwalnymi nagraniami IGNACEGO JANA PADEREWSKIEGO (SXL 0997). Genialny pianista wykonuje utwory Chopina, Liszta, Schuberta, Schumanna i Debussyego.

33 Warianje na temat walca Diabelłego LUDWIGA VAN BEETHOVENA nagrał na longplay (SXL 0996) A. Stefański.

Kompozycje GRAŻYNY BACEWICZ — II Sonata na fortepian, Mazury tryptyk i 10 etiud na fortepian znajdujemy na płycie (SXL 0977) w wykonaniu B. Smendzianki.

I. HANSENSOWE MADRYGAŁY I CHANSONS — to tytuł płyty (SXL 0969), z której wysłuchać można utworów w wykonaniu Cantores Minores Wratislavienses pod dyr. E. Kajdasza.

A. Kulka — skrzypce, S. Kamasa — altówka oraz Orkiestra Kameralna Filharmonii Narodowej pod dyr. K. Teutscha nagrali płytę (SXL 0994) zawierającą Symfonię koncertującą na skrzypce, altówkę i orkiestrę smyczkową Es-dur K. V. 364 oraz Duo B-dur nr 2. K. V. 424 na skrzypce i altówkę WOLFGANGA AMADEUSA MOZARTA.

J. Bucher — organy oraz Orkiestra Kameralna Filharmonii Narodowej pod dyr. K. Teutscha są wykonawcami koncertów organowych GEORGA FRIDERICKA HANDLA, które znajdujemy na dwu longplayach (SXL 0970 i SXL 0971).

Ten przegląd najświeższych pozycji płytowych chciałbym zamknąć propozycją kompletu trzech płyt nie mających nic wspólnego z muzyką (SXL 1029-31). Została na nich utrwalona sztuka LEONA KRUCZKOWSKIEGO „PIERWSZY DZIEŃ WOLNOŚCI", którą czyta Tadeusz Łomnicki.

B. GIER.

JAK TRUDNO, JAK ŁATWO BYĆ OJCEM

Paweł Wołyński

UŻALAMY się nad sobą, ojcowie współczesnych dzieci, jacy my wysadzeni z tradycyjnie przynależnych nam siodeł, jacy wyalienowani we własnych rodzinach, pozbawieni autorytetu. Nasze ojcostwo nie według miar, jakie naszym Panom Ojcom przysługiwały. Rodzicielski tron jest dzisiaj pusty — bolejemy.

A razem z nami boleją nasze dzieci — jeżeli wierzyć wynikom ankiet Francuskiego Ośrodka Badania Opinii Publicznej. Dzieciom także wadzi bezkrólewie. Nie znalazłszy wzorów ani autorytetów poza domem, patrzą na nas z nadzieją, że może jednak trzymamy berło... Znamienne, że ośmiu z dziesięciu zapytanych młodych Francuzów (wiek: 8 do 14 lat) twierdzi, że w ich domu ojciec cieszy się zdecydowanym autorytetem. Spośród tych ośmiu połowa jest zdania, że ojciec sprawuje władzę sam, połowa — że współrządzi z matką. Tylko 15 proc. dzieci sceptycznie ocenia udział ojca w życiu rodzinnym i bez entuzjazmu przyznaje, że w ich domu władzę dzierży matka. Prawdziwy ojciec powinien rządzić, jak na mężczyznę przystało.

Dziecko nie godzi się z innym układem, choć często dalekie jest od gloryfikowania mężczyzny i jego roli w rodzinie. Francuscy badacze zauważyli np., że dzieci bardzo rzadko żartują z matek i ich słabostek. Większość żywi do matki ogromną czułość, zdecydowana mniejszość — zaciekle ją krytykuje. Natomiast ojca traktuje dziecko z pewną dozą humoru, dzięki czemu może sobie pozwolić na dystans, zresztą bardzo życzliwy. Nawet kiedy dziecko boi się ojca, wobec obcych pozwala sobie na demistyfikację jego roli. Ba, dzieci są przeświadczone, że surowość bardziej przystoi matce niż ojcu.

Im dziecko młodsze, tym bardziej podkreśla potrzebę aktywnej obecności ojca w rodzinie i jego władzy. Dla najmłodszych ojciec jest to istota, którą się bardzo kocha i trochę z niej podżartowuje, a jej gesty mają bardzo istotne znaczenie, koją lub pobudzają do śmiechu. Dla dziecka z rodziny rozwiedzionej każda chwila spędzona z ojcem liczy się podwójnie. Dzieci z rodzin akurat rozwodzących się podkreślają zainteresowanie, jakim obdarzają je ojcowie, choć de facto ojców widują rzadko. Widać pragnienia biorą za rzeczywistość.

Z wiekiem dzieci, począwszy od 12 lat, obserwujemy spadek fascynacji ojcem. U dziewcząt objawia się on kontestacją, u chłopców nieco łagodniej — wątpliwościami.

Nawet chłopcy w wieku pokwitania, choć już nie mają złudzeń co do miejsca współczesnego ojca, piszą o matce, która „rządzi", i o ojcu, który słucha, z tym, że ich zdaniem taki układ nie dyskredytuje ojców. Starsze dziewczęta wyrażają o ojcach opinie sprzeczne: bardziej zakochane w tatkach bezkrytycznie przyznają im prawo do pełni władzy i odpowiedzialności, inne — czyżby potencjalne działaczki ruchu kobiecego? — z dezaprobatą mówią o podporządkowaniu dzieci i matki ojcu, bronią prawa matki „do istnienia", władza pana ojca wydaje im się tyranią. Ale — nie wątpią w nią.

Dzieci nie są surowymi sędziami ojców. Wybaczają im permanentną nieobecność, akceptują surowość, przechodzą do porządku dziennego nad brakiem zdecydowania, tłumacza ich wyrozumiale i współczująco. Dużo trudniej wybaczają cechy infantylne, np. brak samokontroli, nieumiejętność panowania nad sobą czy podkreślanie swego ja kosztem innych. Ale i te cechy nie odzierają ojców z nimbu kompetencji i powagi, tak potrzebnych ojcu — opiekunowi i towarzyszowi.

OPOWIADANIE PRZYKŁADNE

CZYJA JEST MOJA ŻONA?

Henryk Worcell

TO SIĘ nam zdarzyło pierwszy raz w życiu. Cała rodzina kompletnie rozbita. Sytuacja dramatyczna, ale najdramatyczniejsza dla żony. Przepraszam – dla matki. Najchętniej opublikowałbym ten felieton na „Dzień Matki" i zadedykowałbym go mojej żonie-nieżonie, to znaczy matce mojego-niemojego syna.

Pierwszy raz coś podobnego. Kompletnie rozbici. Najstarszy syn od trzech lat w Krakowie. Średni pozostał w domu we Wrocławiu. Najmłodszy mknął pospiesznym pociągiem do Przemyśla. Ja przyspieszonym pociągiem jechałem do Warszawy. A moja żona-nieżona też w drodze do Przemyśla, ale w innym pociągu i nie wiadomo z kim. Sprawę muszę przedstawić jasno, bez niedomówień, żeby czytelnik wiedział, kto tu zawinił.

Do tej podróży, do rodziny w ZSRR, moja żona-nieżona przygotowywała się od dłuższego czasu. Skupowała różne drobiazgi, przeważnie materiały o przedziwnych nazwach: bistor, krempolina, teriem, dederon, fiamka, kreton, barchan, nylon, stylon, non iron, non spirit us – to wszystko jako podarunki dla czterech sióstr, dwóch braci i ich żon licznych bratanków i siostrzenic i jeszcze liczniejszych kuzynów i kuzynek. Dużo się tego nazbierało, martwiliśmy się, jak z tymi walizami zdobyć miejsce w pociągu, ale chłopcy dzielnie się spisali, ten starszy, z dużymi łokciami, zajął miejsce w przedziale, a młodszy podawał mu walizki przez okno. Potem ten starszy potęgnął się z nami, a ten młodszy, Andrzej, który miał jechać z mamą, pozostał przy bagażu w przedziale. Jest dopiero godzina 23.30, pociąg do Przemyśla ma ruszyć o 0.19, zaś mój do Warszawy o 23.55. Żona mówi: „Mamy jeszcze dużo czasu, odprowadźcie cię do twojego pociągu". Przeszliśmy z trzeciego peronu na pierwszy, i gdy pociąg nadjechał, łatwo znalazłem miejsce i dłuższą chwilę rozmawialiśmy przez okno. O, dużo mieliśmy do mówienia, bo ja jechałem do Warszawy na trzy dni, w bardzo ważnych sprawach, a ona z Andrzejem na cały miesiąc do Rosji, więc: „Pilnuj się, uważaj, dbaj o siebie, pamiętaj, co doktor Kula mówił, że w twoim wieku... I pamiętaj o Astrunii, trzeba ją karmić codziennie i wodę świeżą dawać, a pamiętaj kwiaty podlewać na balkonie i nie zapomnij kurki od gazu dokręcać, i uważaj z papierosem w łóżku, nie zapal pościeli, i na obiady chodź do baru studenckiego albo gotuj sobie coś chociaż raz na dwa dni, pamiętaj, uważaj na siebie, bo wiesz... No, pa, pa, muszę już pójść, bo tam Andrzejek sam, pewnie się niepokoi, pa, pa..."

Nagle patrzymy, a ten pociąg na trzecim peronie, ten do Przemyśla, rusza z miejsca. Powoli, ale rusza. W kierunku wschodnim. Zwariował, czy co? Ale nie całkiem normalnie nabiera rozpędu, oddala się i znika gdzieś tam w nocnych zakrętach, już go nie ma. Patrzę na żonę, która chwyta się za serce, i mówię:

– Czekaj, czekaj, spokojnie, pewnie doczepiają jakieś wagony, jest dopiero 23.40 on odchodzi 0.19.

Znowu się chwyta za serce, miota się w miejscu, drepcze nogami, wreszcie zrywa się i biegnie gdzieś. Po chwili widzę ją, jak przed moim oknem, zdyszana, ciągle z ręką na sercu, i mówi:

– Milicjanci powiedzieli mi, że to był pospieszny do Przemyśla, który odjeżdża o 23.38, a ten o 0.19 będzie dopiero podstawiony. Boże, Boże, co tam ten Andrzej, biedny Andrzej...

I drepcze znowu, i miota się na wszystkie strony, i znowu gdzieś biegnie. O, święty Tuwimie, który modliłeś się za ludzi spóźnionych do pociągu, teraz cię rozumiem. Okazało się, że pobiegła do informacji, wróciła zdyszana, nieprzytomna, zapatrzona w kierunku wschodnim tak, jakby chciała tam zobaczyć syna.

– Tak – mówi – to był nie nasz pociąg! O, teraz podstawiają ten, co pójdzie o 0.19.

Rzeczywiście, na trzeci peron powoli wjeżdżały wagony, to był właśnie ten pociąg, którym żona z Andrzejem miała jechać do Przemyśla. A w tej chwili Andrzej już gdzieś pod Oławą, a ona...

– To ja wysiadam, rezygnuję z Warszawy!

– Nie, nie! – krzyczy. – Musisz jechać, to ważne sprawy! Tylko daj mi trochę pieniędzy, przecież ja grosza nie mam przy sobie. I lekarstwa też tam zostały! Ej, Boże, Boże, ten Andrzej, ten biedny Andrzej, co on tam...

No, nieprzytomna, całkiem nieprzytomna, ciągle twarzą zwróconą na wschód, zupełnie o mnie zapomniała, nawet nie potegnała się ze mną, wzięła pieniądze, które jej podałem przez okno, i znowu biegnie jakby chciała dopędzić Andrzeja, a przecież dobrze wie, że ten pociąg ruszy dopiero o 0.19 i mowy nie ma o dopędzeniu tamtego. Już jest na trzecim peronie, gorączkowo rozpytuje o coś kolejarza, zdążyła jeszcze machnąć ku mnie ręką, ale tak jakoś jakby nie do mnie, tylko na mnie machnęła, jakby się chciała mnie pozbyć, to już doprawdy nie żona, tylko zwariowana matka. Zupełnie zwariowana.

Trudno mi opisać to, co czułem w chwili, gdy mój pociąg ruszył. Dopiero w tym momencie przyszło mi na myśl, że jednak powinienem był wyskoczyć z pociągu, pojechać z żoną do domu po pieniądze i taksówką gnać za tamtym pociągiem, może byśmy go dopędzili gdzieś w Gliwicach lub Katowicach. Ale później mówiono mi, że ta sztuczka nie udałaby się. I dlaczego nikt z nas nie przyjrzał się dokładnie rozkładowi jazdy. Wszyscy patrzyliśmy na tablicę przy wejściu na peron, wszyscy widzieliśmy: „Przemyśl 0.19", a nikt z nas nie spojrzał na wcześniejszy czerwony napis: „23.38".

W Warszawie czułem się jak struty, pełen wyrzutów sumienia, ciągle mi w oczach ta kobieta biegająca po peronach jak szalona, chwytająca się za serce i całą sobą zwrócona na wschód. Matka, matka! Nic tu się nie da zmienić, na żonę już jej nie nawrócę, nie przerobię.

Po powrocie z Warszawy moje pierwsze pytanie do syna: „Mama telefonowała?". Nie, żadnego telefonu nie było. Źle. Przecież mówiła, że zatelefonuje ze Lwowa. I następnych dni daremnie na ten telefon czekałem. Źle. Jeżeli się z nią coś złego stało... Przecież tak się chwytała za serce. Dzień w dzień o tym myślałem i robiłem sobie wyrzuty, jednak powinienem był wyskoczyć z pociągu, zostać z nią, jechać do Przemyśla. Za późno.

Wreszcie po 14 dniach telefon: „22-03-64" „Tak". „Proszę czekać, Kijów będzie!".

Co za cudowny wynalazek ten telefon! Najcudowniejszy w świecie. Tu Wrocław, a tam Kijów i jej głos: „Henryku!".

Nie mogę nic więcej napisać, bo pani redaktor Bułacik mówi, że już dość, więcej miejsca w „Wiadomościach" nie może mi dać; jeżeli chciałbym opowiedzieć, co dalej było, to mogę opisać w następnym felietonie. Dobrze.

MODA

CHUSTECZKA

Z chusteczki na głowę można wyczarować wiele strojków, niekoniecznie z głową związanych. Ten prawie magiczny kwadrat może mieć wielorakie zastosowanie. Na przykład: chusteczka idealnie może nam zastąpić staniczek plażowy.

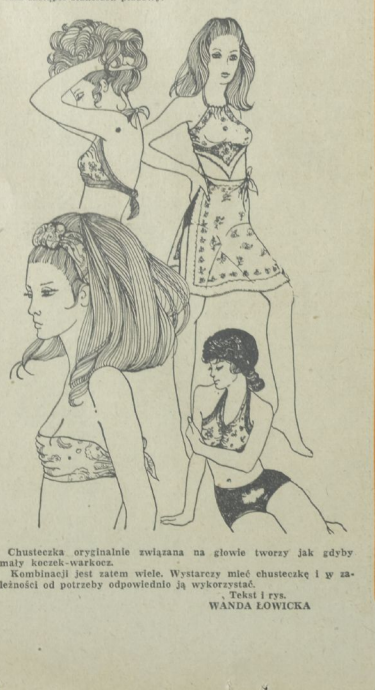

Chusteczka oryginalnie związana na głowie tworzy jak gdyby mały koczek-warkocz.

Kombinacji jest zatem wiele. Wystarczy mieć chusteczkę i w zależności od potrzeby odpowiednio ją wykorzystać.

Tekst i rys.
WANDA ŁOWICKA

Fot. M. Grotowski

KULINARIA

Kartoflana szansa

POZWÓLMY raz ziemniakom zagrać na naszym stole pierwsze skrzypce, niech z niezbędnego wprawdzie, ale drugorzędnego dodatku staną się fundamentem menu. Na przykład jako

INDYJSKIE ZIEMNIAKI CURRY

Pół kilograma ziemniaków obieramy i dzielimy na ćwiartki. W dwóch łyżkach rozgrzanej oliwy smażymy pokrajane w cienkie talarki trzy cebule, które „zabarwiamy" dodatkiem szczypty soli i proszku curry. Gdy cebula zaczoci się, wrzucamy do niej ziemniaki i smażymy delikatnie mieszając – z 15 minut. Teraz zalewamy je gorącą wodą i gotujemy, aż ziemniaki „dojdą". Cedzimy, podajemy gorące.

Indyjskie ziemniaki zyskają na smaku, gdy podamy je z ostrymi przystawkami.

Mleko w plecaku

NIE TAK dawno dworowały sobie przedszkolaki z Kaczki-Dziwaczki, która chciała kupić miska pięć deseków, i to bodaj w aptece. Działaj mleko na deka możemy kupić w każdej mleczarni, a nawet w wielu sklepach spożywczych. Przed uroczywymi wojażami radzimy zapatrzyć się w sproszkowane mleko typu „instant", nowość, której znawcy wróżą powodzenie.

Rozważmy tylko jego zalety: nie wylewa się, nie kwaśnieje, zajmuje niewiele miejsca, jest bardzo wygodne w użyciu: wystarczy do szklanki ciepłej wody wsypać zawartość małej paczuszki i łekko zamieszać: szklanka smakowitego i pełnowartościowego mleka już gotowa. 100 gramów mleka w proszku typu „instant" zawiera 340 kalorii, jest to więc mleko chude, nie muszą się go wyrzekać ludzie skarżący się na nadwagę. Na 100 g mleka składa się m.in. 6 g wody, 35,8 g białka, 0,8 g tłuszczu, 52 g węglowodanów, 1240 mg wapnia, 1000 mg fosforu, 2 mg żelaza i typowy dla mleka zestaw witamin.

Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska w Lubawie, która jest monopolistycznym wytwórcą tego produktu w Polsce, dostarcza mleka „instant" w trzech rodzajach opakowań: po 500 g — za 18,50 zł, po 250 g za 10,50 zł oraz w porcjach na jedną szklankę po 22,5 g za 2,40 zł.

Dzięki tak spreparowanemu mleku możemy na poczekaniu przyrządzić nie tylko smaczne mleko czy białą kawę, ale i wszelkiego rodzaju mleczne cocktaile.

(ow)

WROCŁAWSKIE PRZEDSIĘBIORSTWO INSTALACJI PRZEMYSŁOWYCH
Wrocław, ul. Swojczycka 38, tel. 830-55

ZATRUDNI NATYCHMIAST

następujących pracowników dla potrzeb budów Legnicko-Głogowskiego Okręgu Miedziowego i Jelczańskich Zakładów Samochodowych oraz pozostałych jednostek organizacyjnych:

— MONTERÓW urządzeń i instalacji ogrzewczych powietrznych, wod.-kan. i gaz. izolacji termicznych, rurociągów technologicznych oraz kotłów przemysłowych i energetycznych.
— SPAWACZY gazowych i łukowych z uprawnieniami podstawowymi i specjalistycznymi.
— ŚLUSARZY I BLACHARZY — do pracy w zakładach prefabrykacji we Wrocławiu i Cieplicach.
— MECHANIKÓW żurawi samojezdnych, koparek i sprężarek oraz
— KIEROWCÓW SAMOCHODOWYCH — kat. II i III z praktyką.
— ROBOTNIKÓW niewykwalifikowanych na pomocników monterów, ładowaczy, kopaczy i do przyuczenia w wybranym zawodzie.
— INŻYNIERÓW I TECHNIKÓW SANITARNYCH na stanowiska kierowników robót, majstrów, techników budów i inspektorów bhp oraz organizacji pracy — magazynierów.

Reflektujemy również na pracowników w w/w zawodach, którzy byli zatrudnieni na budowach eksportowych.

Każdemu nowo zgłaszającemu się pracownikowi przedsiębiorstwo zabezpiecza zakwaterowanie w hotelu robotniczym lub na kwaterach prywatnych oraz pozostałe uprawnienia wynikające z Układu Zbiorowego Pracy w Budownictwie i innych obowiązujących przepisów.

Praca w akordzie zryczałtowanym, zwykłym lub kompleksowym.

Wysoko kwalifikowanym monterom, spawaczom, ślusarzom, blacharzom i innym pracownikom przedsiębiorstwo gwarantuje przydział mieszkań na Dolnym Śląsku na ogólnie obowiązujących warunkach praktykowanych w spółdzielczości mieszkaniowej.

Zgłoszenia przyjmuje Dział Osobowy WPIP, Wrocław, ul. Swojczycka 38, tel. 630-55 oraz Zarządy Robót WPIP Zagłębia Legnicko-Głogowskiego, Rudna, Szyb Główny, telefon 513-42 i Wrocław, ul. Kwidzyńska nr 4, telefon 25-23-58 i 25-29-01. 282-k

WIADOMOSCI PROPONUJĄ: ZOBACZYĆ, USŁYSZEĆ, PRZECZYTAĆ, ZWIEDZIĆ

KINO

DNI ZDRADY

PRZYPOMNIJMY sobie wydarzenia poprzedzające drugą wojnę światową. Oto noc z 29 na 30 września 1938 roku — Monachium — Hitler, Mussolini, Daladier i Chamberlain podpisują układ, który przejdzie do historii pod nazwą monachijskiego. Za cenę czechosłowackich pogranicznych terytoriów oddanych na jego mocy faszystowskim Niemcom, pokój brytyjscy i francuscy mieli nadzieję uratować pokój światowy. Film **Otakara Vavry** jest rekonstrukcją tamtych tragicznych dla Czechosłowacji dni. Patrząc na ekran mamy niekiedy wrażenie, że oglądamy autentyczne zdjęcia tajnych rokowań dyplomatycznych. Realizatory bowiem znaleźli aktorów łudząco podobnych do ówczesnych polityków. Film, odsłaniający tajemnice dyplomatycznej gry, wzbogaciły tajne dokumenty, udostępnione niedawno przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych Wielkiej Brytanii oraz zdjęcia nadesłane przez syna byłego nadwornego fotografa Hitlera.

PÓJDZIESZ PONAD SADEM

CZWARTY film **Waldemara Podgórskiego** — po „Hasłe Korn", „Południku zero" i „Na krawędzi" — zajmuje w twórczości tego reżysera pozycję odrębną. Poprzednie były filmami sensacyjnymi, natomiast „Pójdziesz ponad sadem" jest utworem psychologiczno-obyczajowym, podejmującym problematykę konsekwencji typowego dziś awansu społecznego ludzi młodych, którzy poprzez wykształcenie przechodzą ze wsi do miast.

Scenariusz oparty został na powieści Ryszarda Binkowskiego, ukazującej 17-letniego chłopca, który decyduje się na samodzielne życie, by po śmierci ojca spełnić jego marzenie o lepszym losie syna. Ojcowe „ty Franek pójdziesz ponad sadem" wyzwala w chłopcu ogromną ambicję: mimo przeszkód, na przekór własnym słabościom i nawet wbrew woli starszego brata — Franek łączy naukę z pracą, zaś trudności i wynikające ze zmiany środowiska niepowodzenia hartują go i wydorośląją. Wartość tego subtelnego, utrzymanego w pogodnym nastroju filmu podnoszą dojrzałe kreacje młodych aktorów: **Krzysztofa Stroińskiego, Józefa Osławskiego i Bożeny Dykiel. Polecam!**

EWELINA

MUZYKA

DRODZY MELOMANI!

JUŻ TYLKO kilka dni dzieli nas od największego święta muzycznego Wrocławia — od Wrocławskiego Festiwalu Oratoryjno-Kantatowego „Wratislavia Cantans". Kto jeszcze nie zapewnił sobie biletów wstępu niech prędko to zrobi, gdyż spodziewany jest w tym roku duży zjazd gości z całej Polski a nawet z zagranicy.

Program IX Wratislavia Cantans jest niezwykle interesujący. Dziś podam tylko zespoły, które gościć będziemy we Wrocławiu w czasie naszego festiwalu, a w następnych felietonikach dokładnie poinformuję melomanów o programach wszystkich koncertów.

A więc gościć będziemy Orkiestrę i Chór Filharmonii Narodowej pod dyrekcją kierownika artystycznego Festiwali Andrzeja Markowskiego; głośny w całej Europie zespół instrumentów dawnych „Fistulatores et Tubicinatores Varsovienses" pod dyrekcją Kazimierza Piwkowskiego; Warszawską Operę Kameralną i zespół „Musicae Antiquae Collegium Varsoviense" z solistami, madrygalistami i zespołem instrumentów dawnych pod dyrekcją Macieja Jaśkowicza; Orkiestrę Filharmonii Pomorskiej z Bydgoszczy pod dyrekcją wybitnego dyrygenta Antoniego Wita; Chór Radia i Telewizji ze Skopje w Jugosławii pod dyrekcją Dragana Suplewskiego; Orkiestrę i Chór Filharmonii Słowackiej z Bratysławy pod dyrekcją Ladislava Slovaka; Krakowski Chór i Orkiestrę Polskiego Radia i Telewizji z Krakowa pod dyrekcją Krzysztofa Missony; Zespół Instrumentalny Rundfunk-Sinfonieorchester z Lipska pod dyrekcją Horsta Neumanna, no i naturalnie niszczyć „Cantores Minores Wratislavienses" pod batutą Edmunda Kajdasza.

A solści? Dawno już nie słyszeliśmy tylu tak znakomitych wykonawców. Usłyszymy bowiem m.in. Stefanię Woytowicz, Kazimierza Pustelaka, Edmunda Kossowskiego, Jerzego Artysza, Leonarda Andrzeja Mroza, Krzysztofa Kolbergera, Gabrielę Banaczkową, Lubą Baricovą, Wilemę Pribyla, Józefa Sroczka, Alicję Marczak-Faberową, Delfinę Ambroziak, Rosithę Trexter — to wokaliści. A prócz tego instrumentalistów z NRD: Ernö Klepoch, Petera Wöpke, Heinza Fügnera, Rudolfa Bartla, Hansa Roschnera i Gerhardta Erbera.

Wykonana zostanie muzyka starych mistrzów, muzyka romantyczna i kompozytorów XX-stulecia. M.in. po raz pierwszy w Europie na jednym koncercie usłyszymy wszystkie motety Jana Sebastiana Bacha (naturalnie w wykonaniu „Cantores Minores Wratislavienses"), starą muzykę dawnych mistrzów polskich w oryginalnym brzmieniu wykonywaną na dawnych instrumentach, nieznaną zupełnie kantatę „Lello" Berlioza, staropolskie kolędy i pastorałki, utwory mistrzów renesansu, „Requiem" Dworzaka, Cl. Debussy'ego nie wykonywaną jeszcze we Wrocławiu kantatę „La Demoiselle Elue", utwory Karola Szymanowskiego, Henryka Górecki'ego, Krzysztofa Penderecki'ego („Kosmogonia"), Zbigniewa Turskiego, Tadeusza Bairda, dwa wspaniałe utwory ojca „dodekafonii" Arnolda Schönberga „15-poematów" i „Pierrot Lunaire"... W dodatku fachowcy będą mieli po raz pierwszy we Wrocławiu okazję uczestniczenia w sesji naukowej, poświęconej muzyce kantatowej, na której referaty wygłoszą Bogdan Pociej, Józef Bok, Eugeniusz Sąsiadek, Marian Wallek-Walewski, Krzysztof Missona, Władysław Malinowski...

Doprawdy jest w czym wybierać!

W. UCHO

PS. Operetka Dolnośląska wystawia nadal z ogromnym powodzeniem „Hello, Dolly". Kto nie pojedzie do Dusznik wybierza się zapewne do Wrocławskiej Operetki.

W.U.

„Cantoress Minores Wratislavienses" wykonują na IX Festiwalu „Wratislavia Cantans" po raz pierwszy w Europie wszystkie motety J. S. Bacha na jednym koncercie.

Fot. A. Hawałej

KSIĄŻKI

TAJEMNICE DYPLOMATYCZNEGO SEJFU

WŚRÓD literatury pamiętnikarskiej na szczególną uwagę zasługują wspomnienia nieżyjącego już Alfreda Wysockiego (1873–1951), który przez cały okres międzywojenny pracował w polskiej dyplomacji, zajmując wysokie i odpowiedzialne stanowiska. Zostawił po sobie wspomnienia spisane w kilku ogromnych tomach, zawierające wiele interesującego materiału o wielkiej wadze historycznej. Pamiętniki zakupiła od autora Biblioteka Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. W 1956 r. ukazał się nakładem „Wydawnictwa Literackiego" tom wspomnień zatytułowany „Sprzed pół wieku", ukazujący życie autora od wczesnej młodości po 1914 r.

Obecnie wyszła w wydaniu książkowym druga część wspomnień obrazująca lata pracy w dyplomacji A. Wysockiego. Niektóre materiały zawarte w tym tomie drukował w odcinkach od 1969 r. „Tygodnik Kulturalny" pod tym samym tytułem, którym opatrzona jest publikacja zbiorcza. Otwierają ją wspomnienia utrwalone w szkicowym zarysie z lat dwudziestych, kiedy to Alfred Wysocki był kolejno urzędnikiem, a następnie chargé d'affaires w Berlinie, inspektorem polskich placówek zagranicznych z siedzibą w Paryżu, posłem w Sztokholmie i, w latach 1928—1931, wiceministrem spraw zagranicznych. Z tego stanowiska odszedł do Berlina jako poseł polski. Istotną treść pamiętników stanowi właśnie okres jego służby w Berlinie (1931–1935), i w Rzymie na stanowisku ambasadora (1933—1938). z tym że włoska część wspomnień jest dużo obszerniejsza i dokładniejsza, oraz obfituje wzbogacona cytatami z raportów, stenogramów z rozmów itp.

W pamiętnikach Wysockiego odnajdziemy nie tylko klimat dyplomacji europejskiej lat trzydziestych podmalowany barwnym materiałem anegdotycznym i obyczajowym. Ukazują one mechanizm funkcjonowania ówczesnej dyplomacji polskiej, a także rzucają snop światła na politykę niemiecką, włoską, francuską i brytyjską w aspekcie jej międzynarodowego działania.

Pamiętniki, spisane nie tylko na podstawie własnej pamięci, ale głównie na materiałach źródłowych, mają wartość bezcennego dokumentu, stanowiąc interesujący przyczynek do najnowszej historii Polski i Europy.

Alfred Wysocki: TAJEMNICE DYPLOMATYCZNEGO SEJFU. Warszawa 1974 r. „Książka i Wiedza", s. 604, cena 90 zł.

WOJNA I PIÓRO

Miłośnicy talentu Melchiora Wańkowicza na pewno z wielką radością powitali jego nową książkę, w której autor zabłysnął i błyskotliwym piórem i rozległą erudycją w dziedzinie sztuki wojennej. Prawdziwa kopalnia informacji okraszonej anegdotami i przypowieściami nie tylko na temat roli i pracy korespondenta wojennego, choć ta funkcja książki została wyłącznie w tytule uwypuklona.

„Wojna i pióro" to prawdziwe studium socjologiczno-psychologiczne, ukazujące w kontekście autorskich komentarzy, przemyśleń i refleksji najróżnorodniejsze problemy związane z wojną, zawsze w bardzo wszechstronnym, oryginalnym, ale także kontrowersyjnym oświetleniu.

Część pierwsza książki poświęcona jest człowiekowi i wojnie, część druga — wojnie i człowiekowi. „Porządek więc tu jest odwrócony — pisze autor w słowie wstępnym. — W pierwszej rozważania są przepłatane przykładami. W drugiej przykłady wojennych korespondencji są przeplatane rozważaniami".

Rozważania dotyczą m. in. morale wojska, strachu i bohaterstwa, dyscypliny wojskowej i poczucia obowiązku, honoru i odwagi, która omówiona została w szerokiej gamie odcieni, bo „skoro strach nie jest tylko czarny — tłumaczy autor — to i odwaga nie jest tylko biała. (...) Inaczej się objawia nie tylko u jednostek, ale u narodów". W rozdziale poświęconym tym zagadnieniom odnajdziemy bardzo ciekawy esej na temat gatunku polskiej odwagi. Skoro już mówimy o tych najbardziej interesujących treściach książki, to dodajmy, że należą do nich przede wszystkim te rozdziały, w których autor zestawia podobieństwa zwłaszcza wojny poprzez wieki i granice, a także ukazuje odbicie tych zjawisk w twórczości pisarskiej od korespondencji wojennej poprzez reportaż do utworów beletrystycznych. Pokazane zostały nie tylko próbki stylów pisarskich różnych czasów, różnych wojen i różnych narodów, ale podkreślony został wpływ epok, stylów i charakterów narodów na sposób kształtowania się relacji historycznej.

„Wojna i pióro" to lektura pierwszorzędna nie tylko dla ludzi interesujących się zagadnieniami wojen. To książka dla wszystkich, ale obawiam się, że trudno będzie ją kupić, bo utwory Melchiora Wańkowicza znikają błyskawicznie z półek księgarskich.

MELCHIOR WANKOWICZ przy współpracy Aleksandra Horodyńskiego: WOJNA I PIORO. Warszawa 1974 r. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony, s. 577, cena 80 zł.

ZDOBYWAMY AMAZONKĘ

Odrywając się od poważnych problemów, przeniesimy się w świat barwnej przygody, którą otwiera przed nami powieść A. Fiedlera, opowiadająca o jednej z pierwszych wypraw autora nad Amazonkę i Ukajali, gdzie po raz pierwszy usłyszał śpiewające ryby: „Śpiew był tak osobliwy i harmonijny, przy czym zjawisko tak oszałamiające, że mimo woli po pewnym czasie ogarniało mnie uniesienie, jakiego czasem doznawało się na sali koncertowej. Zapomniałem o komarach, o zachodzie słońca. Wsłuchiwałem się urzeczony i znowu uprzytomniłem sobie, że odrębność było w tej dziwnej puszczy". Z tego koncertu ryb narodził się właśnie tytuł pięknej powieści „Ryby śpiewają w Ukajali", którą na pewno wszyscy znamy, bo nie czytać książek Fiedlera, to znaczy dobrowolnie zubożać się o niepowtarzalne wrażenia.

„Zdobywamy Amazonkę" — to klasyczna już pozycja w dorobku autora, ale nic nie straciła ze swego pierwotnego uroku. Koniecznie trzeba ją przeczytać, podobnie jak „Drogę na Horn" w której Krzysztof Baranowski opowiada o swej samotnej żegludze dookoła świata i opłynięciu groźnego Przylądka Horn. Książka napisana jest żywo i obfituje w wiele dramatycznych momentów.

Arkady Fiedler: ZDOBYWAMY AMAZONKĘ. Warszawa 1974 r. „Iskry", s. 237, cena 18 zł.

Krzysztof Baranowski: DROGA NA HORN. Warszawa 1974 r. „Iskry", s. 314, cena 28 zł.

MÓL

WYSTAWY

NA RATUNEK WYKOPALISKOM

GDY koparki zaczęły na Trasie W-Z drążyć wykopy, Muzeum Archeologiczne wysłało na ten teren ekipę pod kierunkiem mgr Franciszka Slosera w celu poszukiwań materialnych śladów kultury dawnego Wrocławia.

Archeolodzy penetrują teren na głębokości 5—6 m, a do ich cennijszych odkryć należy m. in. znaleziony na odcinku ulic Kazimierza i Świdnickiej fragment drewnianego rurociągu wodnego, prawdopodobnie z XVI—XVII w. A ponieważ — jak przypuszcza mgr Sloser — wodociąg znajdował się na Kocej Górce, czyli na dzisiejszym placu Dzierżyńskiego, istnieje szansa natrafienia przy dalszych wykopach, na jego ślady.

Z głębin Trasy W-Z archeolodzy wydobyli już wiele różności, m. in. fragmenty szkła, obuwia skórzanego, wielorakie przedmioty metalowe, ceramiczne, a nawet buteleczkę z lekarstwem, zamkniętą kauczukowym korkiem. Można to wszystko sobie obejrzeć, bo znaleziska po oczyszczeniu, ale jeszcze przed ich zbadaniem i klasyfikacją przez specjalistów, wędrują prosto do gabloi, rozmieszczonych w hallu Muzeum Archeologicznego. Naturalnie, te eksponaty mogą przemówić wyłącznie do ludzi obdarzonych wyobraźnią historyczną, ponieważ poza nielicznymi wyjątkami, jak np. w przypadku demonicznej głowki satyra, ślicznego kafelka z herbami cesarstwa austriackiego, czy kilku złotych monet, są to przedmioty zwyczajnie mało efektowne.

Archeolodzy pracują w trudnych warunkach — wodzie i błocie, bo wykonawca robót nie śpieszy się z osuszaniem terenu. A w dodatku, gdy koparki dotarły na przedpole placu Dzierżyńskiego do trudnych warunków dodziś jeszcze niszczące ora nerwów. Tutaj bowiem natrafiono w głębszej warstwie ziemi na bezcenne przedmioty: złote medale i monety, które stały się natychmiast obiektem pożądania różnych nieuczciwych ludzi. Zaczęli oni grzebać w ziemi na własną rękę i sprzedawać wydobyte z niej przedmioty paserom z Wrocławskiej. Kierownik ekipy archeologicznej nie raz wzywał na pomoc pogotowie milicyjne, ale to się na nic nie zdało, bo zanim ono przyjechało to „poszukiwacze" złota ulotnili się niczym kamfora.

Dziwi, że po pierwszych sygnałach archeologów o tym, co się dzieje na placu Dzierżyńskiego nie zabezpieczono terenu, wskutek czego wiele bezcennych wykopalisk przepadło.

OGLĄDACZ

TELEWIZJA

22—28. VIII. 1974 r.

czwartek

9.00 — Poranek TV najmłodszych. 10.05 — „Al Capone i inni". 16.30 — Dziennik. 16.40 — „Dunajska stal". 17.00 — Telefenie. 18.15 — Kronika Warszawy i Mazowsza. 18.35 — „Rumunia w okresie 30-lecia". 19.00 — Wystąpienie ambasadora Socjalistycznej Republiki Rumunii. 19.20 — Dobranoc. 19.30 — Dziennik. 20.20 — **XIV Międzynarodowy Festiwal Piosenki — SOPOT 74 — I DZIEŃ PŁYTOWY.** W przerwie — reportaż. 22.35 — Dziennik. 22.50 — Wiadomości sportowe.

Program II

17.05 — „Znane i nieznane". 17.50 — „Kraków w XV i XVI wieku". 18.00 — Polskie filmy animowane. 18.10 — Za kierownicą. 18.40 — „Pod pułapem nieba". 19.20 — Dobranoc. 19.30 — Dziennik. 20.20 — Kalejdoskop sportowy. 20.35 — **„Szalona głowa"** — film jug. 22.00 — 24 godziny. 22.10 — Portrety XXX-lecia „Jastrzębie".

piątek

9.00 — Z serii „Janosik" — odc. pt. „Tańcowali zbójnicy". 10.00 — „Oblicza bandy" — film bułg. 16.30 — Dziennik. 16.40 — „Najpierw robiłem latawce" — reportaż. 17.10 — Studio Wakacyjne TV Młodych. 17.40 — „Trzy oblicza folkloru". 18.10 — Wrocławski Blok Rozmaitości. 18.30 Panorama. 19.10 — Przypominamy, radzimy. 19.20 — Dobranoc. 19.30 — Dziennik. 20.20 — **XIV Międzynarodowy Festiwal Piosenki — SOPOT 74 — II DZIEŃ PŁYTOWY.** W przerwie wiadomości sportowe. 22.35 — Dziennik.

Program II

16.15 — „Rumunia dziś" — film. 17.15 — „Mieczysław Szczuka". 17.45 — „Małżeństwa z rozsądku" — odc. IV. 19.20 — Dobranoc. 19.30 — Odc. I filmu NRD. 21.15 — Wiadomości sportowe. 21.25 — Wrocławskie spotkanie z piosenką. 21.40 — Interstudio. 22.20 — Dziennik.

sobota

8.45 — Program I proponuje. 9.00 — Poranek TV najmłodszych. 10.00 — Ekran Wspomnień — „Prawo i pięść" — film polski. 12.00 — Dziennik. 12.20 — „U progu domu O" — film polski. 13.15 — Reportaż z moskiewskiej szkoły choreograficznej. 13.35 — „Rok ostatni" — film. 14.25 — „Czerwone żagle". 15.00 — „Folder Trasy Łazienkowskiej. 15.40 — Szare na złote. 16.10 — „Z najlepszymi życzeniami dla huty". 17.40 — Pegaz. 18.25 — Z serii „Janosik" —film pt. „Tańcowali zbójnicy". 19.20 — Dobranoc. 19.30 —MONITOR. 20.20 — **XIV Międzynarodowy Festiwal Piosenki — SOPOT 74 —** DZIEŃ POLSKI. W przerwie Dziennik. 22.40 — Wiadomości sportowe. 23.00 — Z serii „Al Capone i inni" — film USA.

Program II

16.00 —Spotkanie z reporterem — Jerzym Pyrkoszem. 16.30 — Spotkanie na Morawach. 16.55 —„Wiem wszystko" — teleturniej. 17.25 — Spotkanie z Warszawą. 17.55 — Mała Encyklopedia zwierząt. 18.30 — SERGIUSZ Prokofiew — V Symfonia. 19.20 — Dobranoc. 19.30 — MONITOR. 20.20 — „Co się zdarzyło z profesorem" — film OSRS. 21.55 — 24 godziny. 22.05 — Spotkanie z STS-em.

niedziela

7.10 — TV Technikum Rolnicze. 8.00 — Przypominamy, radzimy. 18.10 — Nowoczesność w domu i zagrodzie. 8.35 — Bieg po zdrowie. 8.50 — „Pożegnanie z Petersburgiem" — film radz. 10.30 — Ex libris. 10.40 — Koncert Niedzielny. 11.15 — Klub Sześciu Kontynentów. 12.00 — Dziennik. 12.20 — Program wiejski. 12.35 — „Upadek Imperium" —progr. publ. 13.05 — Nie tylko dla pań. 13.35 — „Krasnoludków tańcowanie" — reportaż. 14.05 — Radar. 14.20 — Studio Muzyki Rozrywkowej. 14.50 — Losowanie Toto-Lotka. 15.05 — „Przyroda Polska. 15.20 — „My 74" — teleturniej. 16.00 — „Wszystko za wszystko" Krzysztof Baranowski. 17.15 — Estrada Poetycka. 17.25 — „Paryska taksówka" — (odc. V) — film. 18.20 — Sprawozdawcze magazyn sportowy. 19.15 — Dobranoc. 19.30 — Dziennik. 20.20 — **XIV Międzynarodowy Festiwal Piosenki — SOPOT 74 — KONCERT LAUREATÓW I KONCERT GALOWY.** W przerwie ok. 22.35 — Informacyjny magazyn sportowy.

Program II

13.45 — „Gospodarność i ja". 14.00 — Fragmenty sławnych baletów. 14.25 — Militaria, obronność, nowoczesność. 15.00 —MOTYWY. 15.30 — „Serenada bosmana". 16.00 — „Żywoty pań sławnych". 17.05 — Świat, obyczaje, polityka. 17.35 — Złota nuta. 19.15 — Dobranoc. 19.30 — Dziennik. 20.20 — Ekran Wspomnień „Chudy i inni" — film polski. 22.05 — „Sam na sam z Tadeuszem Łomnickim".

poniedziałek

16.15 — Oferty. 16.30 — Dziennik. 16.40 — Echo stadionu. 17.05 — Telefenie. 18.35 — Wrocławski Blok Rozmaitości. 19.05 — Pejzaż północny. 19.20 — Dobranoc. 19.30 — Dziennik. 20.20 — Teatr TV. Erskine Caldwell **„Lipcowe tarapaty".** Wystąpią: **Renata Kossobudzka, Janusz Gajos, Janusz Bukowski** i in. 21.40 — Krakowskim targiem. 22.10 — Gra grupa „Gramina" — jazz.

Program II

17.55 — Program II proponuje. 18.05 — Lata w starym kraju. 18.25 — Sport u sąsiadów. 19.20 —Dobranoc. 19.30 — Dziennik. 20.20 — W kręgu kultur i obyczajów. 21.35 — Zapraszamy na koncert. 22.00 — 24 godziny. 22.10 — „Kolumbowie" — (odc. 4).

wtorek

9.00 — Poranek TV najmłodszych. 10.05 — „Śledem romansów don Juanity" — film NRD (odc. I). 11.00 — „Parska taksówka" — (odc. 5). 16.30 — Dziennik. 16.40 — „Warszawskie tango". 17.10 — Spacerkiem po kinach. 17.40 — Sposób na lato. 18.10 — Kronika Warszawy i Mazowsza. 18.30 — „Będą tańczyły topole i wierzby". 19.10 — Przypominamy, radzimy. 19.20 — Dobranoc. 19.30 — Dziennik. 20.20 — „Śledem romansów don Juanity" — Kino „Interesujących Filmów „**Biały ptak z czarnym znamieniem**" — film radz. 21.35 — Wiadomości sportowe. 22.05 — „Blachownia" — reportaż. 22.35 — Spotkanie z pisarzem. 23.00 — Dziennik.

Program II

17.25 — Polski film dokumentalny. 18.25 — Teatr TV. A. Mickiewicz „Pan Tadeusz". Księga 4 — „Dyplomatyka i łowy". 19.20 — Dobranoc. 19.30 — Dziennik. 20.20 — „Zapraszamy na wtorek" — Marek Grechuta. 21.00 — Loża. 21.45 — 24 godziny. 21.55 — „**Kolumbowie**" — (odc. 5) ostatni pt. „Śmierć po raz drugi"

środa

10.00 — „Biały ptak z czarnym znamieniem" — film radz. 16.30 — Dziennik. 18.40 — „Błyskotliwe diwertimenty" — film baletowy. 17.00 — Klub miłośników sztuki — Zbiory z Oceanii. 17.35 — Losowanie Małego Lotka. 17.45 — „144 przebieje" — program rozrywkowy. 18.35 — Wrocławski Blok Rozmaitości. 18.55 — „Z siedmiu anten". 19.20 — Dobranoc. 19.30 — Dziennik. 20.20 — Informator turystyczny. 20.50 — Rozkosze łamania głowy. 21.20 — 24 godziny. 21.30 — Wolny dzień i co dalej.

TVP zastrzega sobie możliwość zmian w programie.

wiadomości

Redaguje kolegium w składzie: Władysław Bielowicz (redaktor naczelny), Romuald Nader, Marian Orzechowski, Bronisław Pasierb, Witold Stankiewicz (zastępca redaktora naczelnego), Janina Wojtanowicz (zastępca redaktora naczelnego). Adres redakcji: 50-505 Wrocław, ul. Kudowska 8. Telefony: 130-63 red. naczelny i sekretariat, 717-11 zastępcy red. naczelnego. Biuro Ogłoszeń: Wrocław, ul. Masowiecka 12, tel. 357-55. Wszystkich informacji udzielają placówki „Ruchu" i poczty. Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Wydawca — Wrocławskie Wydawnictwo Prasowe, RSW „Prasa — Książka — Ruch". Druk — Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Wszelkich informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe oraz jednostki Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki, RSW „Prasa — Książka — Ruch".

Numer indeksu: 35302.

KRZYK MELINY MERCOURI

Wróciwszy z demonstracyjnej emigracji Melina Mercouri („Nigdy w niedzielę") nie mogła się na ulicach Aten powstrzymać od krzyku radości. Rozentuzjazmowane tłumy uważały jej powrót — podobnie jak powrót kompozytora jej piosenek, Mikisa Theodorakisa — za symbol wyzwolenia.

ŹRÓDŁO ROZGŁOSU

Włoska aktorka Sandra Milo, którą znamy z filmów „Osiem i pół" oraz „Julia i duchy", od dłuższego już czasu nie ma żadnego engagement. Ostatnio jednak znów o niej w Rzymie głośno, choć powód tego rozgłosu jest dość szczególny. Otóż bowiem podczas porywistego wiatru wdzierał się fotoreporter i zarejestrował na zdjęciu, że bez robotnic [illegible] chodzi bez [illegible] właśnie tak, jak na tym zdjęciu. Czy chce w ten sposób ułatwić sobie powrót do pierwotnego zawodu (jako modelka pozowała do aktów), nie wiadomo.

MKNĄ PO SZYNACH...

Dresdeński stomatolog dr Günther Walter kolekcjonuje modele tramwajów. Ma ich czterdzieści, przy czym każdy reprezentuje inny okres dziejów tego środka komunikacji miejskiej. Najstarszy — to wóz o silniku gazowym z roku 1894, najnowszy — czechosłowacka „Tatra" o opływowych kształtach, taka, jakich ponad dwieście „w oryginale" kursuje obecnie po Dreźnie.

PIESZCZOSZEK

Inspektor policji Brian McConnell, któremu powierzono ochronę Miss Świata 1974, 19-letniej Marjorie Wallace, został zawieszony w czynnościach służbowych. Wypełnił bowiem swoje miejsce „zbyt skrupulatnie" i dosłownie do tego, że piękna pupilka wobec wszystkich nazywała go czule „pieszczoszkiem".

DYSTANS

Z okazji niedawnych — siedemdziesiątych — urodzin zadano znakomitemu aktorowi francuskiemu Jeanowi Gabinowi pytanie, czy ogląda w telewizji swoje filmy (występował w 97). Odpowiedź brzmiała:

— Tak, zwłaszcza stare. Wtedy bowiem mam wrażenie, że ten, kogo na nich widzę, to mój syn.

NA PLAŻY

Było ostatnio kilka dni prawdziwego lata, ale Jane Fonda uważa, że to jeszcze za zimno...

tł.

POTOP

KRZYŻÓWKA NR 34

POZIOMO: 1) okrągła rocznica, 6) dzik osesek, 10) jacht L. Teligi, 11) zarwyczaj w centrum miasta, 12) dążąca, na wpół stała masa, 13) typ systemu pieniężnego, 15) osamotnione dziecko, 17) autor historycznej powieści o Erazmie z Rotterdamu, 19) sprawdzian szczęścia, 21) podnieta, podszept, 22) nosiciel parostków, 24) gatunek małej dzikiej kaczki, 26) bankructwo, 28) NH_4Cl, 30) narzędzie ciesielskie, 32) Kołodziejowa, 33) aktor ma stracha, 34) tysiąc milimetrów, 35) rodzaj zamknięcia, 36) szumiał nad nią gaj.

PIONOWO: 1) nie uznaje mięsa, 2) opaska papierowa na przedmiocie, 3) niepowaźnie ustosunkowany do życia, 4) nadaje trwałość negatywom albo pozytywom, 5) złośliwy i niesprawiedliwy krytyk, 6) filut, cwaniak, 7) aktor ja uprawia, 8) igraszki, psoty, 9) otwór wulkanu, 14) dawny król polskiej kniei, 16) likier z małych dzikich czereśni, 17) urządzenie samoczynne utrzymujące określone warunki procesu, 18) ojciec domu, 20) rekwizyt dziada, 23) łapie za łydkę, 25) ozdoba, upiększenie, 27) człowiek z nizin, 29) pływają w nim grzybki, 30) największy dopływ Wołgi, 31) atrybut Dionizosa.

Rozwiązanie krzyżówki należy przesłać do dnia 29 bm. pod adresem redakcji „Wiadomości" (ul. Kudowska 9, kod 50 560), z dopiskiem na kopercie względnie kartce pocztowej „Krzyżówka nr 34". Pomiędzy tych, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązanie rozlosujemy 3 nagrody w postaci 50-złotowych bonów na książki.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 32: Poziomo: srebrnik, Katowice, ogier, podlec, kłodka, Eskimos, degenerat, wanilia, aga, lustrator, szczeniak, tył, Janczar, Arkadiusz, potrawa, Borneo, Cotton, kolej, maskotka, alegoria. Pionowo: szpadel, balneotechnik, naczepa, Korea, wiek, Krym, taksa, włóklennictwo, cyklina, starter, Izasław, owoc, Ulanowa, taro, zwarcie, kuźnika, aport, racja, tyka, aula.

NAGRODY (50-złotowe bony na książki) otrzymują: MAŁGOSIA PODGÓRSKA, 53-150 WROCŁAW 14, ul. Próchnika 102/1; ROMAN PERYGA, 35-070 SMOLEC ul. Ogrodowa 29, pow. Wrocław; JÓZEF STEFANIAK 59-400 JAWOR ul. Krótka 4/3.

Piwna odyseja

Krystyn Gaj

Wielkie miasto. W wielkim mieście wielkie fabryki, wielkie zamachy i wielki rozmach we wszystkim. W wielkim mieście wielkie problemy, wielkie namiętności i wielkie pragnienia. W tych ostatnich mieści się też pragnienie piwa.

Gdziebyś nie mieszkał w wielkim mieście, zawsze masz za daleko by temu podążaniu sprostać. Zaczniesz od polskiego, niemalże rodzinnego sklepu, gdzie bywa masło, mydło i powidło. Wejdziesz w zalęknionej nadziei, z przeczuciem złego, zapytasz jak możesz najuprzejmiej z przydechem niepewności, okiem rzucając trwożliwie dookoła. Nie czekasz na odpowiedź. Już wiesz po pobieżnym oglądzie, że tu od miesięcy złocistego nie było a kurz na drewnianych, pustym szkłem tylko pobrzękujących transporterach, odbiera ci nadzieję na cały sezon.

Wychodzisz rąbiąc drzwiami z wibrującą pod czupryną warstwicą myśli obierających azymut. Ważysz więc możliwości. Oczywiście, beznadziejność sytuacji potęguje pragnienie. Język staje się coraz bardziej pumeksowaty, a ślina z uporem zawraca znad krtani. Aha, nie zauważyłeś, że pora jest popołudniowa. Myślisz, że przed zmrokiem dotrzesz jagotliwym, rozchybotanym numerem, dajmy na to 17, do oberży, którą ci zazwyczaj nie sprawiała zawodu. W końcu jesteś na miejscu, wchodzisz, wahadłowe drzwi rozstępują się gościnnie, siadasz przy pierwszym stoliku, zszarpanym od posuchy językiem nawilżasz spękane wargi i oczekujesz z niepokojem. Na samo pytanie o złociste — kelner tryska ci prosto w oczy słodyczą i cedzi przez zęby tę najgorszą ewentualność. Wyrywasz natychmiast z tego bezpiwia, bo jeszcze do incydentu dojdzie.

Pragnienie rośnie, myśli się kurczą. Zachodzące słońce, a w mig potem wysłużona pobieda uświadomią ci, że przewleka się tuż bezsensowny upór, że lepiej może wrócić i stołowej przyłożyć butelczynę, i kto wie, czy efekt nie taki sam będzie... Przypominasz sobie raptem że gdzieś w tej okolicy kilka seruwisów miała złotucha i chociaż kłuły one dotkliwie wspomnieniem brudu, wiecznej stęchlizny i obskurnej cinnanty — postanawiasz je na nowo odkryć i uwierzyć w sens ich istnienia. Och, jakiś naiwniak z ciebie! Błąkasz się po dzielnicy godzinami i szukasz bezowocnie. Więc łapiesz pierwszą z brzegu dryndę i na dworzec każesz się wieźć w desperacji.

Dobijasz, stajesz w oczekującej potem kolejce i po tantalowej godzinie "drżącymi rękami obłapujesz kufel złotego turowatą ciecz.

Ciemno nie tylko w kuflu, ale i w głowie.

GWIAZDY i gwiazdki

Susan Hampshire pamiętamy z wyświetlanej w aż 40 krajach telewizyjnej "Sagi rodu Forsytów". Grała w niej rolę "pięknej, lecz wyrachowanej i bez serca" Fleur, za którą otrzymała Oscara

Przez ostatnich siedem lat Susan Hampshire pracowała w Londynie, ale uczuciowo była związana z Paryżem, gdzie znalazła męża. Był nim reżyser „Paryża w sierpniu" Pierre Granier-Deffere. Ma z nim syna, Christophera.

Obecnie jednak państwo Granier-Deffere się rozwodzą, co tygodnikowi „Paris-Match" dało asumpt do publikacji „wspomnieniowego" zdjęcia, które tu reprodukujemy.

(tad.)

AUTENTYKI

TYLICZE

ŻYCIE LITERACKIE piórem W. Kiedacza tak pisze o grupach poetyckich „Teraz" i „Tylicz" (skądże ta górna nazwa?).

„Teraz" — to prezentacja liryki ukierunkowanej przede wszystkim na świat zewnętrzny, to próba ingerencji bohatera lirycznego czy samego poety w zastaną rzeczywistość. Brak właśnie tej „interwencji" i orientacja na własny wewnętrzny świat są z kolei wyróżnikami poetyki grupy „Tylicz". Próba podjęcia autotematycznych wątków, próba mówienia głównie o poecie oznacza tu powrót do liryki osobistej, niezasegnowanej w dylematy współczesności".

Tyłem do współczesności?

PRZECIW RYBKOM

... pisze Jerzy Andrzejewski (LITERATURA), któremu ktoś opowiedział, że:

„wyhodowano maluśkie, paromilimetrowe rybki, które w stawach położonych w wilgotnych okolicach szybko i dokładnie wyniszczają wszystkie komary. Przydałyby się takie rybki w Oborach — powiedziałem. Owszem, przydałyby się — odpowiedział mój informator — tylko bieda z tym, że te rybki mogą się żywić wyłącznie komarami, a kiedy je wyjadą, to z głodu zdychają. A niech zdychają, skurwysyny! — pomyślałem sobie".

Co pisarzowi odpowiedziałyby rybki, gdyby miały głos?

ROJALIŚCI

Jak bardzo kocha się dziennikarstwo sportowe w monarchii, świadczy ostatni numer SPORTU. Oto próbki: *„Monarcha polskiego futbolu" — to o Ruchu z Chorzowa.*

„Autorzy „double crown" — to też o Ruchu. Po polsku znaczy to: „Autorzy podwójnej korony".

„Wicekróli MS — 74 Szarmach" — to już wiadomo o kim, bo „królem" był Lato.

W tym samym numerze (jak po królewsku, to po królewsku) gaworzy się obficie o złocie, srebrze, diamentach.

BYŁY CZASY

Narzekając na dzisiejsze nędzne nazwy koni (jak „Wenion" i „Wdowa") R. Dmitrewicz w liście do KIERUNKÓW stwierdza:

„Przypomnę, jak pięknie i oryginalnie nazywały się konie hodowli ks. Lubomirskich w okresie przedwojennym: Boruta, Brzeszczot, Barataria, Czeczuga, Cymbarka, Czerlona, Zbaraż, Zaporożec, Zerwikaptur.

Liczę na Pana Redaktorze, że przypomni Pan i inne nazwy".

Pan Redaktor, Zdzisław Umiński, przypomniał. Ale jednak to już nie to, co w okresie przedwojennym. U książąt Lubomirskich.

KOMIN

ŻYCIE GOSPODARCZE informuje:

„W powiecie chojnickim powstał interesujący dylemat ekonomiczny. Czy do zbudowanego między Lubinem i Zalesiem ogromnego komina fabrycznego, który stoi w szczerym polu, dobudować jakąś fabrykę, czy też komin może zburzyć? Proponujemy kompromis: zburzyć komin, z uzyskanej cegły zbudować inny komin i dobudować doń hutę".

Z CZEGO SIĘ ŚMIEJĄ W ZSRR?

NOWOŚCI HANOLU: W Zaborsku zakończył się miesiąc kulturalnej obsługi klientów.

SUMIENIE: Miało sumienie — to za mało. Trzeba, żeby sumienie jeszcze nas gryzło.

ŻYCIE: W związku z redukcją etatów — kierownika biura Simenonowa przesunął się na kierownika biura tego samego wydziału z poprzednim wynagrodzeniem.

(LITIERATURNAJA GAZIETA)

wm.